

WŁASNOŚĆ J. HULEWICZA



KOMEDYE.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 12 Апрѣля 1871 г.

KOMEDYE

ALEXANDRA HRABIEGO FREDRY.

T O M II.

MĄŻ I ŻONA.

LIST.

NOWY DON KISZOT.

PIERWSZA LEPSZA.

ODŁUDKI I POETA.

WYDANIE CZWARTE.

Z PORTRETEM AUTORA.

WARSZAWA.

NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA.

1871.

MĄŻ I ŻONA.

K O M E D Y A

WE TRZECH AKTACH, WIERSZEM.

Cudzego nabywając, swoje często
tracim; kto po cudzą stawkę idzie,
trzeba żeby swoją stawiał, czasem i
zapłacił.

And. Max. Fredro.

O S O B Y.

HRABIA WACŁAW.

ELWIRA, jego żona.

ALFRED.

JUSTYSIA.

Scena w mieście, w domu hrabiego Wacława.

MAŻ I ŻONA.

A K T I.

Pokój; z jednej strony kanapa, z drugiej stół okrągły, na nim
lampa z umbrellą, w głębi fortepian.

S C E N A I.

Elwira, Alfred

(siedzą przy sobie na kanapie).

Alfred *(trzymając rękę Elwiry).*

Luba Elwiro, kochanko mej duszy,
Z łez, oko twoje, kiedyż się osuszy?
Czemuż rzadkie, drogie chwile,
Które mogę spędzić z sobą,
Lubisz, roniąc żalów tyle,
Smutną pokrywać żałobą?

Czy już miłości tak słaba jest siła,
Że szczęście moje, któreś ty sprawiła,
Nie może zatrzeć błahego wspomnienia
I myśli próżnych nie zmienia?

Elwira.

Alfredzie, kocham, kocham cię nad życie,
Lecz i to wyraz zbyt słaby;
Jakieżby życie mogło mieć powaby,

Gdybym go z tobą nie dzieliła skrycie?
Myśl, że stając się miłości nagrodą,
Uczyliam szczęście twoje,
Więcej jest może jak zgryzot osłoda,
Jest... czego nawet wymówić się boję;
Ale czyż mogę bez skrytej tęsknoty
Puszczać w niepamięć obowiązki, cnoty,
Które za młodu w duszę mi wpoili,
Którem w nieszczęsnej przepomniała chwili?
Nareszcie ciągnęła obawa...

Alfred.

Obawa?

Elwira.

Alfredzie, miłość nasza nie jest prawa;
Świat ma oczy przenikliwe...

Alfred.

Miłość nieprawda, marzenie prawdziwe!

Jeśli natura zaród jej płomieni

W każdą istotę włożyła,

Płomieni, których czarująca siła

Byt nieczuły w życie mieni,

Tém samém, jak się wydaje,

Każdą miłość uprawniała.

Czyliż ja przeto występny zostaję,

Że moje serce zamknięte zbyt mało,

Lubiące piękność, rozum, dobroć, wdzięki,

Elwirę kochać musiało?

Wszakżeto z świętej przyrodzenia ręki

Ona powaby, ja mam miłość stałą,

I jeśli kogo, nie mnie winić trzeba:

Czemuż Elwirę wskazały mi nieba?

Elwira.

Ach i ta miłość, dla której, niestety,
Duszy niewinnej zrzuciłam zalety,
Dla której, widząc zawsze tylko ciebie,
Zapomniałam sama siebie,
Zapomniałam i świat cały,
Ach, jeśli kiedy strawi swe zapaly!
Jeśli two serce oziębłém zostanie,
Jakież ty o mnie mieć będziesz mniemanie?
Może dowody dziś dane...

Alfred.

Jakto? coś rzekła, gdy kochać przestanę?
Ach nie, Elwiro, serc naszych złączenie,
To z twojém mego, równe uderzenie,
Ten pociąg luby i ognisty razem,
Co się tajemnym tłómacząc wyrazem
Spoił czułe nasze dusze,
I ta mgła na świat rzucona,
Gdy cię przyciskam do łona,
Ach, czyż ci powtarzać muszę:
Więcej jak zwykłej miłości zapalem!
To czucie boskie, którego nie znałem,
Którego nigdy szukałem daremnie,
Już się z życiem splezło we mnie;
Ich węzła nieba nie wzruszą;
Trwać i ginać razem muszą.

Elwira.

O! jakże lubię słuchać twego głosu!
Upojona tym urokiem
Tracę pamięć mego losu,
Ciebie tylko mam przed okiem;
Słowa z mych piersi wydobyć nie mogę,
Czuję i rokosz, i żal i trwogę,

Pożar mnie przenika miły,
Pałam i pałać się boję,
I ledwie dosyć mam siły
Rzucić się w objęcia twoje ;
Czemuż przeznaczenia władza,
Która nas złączyć umiała,
Która serca nasze zgadza,
Ciebie za męża Elwirze nie dała ?
I Wacław może, z inną żyjąc żoną,
Byłby szczęśliwszy i ona szczęśliwą,
I jabym jak dziś nie była zmuszoną
Być z nim chytrą i fałszywą.
Miłość ku tobie jedynie
Mój wrodzony wstręt zwycięża,
Że w każdej życia godzinie
Zwodzić muszę mego męża.

Alfred.

Twojego żalu niesłuszna przyczyna ;
Nie jegożto własna wina,
Że ci się ciągle podobać nie umiał,
Gdy już zrazu był lubiony,
I że szalenie rozumiał
Powinnością miłość żony ?
Wacław przystojny, bogaty, rozumny,
W młodości najpierwszym kwiecie,
Z tylu miłostek i sławny i dumny,
Wszystkiem kazał wróżyć w świecie,
Że jego żona, w jakimkolwiek względzie,
Jedną z najszczęśliwszych będzie ;
Alic ledwie cię zaślubił,
Gdy mu wszędzie zazdroszczono,
On oziębły z swoją żoną,
Domu swego już nie lubił.

Ile gdzieindziej pośród zgromadzenia
Rzadką swą przyjemnością jest celem wielbienia,
Tyle niezdolny sam na sam u siebie,
Zostawił żonę, że powiem, w potrzebie
Głębszej duszy szukania,
Szukania uczuć podziału
I ulegnienia pomąłu
Władzy, pod którą natura nas skłania.

Elwira.

Gdybym nie była zawsze opuszczoną,
Ach, inną byłabym żoną!

Alfred.

Spędziłaś z nim, powiedz, choć chwilę przyjemną?

Elwira.

Ach nie, nigdy, niestety! tak mało żył ze mną.

Alfred.

Jeśli przyjdzie do ciebie, to siedzie i ziewa.

Elwira.

I za to, że się nudzi, na żonę się gniewa.

Alfred.

Coraz przykrzejszym się staje.

Elwira.

Zawsze zrędzi, gdera, łaje,
Albo ileż mi zawsze nie czynią zgryzoty
Jego fałszywe pieścizny,
Którymi zwykle obdarza,
Gdy nas kto trzeci uważa;
Roskosz, szczęście rozpowiada,
Których dozna kto się żeni,
Ścisła, pieści, do nóg pada,
Żonę bóstwem swoim mieni;

Lecz ten, co patrzył, drzwi ledwie zatrzaśnie,
Zaraz miłość, grzeczność gaśnie,
I, jakby chciał okupić przyjemność tej chwili,
Na tysiąc niegrzeczności natychmiast się sili.

Alfred.

Niežnośny.

Elwira.

Przykry.

Alfred.

Bez duszy.

Elwira.

Nic go nie ujmie.

Alfred.

Nie wzruszy.

Elwira.

Nie wiedzieć czém mu dogodzić.

Alfred.

I takiego przykro zwodzić?

Nie, nie, on zasłużył na to,

Niech za nieczułość to będzie zapłata.

Elwira (*żartując*).

Lubisz widzę mężów karać.

Alfred.

O dobro wszystkich potrzeba się starać.

Elwira.

I czasem to staranie jeszcze niechęć wzbudzi!

Alfred.

Ach, któż w świecie nie doznał niewdzięczności ludzi!

Elwira.

Jednak choć tyle przykrości z nim znoszę,
Żal mi go.

Alfred (*z długim westchnieniem*).

Biedny!

Elwira (*śmiejąc się*).

Nie żałuj go, proszę.

Alfred.

Jak nie żałować i nie westchnąć szczerze,
Kiedy mój Wacław w opiekę mnie bierze,
By mnie nauczał, jakie są sposoby
Zyskania względów kochanej osoby;
Kiedy, jak długo, trzeba skrycie kochać,
Kiedy oświadczyć, kiedy jęczeć, szlochać,
Jakiemi drogami chodzić,
Jak ośpałych mężów zwodzić,
Słowem, miłostek naucza mnie sztuki.

Elwira (*śmiejąc się*).

Ciebie?

Alfred.

Mnie.

Elwira.

A ty?

Alfred.

Ja słucham nauki.

Elwira (*śmiejąc się*).

A wybornie, doskonale!

Prawda, że biedny; nie pojmuję wcale...

S C E N A II.

Elwira, Alfred, Justysia.

Justysia (*wbiegając*).

Pan, Pan, dla Boga! Pan Hrabia już idzie.

Elwira (*zrywając się*).

Tak wczesnie wraca, któżby się spodziewał!

Justysia *(otwierając okno).*

Ach prędzej, prędzej, bo będziemy w biedzie.

Alfred.

Niežnośny człowiek...

Justysia.

Jutro będziesz Pan się gniewał...

Alfred *(stając w oknie).*

Nie dać komu spokojnie wieczora przepędzić!

Po to wraca, żeby zrzedzić.

Justysia.

Dalej, bo, na honor, zrzucę.

Elwira *(do Alfreda).*

Kiedy?...

Alfred.

Za chwilę powrócę.

*(Elwira siada przy okrągłym stole, bierze robótkę i szyje;
Justysia wybiega.)*

S C E N A III.

Elwira, Wacław.

(Wacław wchodzi, spogląda na Elwirę i wzrusza ramionami, rzuca kapelusz i chodzi czas jakiś po pokoju.)

Wacław *(stając przed Elwirą).*

Czemu też raz w rok nie wyjedziesz przecie?

Można by się czasami pokazać na świecie.

Zawsze cię w domu, zawsze samę widzę.

Elwira.

Lubię samotność.

Wacław.

Ja jej nienawidzę.

(chodzi, po krótkim milczeniu)

Gust osobliwszy, siedzieć zawsze w domu!

Elwira.

Gust nieszkodzący nikomu.

Wacław.

O, zapewne, zapewne, nikomu nie szkodzi;

Ale że nudny, mówić mi się godzi.

(chodzi, po krótkim milczeniu)

Czy także lubisz tę smutną ciemnotę?

(dzwoni mocno i do kamerdynera)

Świeć! *(przynoszą dwie świece. Siada i ziewa.)*

Porzuć też tę robotę,

Zawsze te igły i nitki;

Że u kobiet miary niema!

Albo bale, uczyty, zbytki,

Albo też z spuszczonemi nad szlarką oczyma,

Jakby w krzesła powrastałe

Szyją i dłubią dnie całe.

(długie milczenie; Elwira siada do fortepianu, cicho zaczyna, gra coraz mocniej)

Wacław *(do siebie).*

A *six*, cztery honory, As, Dama karowa,

I dać im skończyć Robra! To gra całkiem nowa!

Rzecz niesłychana! i jemu grać w Wiska!

I jeszcze łaje i kartami ciska.

Wygrywam Asa, bo się gracza boję...

Ach, kochana Elwiro, uszy, uszy moje!

Daruj im to *Allegro*, daruj im te trele;

Tego harmonicznego hałasu za wiele,

Niemilosie uderzasz w klawisze,

Myśleć nie można, sam siebie nie słyszę.

(Elwira wstaje i siada przy stole, otwiera książkę; po krótkim milczeniu)

Nie wiem co znaczy, wszędzie pełno ludzi,

U nas rzadko kto, i każdy się nudzi;

Ha! każdy smutku stroni, wesołości szuka.

O, zrobić dom przyjemnym, jest to wielka sztuka.

(po krótkim milczeniu)

Jakieżto ważne i zabawne dzieło,

Tak mocno twoję uwagę zajęło?

Elwira.

Pamiętnik.

Wacław.

Aha! Pamiętnik, nie żarty;

Od dwóch tygodni leżał też otwarty,

Aż się nareszcie doczekał czytania,

Nie wiem czy z nudów, czy też z powołania.

(Elwira odsuwa książkę; długie milczenie)

Elwira.

Wcześniej dziś wrócił.

Wacław.

A gdzież siedzieć miałem?

Elwira *(po krótkim milczeniu)*.

Nie było Wiska?

Wacław.

Owszem.

Elwira *(po krótkim milczeniu)*.

Grałeś?

Wacław.

Grałem.

Elwira *(po krótkim milczeniu)*.

Szczęśli wie?

Wacław.

Nie. *(ziewając)*

Był tu kto?

Elwira.

Nie było nikogo.

(po krótkim milczeniu, ziewając)

Drogo grywacie?

Wacław.

Niedrogo.

Elwira *(po krótkim milczeniu).*

Pewnie duży mróz dzisiaj?

Wacław.

Duży.

Elwira *(ziewając).*

Bardzo duży?

Wacław *(wstając).*

Ale z tym mrozem nie nudź też mnie dłużej,

Cóż mróz, czy upał obchodzić mnie może!

(chodzi; długie milczenie)

Ale wszakże dziś teatr, mamy pono łoże?

Elwira.

Mamy.

Wacław.

Trzeba więc jechać, bo moda minęła,

Z piątego aktu sądzić o dobroci dzieła.

(Elwira odchodzi)

SCENA IV.

Wacław.

Ach, nim się człowiek, niestety, ożeni,

O, jakże mało swoje wolność ceni!

Aż zakosztuje tej kwaśnej słodczy,

Dopiero sobie co miał niegdyś życzy.

SCENA V.

Wacław, Justysia.*(Justysia wbiega wziąć robótki pani)***Wacław.**

Dobrze żeś przyszła, Justysiu kochana.

Dybię na chwilkę od samego rana,

Któraby można przepędzić ze sobą:
Chciałbym cię widzieć i pomówić z tobą,
A mam mówić tyle.

Justysia.

Eh, gdybyś pan chciał to nie tylko chwilę,
Znalazłbyś pewnie i całą godzinę.

Wacław.

Jakże mnie możesz przypisywać winę?
Wszak wiesz, że proszę, błagam czy się srożę,
Nic mojej żony ztąd ruszyć nie może:
W domu siedzi całe życie,
I chcąc cię kochać, muszę kochać skrycie;
Ale gdy jutro pójdzie do kościoła...

Justysia.

Już, już rozumiem, puść Pan, Pani woła.

Wacław.

Tak ci się zdaje.

Justysia.

Nadejdzie, dla Boga!

Wacław.

Nie zapominaj o mnie, lubciu droga,
Staraj się wszystkich od siebie wyprawić,
Tak będziemy mogli z sobą godzinę zabawić.
Pamiętaj o mnie, bo ja w każdej dobie
Lubię pamiętać o tobie.
Patrz, pierścioneł dla ciebie oddawna już noszę;
Chciej go przyjąć, bardzo proszę,
Niech go twoja rączka zdoła.

(Justysia się kłania)

Tak mi dziękujesz?

Justysia *(z kokieteryą).*

A jakże dziękować?

Wacław.Jak, Justysiu? Pocałować. *(chce ją całować)***Justysia** *(nastawiając się).*

Proszę Pana, co Pan robi.

(Elwira wchodzi, Justysia odtrąca Wacława, który stał tyłem do Elwiry)

SCENA VI.

Elwira, Wacław, Justysia.**Justysia** *(chwytając się za głowę).*

Ach, ach! głowa!

(płacze)

Prawdziwie, powiedzieć się godzi,

Pan Hrabia zawsze tak chodzi,

Jakby tylko sam był w domu;

Tak niesłychanie rozbić głowę komu!

Aj, aj, co za ból! oka nie mogę otworzyć.

Elwira.

Wody zimnej czém prędzej najlepiej przyłożyć.

(dzwoni i ku drzwiom idąc, do kamerdynera)

Wody! wody daj prędko!

(do Justysi)

To sposób jedyny,

Będiesz zdrowa w pół godziny.

Justysia.

Zdrowa, a siniec?

Elwira.

Nie wiele zaszkodzi.

*(przynosząc wodę)***Justysia.**

A fe!

Elwira.

Justysi o jej piękność chodzi.

Justysia.

Jużci, trzy dni pościć wolę,

Jak nosić siniec na czole.

*(Elwira sadza Justysię i zawiązuje chustką głowę)***Elwira.**

Gdzieto?

Justysia.

Tu, tu, ach jak boli!

Elwira.

Tu?

Justysia.

Tu, ach, tylko powoli!

Elwira.

I znaku niema, jednak chustka może zostać.

Justysia*(grożąc Hrabiemu po za Elwirą).*

Na honor, że dobrego mogłam guza dostać.

Elwira.

Poszlij tam, z zaprzęgiem niech się jeszcze wstrzyma.

(Justysia całuje rękę Elwiry i idzie ze spuszczoną głową ku drzwiom; spogląda z pod oka; widząc że Elwira tyłem stoi, uśmiecha się, Hrabiemu grozi i wybiega.)

SCENA VII.

Elwira, Wacław.**Elwira.**

Na teatr jeszcze nie czas, wszakże szóstej niema.

Wacław*(który od wejścia Elwiry stał nieporuszony, jakby nagle przebudzony).*A, niema, niema szóstej; tak, siódma dopiero,
Czy piąta, pół do szóstej. Niech konie rozbierają
Albo zaprzęgają, jak chcesz.

(na stronie)

Ten rozum dziewczyny...

Elwira.

Co dziewczyny?

Wacław.

Nic, żal mi że z mojej przyczyny

Cierpi tyle.

Elwira.

Nie bardzo, za nadto się pieści.

Wacław.

Prawda, lubi się pieścić.

Elwira.

Nie wiele boleści,

Więcej strachu doznała.

Wacław.

Tak i mnie się zdaje.

Elwira.

Czasem taki przypadek przestrogą się staje.

Będzie już uważniejszą.

Wacław.

Ja także w tej mierze

Będę patrzył przed siebie. Ale powiem szczerze,

Trzpiot z niej wielki.

Elwira.

Z Justysi? Rozsądna jak mało.

Wacław.

Ciekawa.

Elwira.

Ciekawego cóżby się tu działo?

Wacław.

Zawsze się kręci, śpiewa.

Elwira.

Zwyczajnie wesoła.

Wacław.

Chce zabaw.

Elwira.

Nie ją z domu wywabić nie zdoła.

Wacław.

I kokietka.

Elwira.

Bynajmniej, mam zawsze na oku
I beze mnie, bądź pewny, nie zrobi i kroku.

Kamerdyner (*anonsując*).

Pan Hrabia Alfred.

Wacław.

Prosić.— Tak rzadko tu bywa.

Elwira.

Aż nadto często.

Wacław.

Nie w łaskach u Pani.

Elwira.

Co to, to prawda.

Wacław.

Chimera prawdziwa;

Co wszyscy chwala, moja żona gani:

Grzeczny, dowcipny i pełen honoru,

Cóż mu zarzucić nawet i z pozoru?

Elwira.

Chytry, fałszywy, zwłaszcza z kobietami.

Wacław.

Przepraszam, szczéry aż nadto czasami.

Elwira.

Sobą tylko zatrudniony.

Wacław.

Tak się zdaje, bo nieśmiały.

Elwira.

Bez stałości...

Wacław (*śmiejąc się*).

A! z tej strony...

Elwira.

Jakto, doprawdy niestały?...

Więc widzisz że się nie mylę,

I czyż wad jego ma być tylko tyle?

Gracz.

Wacław.

On? kart nie zna.

Elwira.

Zły.

Wacław.

Najlepszy w świecie.

Niech będzie jak chce a ja proszę przecie

Dobrze przyjmować mego przyjaciela.

Elwira.

Mniemanie moje wszak was nie rozdziela,

Żadnej sprzeczności nie postrzeżesz we mnie ,

Niech tu wciąż bawi, gdy ci to przyjemnie.

Wacław.

Prawdziwie, dziś, gdy przyjaźń nieznana się staje,

On rzadkie mi dowody przychylności daje.

SCENA VIII.

Elwira, Wacław, Alfred.

Wacław.

Zapomniałeś nas całkiem, kochany Alfredzie,

Przecie dziś jakieś bóstwo łaskawe cię wiedzie ;

Trzy dni się niewidzenia, to wieczność prawdziwa.

Elwira.

Pewnie w tej części miasta rzadko kiedy bywa,
Inaczej swych przyjaciół nie mijałby zawsze.

Alfred.

Nie mogą być, prawdziwie, wymówki łaskawsze,
Lecz przytém niezasłużone.

Wacław.

Będziem więc słyszeć obronę.

Alfred.

Naszej szkody, że Pani dość samotność lubi,
Jestem, rzadko bywając, dotychczas pamiętny;
Lecz w miłym towarzystwie, gdy się pamięć gubi,
Byłbym wkrótce rad sobie a Pani natrętny.

Wacław.

Zła, zła obrona.

Alfred.

Ciebie zaś, mój Panie,
Sam przyznasz, rzadko kto w domu zastanie.

Wacław.

I owszem, bardzo często, dziś cały dzień prawie,
Nie chcąc słabą zostawić, przy Elwirze bawię.

Alfred *(do Elwiry).*

Czy Pani słaba?

Elwira *(z pomieszczeniem).*

Tak...

Wacław *(zbliżając się).*

Słaba nieboga.

(pieszcząc się)

Moja kochanka, moja Pani droga.

Alfred.

Pewnie ból głowy, widać to z wejrzenia.

Wacław.

Tak... katar... katar zaraz oczy zmienia.

Alfred.

Katary teraz mocne, nie trzeba wychodzić.

Wacław (*z pośpiechem*).

O, i owszem, i owszem, nie może zaszkodzić:

W domu siedzieć, to niezdrowo.

(*do Elwiry*)

Jakże najdroższe życie, jakże z twoją głową?

Elwira.

Nie wiem, czy będę...

Wacław

(*nie słuchając odpowiedzi, do Alfreda*).

Wiesz, dostałem charta;

Co za skład, wielkość! rzecz widzenia warta.

Zmartwię Henryka, bo takiego niema;

Żaden z nim porównania pewnie nie wytrzyma,

O, i twój Sokół za nic, tą razą wybaczysz:

Tyli, czarny jak gałka, a kita... zobaczysz.

Ale teraz powiedz mi, co się z tobą działo?

Tak cię w świecie widać mało,

Zwłaszcza wieczorem unikasz zabawy.

Cóż dziś robiłeś? żądam ścisłej sprawy.

Elwira.

Może w tém tajemnica, nie wypada śledzić.

Wacław.

Pewnie nie dla mnie.

Alfred.

O, wszystkim powiedzieć

I ścisłą sprawę zdać mogę,

Jaką odbyłem dziś drogę:

Byłem u Stolnikowej; po co? nie wiem prawie.

Wacław.

Cóż tam słyszałeś? udziel nam łaskawie.

Alfred.

Kaszlu dużo.

Wacław.

To nie wiele.

Alfred.

I plotek trochę.

Elwira.

A to nadto dużo.

Alfred.

Jednak powtórzyć możnaby je śmieie,
Bo chyba tylko za przestrogę służą:
Wszystko oddawna zapomniane dzieje;
Sama rozprawia, sama się i śmieje.

Elwira.

Tak, ale dobrze mówi.

Wacław.

O, bardzo wymowna.

Elwira.

Bardzo godna osoba.

Wacław.

Najlepsza.

Alfred.

Szanowna.

Wacław.

Ależ nudna! Jak zacznie i gadać i gadać,
Trzeba, żeby nie zasnąć, rzadką moc posiadać.

Alfred.

Wkrótce przybyła Aniela w żałobie.

Elwira.

Po kim?

Alfred.

Po mężu.

Wacław.

Umarł?

Alfred.

Żyje sobie,

Lecz dziś na wieś wyjechał a jutro powróci.

Wacław.

Cóż za czułość! Lecz czemuż w domu się nie smuci?

Alfred.

W domu? dobre pytanie: któżby o tém wiedział?

Ledwie mi jej brat rzecz tę rozpowiedział,

Weszła Julia do naszego grona.

Elwira.

W złym humorze?

Wacław.

Jak zwykle,

Alfred.

Ściśnięta, upstrzona.

Wacław.

Gipsem prusząca.

Alfred.

Postrach mego fraka

Elwira.

Co przy tej, trudno zasnąć.

Wacław.

Bo budzi tabaka.

Elwira.

I słówka ostre.

Alfred.

Bardzo ostre zbliżka.

Wacław.

Czego ona się stroi, złoci, bieli, ściska?

Na co jej walczyć z naturą?

Alfred *(kończąc)*.

Była niegdyś jaszczurką, teraz jest jaszczurą.

Wacław.

Wszędzie coś gani, coś śmiesznego widzi,

Zawsze się dąsa, zawsze z kogoś sztydzi...

Ale mów o kim innym, nie lubię tej baby.

Alfred.

Był więc Erazm: rumiany, chociaż niby słaby,
Zawsze słodko mówiący, choć pół głosu chował.

Najczulej Stolnikowej urodzin winszował,

Mnie zaś imienin w dziesiątej oktawie,

Panu Janowi, że mieszka w Warszawie,

Księżciu, że w domu dwoje dzieci zastał,

I tak się mocno rozmachał, rozszystał,

Że i Staroście winszował,

Że żonę pochował.

Wacław.

Gdy do mnie idzie albo przy mnie staje,

Żem solenizant, zaraz mi się zdaje,

I wprowadzie ta figura zawsze winszująca,

Śmiejąca, kochająca, jest bardzo nudząca.

Elwira.

Dobre ma serce.

Alfred.

Jak gdyby baranek.

Wacław.

Słodki jak lukrecya, dobry jak rumianek.

Alfred.

Byłbym w uwagach czas dłuższy tam strawił,

Gdyby Kasztelan strachem nie nabawił.

Postrzegłszy, że już ku mnie rozpuścił swe żagle,

Nie chcąc słuchać procesów, wymknąłem się nagle.

Dokąd?

Wacław.

Alfred.

Do Baronostwa.

Wacław.

Cóż *dobra Barona*?

Alfred.

Dobra Barona kontent, kocha *swego żona*.

Wacław.

Zastaleś Pułkownika?

Alfred.

A cóż za pytanie!

To się rozumie, któż go nie zastanie?

Elwira.

Na bardzo piękną napadliście drogę,
Obmawiacie od godziny.

Alfred.

Co wszyscy wiedzą, czyż mówić nie mogę?
Jestże tu co mojej winy...

Wacław.

Że Baronowa wojskowości sprzyja.
Nareszcie czyżto dzisiaj odkrycie?

Elwira.

Zapewne, wina jej samej, nie czyja;
Lecz któż bez *ale*, mówią pospolicie.

Wacław.

Ależ bo Baronowej za grube jest *ale*
I bardzo proszę nie bronić jej wcale.

Elwira.

Sam ją chwaliłeś.

Wacław.

Trzeba też mieć względy
Na słabość kobiet, ich tak miłe błędy.

Wacław *(do Alfreda).*

Żarty.

(do Elwiry)

Chwaliłem rozum, milcząc o honorze ;
Bo jeżeli szacunku taka pragnąć może,
Która zdeptałszy skromność, obowiązki, cnotę,
Wyrzekła się już wstydu, lubi swą sromotę,
Co z tajemnych miłostek w jawny nierząd leci,
Którą gardzą uczciwi, gardzić będą dzieci,
Jeżeli taka chlubne zyska zdanie,
Cóż się więc dla tej zostanie,
Co szczęście wkoło siebie ustalając sobą,
Jest wzorem cnoty, płci pięknej ozdobą?

Alfred.

Co za rozprawa grzmiąco wyłuszczona!

Wacław.

Wróćmy więc do weselszej, wróćmy do Barona :
Że mu się żona... tam... te... wiemy co się dzieje...
No, cóż ma robić? Lecz z czego się śmieję,
To, że tak kocha tego Pułkownika,
Który sumiennie czasami unika ;
Ale ten gwałtem przy sobie go mieści,
Zaprasza, trzyma, ledwie że nie pieści:
Z nim musi zawsze, z nim musi być wszędzie,
Słowem, że jak odjedzie, Baron żyć nie będzie.
(śmiejąc się)

A, to rzecz śmieszna !

Alfred.

Prawda, że zabawna.

Wacław.

Tak się zaślepić i to od tak dawna !

I spokojnie żyją z sobą,

Żyją, jak ja z tobą. *(śmieje się)*

A co najbardziej śmieszności pomnaża,
Że cudze kroki dowcipnie uważa,
Umie postrzegać, umie i wyszydzić,
I wszystko może, oprócz siebie widzieć.

Alfred.

Pocziwa dusza!

Wacław.

A, gap' prawdziwy!

Alfred.

O! to za ostro; za cóż tak niegrzecznie?

Wacław.

Gap', gap', mąż taki, to wyraz właściwy.

Alfred.

Niech i tak będzie, kiedy chcesz koniecznie.

Wacław.

Jego ta pewność, na której spoczywa,
Czasem mnie śmieszy; lecz czasem i gniewa,
I nieraz chętką mnie bierze
Wszystko powiedzieć mu szczerze.

(śmieje się)

Toby się zdziwił!

Alfred.

I miałby przyczynę.

Wacław.

Wystaw go sobie, jaką miałby minę.

Alfred.

Nie chciałby wierzyć.

Wacław.

Dowodybym złożył.

Alfred.

Toby się gniewał.

Wacław.

Nie, stałby jak wryty,

(udając minę Barona)

Oczy wytrzeszczył i gębę otworzył.

Alfred *(śmiejąc się).*

Niech Pani spojrzy, jaki wyśmienity:

Baron prawdziwy!

(dotychczas Elwira ze spuszczoną głową, przeglądając książkę, śmiała się skrycie; teraz głośno się śmieje spojrzawszy na męża)

(po krótkim czasie)

Na zegarek patrzę,

Bo jeżeli będziecie Państwo na teatrze:

Siódma minęła.

Wacław

(dzwoni, potem mówi do kamerdynera).

Pojazd.

Kamerdyner.

Zaprzężony.

Wacław.

Do naszej łoży jesteś zaproszony,

Jutro zaś przyjedź, do dziesiątej z rana

Z konną jazdą zaczekam na mojego Pana,

Potém u nas na obiedzie;

Dobrze, kochany Alfredzie?

Alfred *(podając rękę Elwirze).*

Chętnie przyjmuję wszystkie zaproszenia,

Oprócz do łoży; mam co do czynienia...

Wacław.

Zatém do jutra.

Alfred *(idąc ku drzwiom).*

Tak, jutro, Wacławie,

Na twoje miłe rozkazy się stawię.

SCENA XI.

(Kamerdynery wynoszą kandelabry ze świecami, lampa zostaje.)

Justysia *(sama)*

(wygląda; potem wybiega; patrzy za drzwi, którem i wyszli; zamyka i wraca).

Wiem, wiem kto wróci, przysięgåłabym prawie,

Wkrótce usłyszę do okna pukanie.

Ach, mądry, kto na dole wymyślił mieszkanie !

(palec z palcem spotykając)

Otworzyć, nie otworzyć, otworzyć, otworzyć,

Otworzyć ! aha, tak z losu wypadło.

Muszę też i panicza trochę upokorzyć:

Niech choć raz własne zobaczy źwierciadło.

Justysia nie trzpiot, pomyśli o sobie,

Ważycь wszystkiego nie chce w każdej dobie ;

Jutro więc całkiem postać rzeczy zmienię,

(wyniosło)

Bo tak mi każe honor i sumienie.

(siada przy stole i po krótkim myśleniu)

Ale cóż znaczy, że go dotąd niema ?

Jednak podobnoś dał mi znak oczyma.

Gdyby... ha!... ciszej... jakiś szmer w ogrodzie.

Tak... on... niemylnie : poznaję po chodzie.

(obraca się tyłem do okna i zaczyna czytać; słychać pukanie w okno)

(odskakując na środek)

Ach ! ach !

Alfred *(za oknem).*

Justysiu ! to ja, otwórz.

Justysia.

Ja się boję.

Alfred.

Otwórzże prędzej ; bo na zimnie stoję.

Justysiu ! *(puka)*

Justysia *(cicho).*

Będę krzyczeć, Franciszku, Stefanie !

Gwałtu krzyczę, Janie ! Janie !

Alfred.

Ale, Justysiu, co robisz, dla Boga !
To ja, ja; nacóż ten hałas, ta trwoga ?

Justysia *(otwierając okno).*

Ach, to Pan jesteś.

S C E N A X.

Justysia, Alfred.

Alfred *(w oknie).*

A któżby też inny,
Tak odważny i tak czynny?

Justysia.

Takem się zlekła, że ledwie co żyję ;
Jak serce bije !

Alfred *(kładąc rękę).*

Czy doprawdy bije ?

Justysia.

Dotąd jeszcze przyjść do siebie nie mogę.
Jak można komu taką sprawić trwogę ?

Alfred.

Przepraszam cię, przepraszam.

Justysia.

Tak ! Rzecz niesłychana.
To okno, to drzwi dla Pana.

Alfred.

Prawda, wygodne.

Justysia.

O, wiem że nie trudzi
Przez okno łązić, ale straszyć ludzi...

Alfred *(klekając żartem).*

Przepraszam cię, królowo !

Justysia *(tym samym tonem).*

Przebaczam.

Alfred.

Więc siadam.

Justysia

(stając przed siedzącym na kanapie).

Co ja się Panu zawsze nie nagadam,

Poco tu przychodzić,

Mnie i Panią zwodzić?

Alfred *(biorąc ją za rękę).*

Brawo, Justysiu, morały!

Justysia.

Zdałyby się Panu, zdały.

Alfred.

Tak sądzisz?

Justysia.

Zapewne, bo...

Alfred *(sadzając koło siebie).*

Tylko gadaj zbliżka,

Z daleka nic nie słyszę.

Justysia.

Niechże Pan nie ściska.

Alfred.

Inaczej być nie może: chcąc pojąć morały,

Trzeba, aby do serca blizki przechód miały.

Justysia.

Pan wielki filut!

Alfred.

Początek wspaniały.

Justysia.

Bo czy też może na świecie uchodzić,

Żeby tak brzydko moje Panią zwodzić?

Alfred.

A któż ją zwodzi?

Justysia.

Piękne zapytanie!

Wszakże jej Pan przysięgasz do śmierci kochanie;

I dziś słyszałam, stojąc pode drzwiami,

Jak ją Pan łudzisz pięknymi słówkami:

(udając Alfreda)

„Chciałbym zapomnieć daremnie;

„Miłość ze życiem spleła się już we mnie,

„Ich węzła nieba nie wzruszą,

„Trwać i ginąć razem muszą.“

Alfred *(śmiejąc się).*

No, i cóż dalej?

Justysia.

Alboż jeszcze mało?

Alfred.

Cóż tak dziwnego w tém ci się wydało!

Mówię że kocham, ona zostaje w tej wierze,

Bo też ja ją kocham szczerze.

Justysia.

Hm, czy tak? a mnież?

Alfred.

Za tobą szaleję!

Justysia.

Lecz moja Pani inną ma nadzieję;

Jedynie kochając Pana,

Chce tylko sama jedna być kochana.

Alfred.

Sama jedna? co o tém, to niebyło mowy,

Tegom nie przyrzekł, to artykuł nowy;

Ale słuchaj, Justyniu, rok już blisko mija,

Rok, jak kocham Elwirę i ona mi sprzyja,

Rok, Justysiu, to nie doba!

Cóż więc dziwnego, że mi się podoba

Twarzyczka luba, dowcipne wejrzenie,
Co raz zgon wróży, raz ciska płomienie,
Uśmiech, co z marszem pomieszać się lubi,
Uśmiech zdradziecki, co każdego zgubi,
Usteczka małe, całuskom stworzone,
Objęcie pieszczone,
Przyjemność boska, boska postać cała;
Słowem, że się Justysia sercu podobiała.

Justysia.

Słówek nie braknie i choć im nie wierzę,
Nie wiem dla czego dotąd kocham szczerze,
Lecz gdy Pan nad rok już nie kochasz więcej,
To mnie tylko zostaje pono sześć miesięcy?

Alfred.

Nie, ciebie kochać będę nad wszelkie kochanie,
Póki będę mógł kochać, póki życia stanie,
Przysięgam!...

Justysia.

Hola! stój Pan, nie przysięgaj proszę:
Gdzie przysięg trzeba, tam nikną rokosze.

Alfred.

W jakimże dzisiaj Justysia humorze?
Łajesz mnie ciągle, ja słucham w pokorze.

Justysia.

Jeszcze raz tylko połaję.

Alfred.

Jeszcze raz jeden, przystaje,
Ale potem...

Justysia.

Naco też pisać listów tyle?
Mogą nas wydać, przykre sprawić chwile.
Dawniej je pani przy sobie nosiła,
Lecz teraz taka plika się zrobiła,

Że trudno unieść; więc je wszędzie kładzie:
Pełno ich w łóżku i w każdej szufladzie...

Ja umiem po francuzku.

Alfred.

A wiem, doskonale.

Justysia.

Wzięłam więc kilka.

Alfred.

Niepotrzebnie wcale.

Justysia.

Zda się wiedzieć o wszystkim, więcem je czytała:

Jakieżto nudne! Nigdybym nie chciała,

Żeby kto do mnie pisywał podobnie.

Nie jestże bardziej sposobnie,

Gdy sam przyjdzie i zabawi,

I lepiej wszystko wystawi.

Alfred.

Justysia ma rozsądek i woli rozprawiać,

Jak się listkami zabawiać;

Lecz twoja Pani inne ma żądania

I do tych moja powolność się skłania.

Justysia.

Ależ listy mogą zdradzić

I Panią, mnie i Pana w nieszczęście wprowadzić.

Alfred.

Nie mnie, bo ja ich nie piszę.

Justysia.

Któż taki? nie Pan? co słyszę!

Alfred.

Gdzież byłbym w stanie pisać te arkusze?

Ale gdy co dzień jeden list dać muszę,

Siedzi tam przy mnie jakiś Francuz stary,
Co gada dużo i pisze bez miary:

Jemu więc czasem dyktuję,
Czasem bezemnie przepisuje,
Czasem co doda, ja potém poprawię,
I tak co doba jeden list wystawię.

Justysia.

Lecz i takie wydać mogą.

Alfred.

Nie wymieniam tam nikogo
I pismo nie moje,
Więc się niczego nie boję.

Justysia.

Wież to Pani?

Alfred.

Brón Boże!

Justysia.

I to się tak godzi?

I to niby Pan nie zwodzi?

Alfred.

A? już gdérania dziś przebierasz miarę,
Więc pocałuj mnie za karę.

(Justysia się odsuwa)

Co, nie chcesz? więc ja ciebie za wszystkie urazy
Pocałuję cztery razy.

Justysia.

Nic z tego. *(ucieka)*

Alfred.

Blżej.

Justysia.

Dalej.

Alfred.

Zmuszę.

Justysia.

Wzbronię.

*(ucieka zasłaniając się krzesłami)***Alfred.**

Proszę.

Justysia.

Nie.

Alfred.

Nie?

Justysia.

Nie.

Alfred.

Ale jak dogonię!

(Alfred goni za Justysią pomiędzy krzesłami; zasłona spada.)

AKT II.

SCENA I.

Justysia.

Ciągle się lękać, być ciągle na straży,
Gdy inna miłość bezpieczna zię darzy,
Niema co myśleć, już wybór zrobiony:
Wacław zostaje, Alfred oddalony.
Tak... lecz od Pani jakże go oddalić?
Jak? żeby siebie we wszystkiem ocalić.
Trzeba dowodów... mamże służyć za nie
I wydać przeszłe nasze zachowanie?
Nie... listy... zazdrość... bajeczkę ułożę,
Pani uwierzy... on się wpłatać może.
Tak, dobrze... przytém, gdy wiedzieć nie będzie
Kto zdradził, a ja utrzymam go w błędzie
Przez łzy, przysięgi, rozpacz i szlochanie,
Co było, skrytém na zawsze zostanie.

SCENA II.

Justysia, Wacław.

Wacław (*wyglądając*).

Jest jeszcze pani?

Justysia.

Niema, już w kościele.

Wacław.

O, jakżem teraz polubił niedzielę!

W niej tylko chwilkę mogę żyć przy tobie;
Lecz nadal muszę myśleć o sposobie,
Jakbyśmy mogli bez ciągłej przeszkody
Wzajemnych uczuć udzielać dowody.

Lecz cóż, gdy do ciebie śpieszę
Z czulej miłości zapalem,
Kiedy naprzód się już cieszę
Szczęścia mojego podziałem,
Widzę cię smutną, oziębłą, nieśmiałą,
I lży... cóżto... cóż się stało?

Justysia.

Kochany panie, nie badaj przyczyny,
Nie troszcz się losem nieszczęsnej dziewczyny.

Wacław.

Jakto, twój smutek niema mnie obchodzić?
Takąż miłość widzisz we mnie?

Justysia.

Nic mego żalu nie może osłodzić,
Na cóż wyjawiać daremnie?

Wacław.

Zwierzyć swój smutek, to ulga jedyna:
Powiedz więc, jakaż leż twoich przyczyna?
Jeśli mnie kochasz!

Justysia.

Ach jakież żądanie!

Wacław (*prosząc*).

Luba Justysiu!

Justysia.

Luby, drogi Panie!

Pozwól, niech milczę.

Wacław.

Nie, to być nie może.

Justysia.

Później się dowiesz.

Wacław.

Nie, teraz chcę wiedzieć.

Justysia.

Smutku nie cofniesz.

Wacław.

Koniec mu położę.

Justysia.

Nie mogę.

Wacław.

Dobrze, możesz nie powiedzieć,
Wiem, te łzy twoje, wiem, co mogło sprawić,
Płaczesz, bo nie śmiesz w oczy mi wyjawić,
Żeś mnie już kochać tak prędko przestała;
Otóż to twoja tajemnica cała.

Justysia.

Cóżeś pan wyrzekł! Ach, takie mniemanie
Wyrywa przykre z ust moich wyznanie,
Że się na zawsze z panem rozstać muszę,
Że to jest tajemnica, co dręczy mą duszę.

Wacław.

Rozstać się ze mną?

Justysia.

Tak, i to w tej dobie.

Wacław.

Justysia żartuje sobie.

Justysia.

Nie, Panie, nie żartuję: wolę miejsce stracić,
Niżli za dobrodziejstwa niewdzięcznością płacić.
Nie, nigdy mojej Pani zmartwienia nie sprawię,
Tej z którąm wychowana od kolébki prawie,

Która mnie nieustannie łaskami obdarza
I we mnie przyjaciółkę, nie sługę uważa.

Wacław.

Bądź więc jej przyjaciółką, ale bądź i moją.

Justysia.

Nie, takie związki dla nas całkiem nie przystoją:
Zbłądziłam już zbyt wiele, lecz błędy poznaję;
A ponieważ żal szczéry każdemu zostaje,
Wstąpię dziś do klasztoru: tam w ostrej pokucie
Odkupię przeszłe grzechy, zgaszę błędne czucie.
Ach, dawniej tak uczynić potrzeba mi było!
Lecz nie znałam co to jest, że mi z panem miło,
Nie znałam co się dzieje, gdym pana kochała,
Bom, niestety, okropnej miłości nie znała.

Wacław.

Lecz dla czegoż okropnej, Justysiu kochana?
Okropność tylko przy tych, którym jest nieznana;
Stare tylko matrony miłością was straszą,
Niech mówią co chcą: miłość jest uciechą naszą!
Cóż tak strasznego w pieśzczot niewinnej słodyczy?
Pewnie nic, kiedy każdy pieśzczot sobie życzy.
A co zaś do klasztoru, powiem że w tej mierze
Jestem trochę niewierny, rzadko kiedy wierzę:
Takie zamiary często się odменя,
Są to zwyczajne panięńskie marzenia,
I ta, co do klasztoru śpiesznie się wybiera,
Pewnie za ślubnym wieńcem z pragnienia umiera.

Justysia.

Jakto, zwodzę?

Wacław.

Nie mówię, żebyś miała zwodzić,
Lecz mówię, że się mylisz, zresztą pocóż wchodzić,

Szczére czyli nie szczére twoje powołanie,
Dość że spełnioném nigdy nie zostanie.
Kocham cię, ty mnie kochasz, niech będzie dość na tém,
Bo cię na wszelki sposób pogodzę ze światem.

Justysia.

Nareszcie choćbym nie szła do klasztoru,
Muszę się ztąd oddalić dla mego honoru.
Jakaż mnie przyszłość czeka, jakąż mieć nadzieję!
Że biédną, opuszczoną.. Ach, cała truchleję!

Wacław.

A, miej lepsze mniemanie o moim honorze.
Że się kiedyś rozłączym, to wszystko być może;
Lecz opuszczoną Justysia nie będzie:
Jej los przed wszystkiém mieć będę na względzie.
Posag panieńskie zwykł pomnażać wdzięki:
Gdy go Justysia do swoich przyłączy,
Nie jeden pewnie zapragnie jej ręki,
Tak nie klasztorem wszystko się ukończy,
I jeśli słowom nie dowierzasz może,
Dziś jeszcze pismo w twoje ręce złożę;
Bo szkoda tę twarzyczkę kratami zasłaniać.
No jakże? Słówko. Myślisz... zdajesz się nakłaniać...

Justysia.

Ach, łatwo Pan zwycięstwo nade mną odnosisz,
Bo nie mogę odmówić, kiedy o co prosisz.

Wacław.

Więc zostajesz?

Justysia.

Zostaję.

Wacław.

Bardzo mnie to cieszy.
Ale kto prawdę kryje, ten najwięcej grzeszy;
Wyznajże szczerze, ja się nie urażę,

Czy w rzeczy klasztor był w twoim zamiarze?
Lub też czyś może chciała w mniej ostrym sposobie,
Do swej pokuty przybrać towarzysza sobie?

Justysia.

Oto piękne zapytanie! *(płacząc)*
Otóż nagroda za moje kochanie!

Wacław.

Kiedyż bo zaraz płaczesz.

Justysia.

Powinnabym szlochać,
Że na moje nieszczęście muszę Pana kochać;
Mogłam pójść za męża, być Panią bogatą,
Jednak dla Pana nie zważałam na to.

(płacząc)

Ale kiedy tak... kiedy tak Pan mniemasz,
Kiedy ufności w mojej cnocie nie masz,
Dostanę sobie męża będę swój dom miała
I będę sobie innych, grzeczniejszych kochała.

Wacław.

Ależ Justysiu, cóżto za myśl płocha?
Kto za męża idzie, ten innych nie kocha.

Justysia.

A kto się żeni?

Wacław.

Kto się, mówisz, żeni?
Kto już żonaty?... to jest kto ma żonę?...
To co innego... bo choć stan odmieni...
Mężczyźnie wszystko pozwolone.

Justysia *(do okna biegnąc).*

Ktoś wjeżdża... Pani!

(wybiega z pokoju)

Wacław *(sam).*

Jest, wraca, no proszę.
Co ja z tą żoną utrapienia znośzę!

To rzecz nieznośna a nawet i zdrożna,
Że w swoim domu nic robić nie można.

S C E N A III.

Wacław, Elwira.

Wacław.

Wierz mi, Elwiro, złą obierasz drogę,
Spokojnie patrzeć i milczeć nie mogę;
Czy moda, czy cudza rada,
Obie zarzucić wypada:
Wesołość, zabawy, stroje,
Wszystko to ma miejsce swoje;
Lecz obowiązki, zwłaszcza względem nieba,
Zawsze naprzód kłaść potrzeba,
Mieszać ich z sobą nigdy nie przystoi
I kto nagany się boi,
Ten swe czynności z każdą porą zgodzi.

Elwira.

Ależ nie wiem o co chodzi.

Wacław.

Wszakże powiadam, że wcale nie ładnie,
Kiedy która jak wicher do kościoła wpadnie,
Dziesięć razy się ruszy i wstanie i siedzie,
A zabawiwszy kwadrans wylatuje w pędzie,
Rzuca się do karety z równym szmerem, trzaskiem,
I próżniackiej gawiedzi cieszy się oklaskiem,
Która podobnież w niedzielnej oprawie
W publicznych miejscach stoi na wystawie.

Elwira.

Czy to do mnie?

Wacław.

Trzech minut nie byłeś w kościele;
Ale nie będę rozprawiał zbyt wiele,
Powiem ci tylko, że to śmiesznie bardzo,
Kiedy kobiety pozorami gardzą.
Nie dość być w duszy nabożną, cnotliwą,
Nie dość, uważną i tkliwą
Na najdrobniejszy uszczerbek honoru:
Potrzeba być tém wszystkiém także i z pozoru.

Elwira.

Tę bardzo słuszną przestrogę
Zdawna mam w duszy, więc przyjąć nie mogę.
Widząc szczęście w cichej cnocie,
O wrzasku świata nie myślę,
Ale nabożna w istocie
I na pozór zważam ściśle.

Wacław.

Czemuż tak prędko wracać?

Elwira.

Z jak najlepszej chęci:
Nie mogłam być spokojną i wyrwać z pamięci,
Że stangret na mróz taki stać musi na dworze,
Że cierpi dla mnie tylko, gdy nie cierpieć może.

Wacław.

Mróz? dzisiaj mróz? gorąco! tak pięknych dni mało.

Elwira.

Czy doprawdy nie zimno? więc mi się tak zdało.
Jestem szczerze nabożna i bywam w kościele,
Na rzecz jak i na pozór zważam bardzo wiele,
Lecz czuję, że nad wszelkie nasze powinności
Jest najświętsza, nieść ulgę cierpiącej ludzkości.

Wacław.

Choć bardzo pięknie mówisz, rozprawiasz gorąco,
 Gdzież tu przyłatać ludzkość i ludzkość cierpiącą,
 Że stangret w dobrém futrze godzinę zaczeka?

Jakże się prędko wasz umysł zacieka!
 Litość z rozsądkiem piękna, lubię ją i cenię;
 Lecz przesadzona, w śmieszne zmienia się marzenie.

Elwira.

W śmieszne marzenie, przyznaję;
 Lecz choć zamiar się nie ziści,
 To chęć dobra się zostaje
 W niezawodnej nam korzyści.
 O, jak słodko i przyjemnie,
 Gdy pomyśleć mogę sobie,
 Że ktoś pomoc znalazł we mnie,
 Że cierpieniom ulgę robię.

Ach, mój mężu! mów co chcesz, licz mi dzy przywary,
 Litość i dobroczynność nigdy niema miary;
 Ach, ludzkość bóstwem mojem! jej powab, jej siła...

(Wacław przed ostatnim wierszem wzruszył ramionami i odszedł, tak, że Elwira nie postrzegła jego niebytności.)

S C E N A IV.

Elwira, Justysia.

Justysia.

Tak prędko Pani wróciła?

Elwira.

Ach jakżem wrócić nie miała,
 Kiedym list do Alfreda oddać zapomniała,
 Weź i wręcz zaraz, jak tylko przyjedzie,
 A tak mieć będę odpis przy obiedzie.

Justysia (*biorąc list kiwa głową*).

List do Pana Alfreda?

Elwira.

Cóż znaczą te miny?

Justysia.

Boję się mówić.

Elwira.

Tylko bez przemowy.

Justysia.

Lepiej nie oddać.

Elwira.

Nie oddać? z przyczyny?

Justysia.

Uwierzysz Pani ?...

Elwira.

Nie kłóćże mi głowy,

Mów co masz mówić bez tego zachodu:

Wszystkiemu wierzę, lecz trzeba dowodu.

Justysia.

Ale wprzód Pani przyrzekniesz milczenie,

I że jakiegobądź wypadnie zdarzenie,

Nie wydasz zkaąd wiesz, co ci chcę wyjawić,

Gdyż to na zemstę może mnie wystawić,

A często dobrą sławą niewinnej dziewczyny

Może przez tych paniczów zginać w pół godziny.

Elwira.

Wszystko ci obiecuję, zaręczam, przyrzekam,

Tylko niech dłużej nie czekam.

Justysia.

Wyznam więc szczerze... ale ktoś nadchodzi,

Idźmy do siebie, nikt nam nie przeszkodzi.

Elwira.

Wielkie nieba! cóż się dzieje!
 Cóż będę słyszeć! ach, cała truchleję!
(odchodzą)

S C E N A V.

Alfred

(do kamerdynera pierwszy wiersz).

Proszę powiedzieć Panu, że go czekam.

(po krótkim milczeniu)

Długo wprowadzie z Elwirą zerwanie odwlekam,
 Ależ bo ta Justysia to luba dziewczyna,
 Rzadką jakąś nade mną władzę brać zaczyna.

Jej wesołość i jej wdzięki,
 Okraszają Elwiry nieustanne jęki;
 I tak mnie kocha to niewinne dziecię,
 Tak tylko mnie jednego widzi na tym świecie,
 Że się jej duszy i mym czuciom dziwię;
 Nareszcie i myśl przyjemna prawdziwie,
 Żem był jej mistrzem w nauce kochania,
 Wszystko mnie ku niej mimowolnie skłania.

S C E N A VI.

Alfred, Wacław.**Alfred.**

A, cóżto za mars? cóż ci to Wacławie?

Wacław.

Ból głowy.

Alfred.

Mnie się nie zdaje,
 Raczej przeszkoda w jakiej czulej sprawie
 Panu memu w drodze staje.

Wacław.

Cóż! mówisz do mnie jak przed dwoma laty,
Czyś zapomniał żem żonaty?

Alfred.

Bynajmniej, tego zapomnieć nie mogę,
Lecz choć w tę ciężką puściłeś się drogę,
Wiem że się trzymasz twoich zasad wiernie;
Rwiesz same kwiaty a omijasz ciernie;
Że nie chcesz bitym postępując torem,
Stać się małżonków sielankowych wzorem
I ślubnym prawom nie kładąc granicy,
Kądziel w ujęciu, u nóg połowicy,
Nie zechcesz ołowianej używać swobody;
Nadtoś żył w świecie, nadtoś jeszcze młody.
Jako, ów Wacław, cel tylu zazdrości,
Dziecko popsute szczęścia i miłości,
Trzecia osoba przy każdym małżeństwie,
Nigdy nie syty odmiany w zwycięztwie,
Co trwogą mężów, zdradą żon się wslawił,
Co tyle rokosz a potem łez sprawił,
Miałżeby przestać na dawniejszych czynach
I już spoczywać na swoich wawrzynach?

Wacław.

Tak, na wawrzynach spoczywam, Alfredzie.
Pókiśmy wolni lepiej nam się wiedzie:
Tytuł małżonka powagi dodawa,
A ta najmniej jest potrzebną,
I do ufności nabyte już prawa
Nie są rzeczą nam pochlebną.
Wolę ja zawsze kiedy mnie się boją:
Wtedy przyjaźnią nie zwodzą się moją,

W swoim znaczeniu biorą każde słowo,
I zwykłą drogę skracają połową.

Alfred.

Jakżeś mnie zdziwił tą nauką nową!

O mój mistrzu doskonały,
Czemuż twe dla mnie przykłady ustały!

Wacław.

O mój uczniu najmilszy! poznasz w swojej porze,
Że inaczej być nie może.

Niech się żonaty gdziekolwiek udaje,
Ileż przeszkód nie zastaje!

I jego żona, i mąż z drugiej strony,
Spokój domowy, familijne rady,
A co najgorsza nad wszelkie zawady,
Te, jak bijące na krogulca wrony,

Co swe grzechy przeżyły, stugębne matrony.

Jeśli zaś ujdę ich sowiemu oku

I skrytym będę w każdym moim kroku,

Jeśli nieznany zwiode i oddalę

Tak opiekuny, jak jawne rywale,

Choć szczęśliwym zostanę w jak najwyższym względzie,

Cóż? kiedy o tém nikt wiedzieć nie będzie.

Alfred.

Tak więc mężowie spokojni być mogą?

Wacław.

Najspokojniejsi, nie tylko przeze mnie:

Nikt ich już teraz nie nabawi trwogą

Albo nabawi daremnie.

Dzisiejsza młodzież zakochana w sobie,

Myśląca tylko o swojej ozdobie,

Co wszystkie kobiet śmieszności przejęła

I której jeszcze do całości dzieła

Tom II.

Spazmów i muszek tylko nie dostaje,
 Mniema, że dosyć, kiedy w szrankach staje,
 Raz się pokazać i raz się pochwalić,
 By wszystkie serca miłością zapalić.
 Któryż dziś umie w miłosnej potrzebie
 Nie znać, zapomnieć i poświęcić siebie ?
 Wyrzec się zdania swojej duszy prawie,
 Być w szczęściu, smutku, nadziei, obawie,
 Przez tę jedynie, dla której wzdychamy...

(ciszej)

Póki ją jeszcze o co prosić mamy.

Alfred.

A kiedy już nie mamy? cóż wtedy, Wacławie?

Wacław.

Trzeba nagle zmienić postać,
 I z węża lwem zostać.

Alfred.

A, niechże cię uściskam za takie nauki;
 Zmiłuj się, wydaj statut, a wdzięczne prawnuki
 Imię twoje będą czciły.

Wacław.

Nie żartuj sobie, własne me przykłady
 Mogłyby służyć za pewne zasady.

Alfred.

Żebyś pisał, żarty były;
 Ale to myślę prawdziwie,
 Że gdyś w miłości szczęśliwie
 Podobania się sztukę przywiódł tak wysoko,
 Warteś ciągnąć na siebie naśladowcze oko;
 Że nikt pierwszeństwa nie dojdzie w tym względzie,
 Kto zawsze tobie podobnym nie będzie,

Że winien w twoje postępować ślady,
A ty żeś winien udzielać swej rady.

Wacław.

Udzielać rady? komu, po co, na co?
Ospala młodzież, mężowie nie tracą.
Jako z nich jeden, ja się z tego cieszę
I z oświeceniem nigdy nie pośpieszę;
Lecz dla dobrego, jak ty, przyjaciela,
Chętnie się rada udziela,

A gdy dobrze użyjesz nauki ci dane,
Ja nagrodzonym za pracę zostanę.
Czyś ty myślał, że się smucę,
Gdy na spokój małżeński oko moje zwrócę?
O nie, ja tylko mówię, co wyznać należy,
Że niema teraz trwożącej młodzieży.

Alfred.

Nie pogardzaj nią zbyt wiele:
Wszakże z popiołów powstają mściciele.

Wacław.

Mówią to, że kto zwodzi ten bywa zwiedziony,
Że zawsze takie same i męże i żony,
I że pewny przypadek nikogo nie chybi,
Il die mihi, cras tibi,
Ale ja temu nie wierzę,
Mam na to sposoby moje,
Więc wszystkich przysłów w tej mierze
I mścicieli się nie boję.

Alfred.

Ty się nie boisz! ha, toś mnie zabawił!
Bo któżby się też obok ciebie stawil!

Któżby popełnił szaleństwo,
Walczyć z tobą o pierwszeństwo!

Wacław.

Poznam takiego gacha za pierwszém wejrzeniem.

Alfred.

Nie wielka też to sztuka z twojém doświadczeniem.

Wacław.

I muszę sobie przyznać, że mam wzrok nie lada.

Alfred.

Wiele przenikliwości, to każdy powiada.

Wacław.

Jakbym zechciał, to ledwie że myśli nie zgadnę.

Alfred.

Poznasz więc chytre słówka.

Wacław.

I w sidła nie wpadnę.

Jestem przytém ostrożny.

Alfred.

Aż się nieraz dziwię.

Wacław.

Ale nigdy zazdrośny.

Alfred.

Bardzo sprawiedliwie;

Bo też niema szkodliwszej nad zazdrość przywary

I mąż zazdrośny godzien zawsze kary.

Wacław.

Nareszcie z drugiej uważając strony,

Pewnym mnie czynią przymioty mej żony;

Jej szczéra miłość, dobre wychowanie...

Alfred.

Za sto Argusów stanie!

Wacław.

Lubi samotność.

Alfred.

Ustalisz ją snadnie.

Wacław.

Skromna, nieśmiała.

Alfred.

Ach, znam ją dokładnie!

Wacław.

A nadewszystko, że bardzo nabożna.

Alfred.

Większej rękojmi czyliż pragnąć można?

Wacław.

Tak więc jestem bezpieczny we wszelkim sposobie:

Ufam czasom, Elwirze a najwięcej sobie.

Znam ja, bom niemi chodził, wszystkie ścieżki, drogi,

Którymi się skradają chytre mężów wrogi;

Mam ja wszystkie fortele dokładnie w pamięci,

Nikt mnie nie minie, nikt się nie wykręci;

Bo wierzaj mi, że zawsze wódz biegły i stary

Młodzika w pierwszej wojnie niweczy zamiary;

Nareszcie, jak gra szachów, jest miłostek sztuka:

Każdy w niej do zwalczenia skrytej drogi szuka,

Lecz jeśli znawca jaki z zimną krwią zobaczy

Dwóch przeciw sobie zapalonych graczy,

Łatwo plan zgadnie i postrzeże wady;

A gdy jednemu zechce dawać rady

I przy nim ciągle jak na straży będzie,

Gdy Laufrów przejmie i zatrzyma w pędzie,

Konika zbije w najlepszym zamachu,

A zwłaszcza gdy Królowę ustrzeże od szachu,

Wtedy drugiego nieochybna strata:

Musi się poddać albo dostać mata.

Alfred.

Warteś katedry, ja zawsze powtarzam,
Nawet twoję naukę za ważną uważam,

I gdybym kiedy, gdzie urządził szkoły,
Zniósłbym dla niej prawnictwa niezdolne mozoły;
Bo dla czegoż, na przykład, uczyć się w tej chwili,

Jak się przed laty Rzymianie rządili;
Albo też wiele skudów zapłacić potrzeba,
By w kardynalskiej todze dostać się do nieba?
W miejscu więc mecenasów, ty na miękkim tronie

W liczném słuchaczów i słuchaczek gronie,
Uczyłbyś snadnie potrzebniejszej rzeczy,
Tak potrzebniejszej; bo któż mi zaprzeczy,
Że sposób jak najwięcej rokoszy nabycia
Jest, czego każdy szuka przez cały ciąg życia.

Kamerdyner (*wchodząc*).

Już jedénasta i konie gotowe.

Wacław.

Byłbym jazdę zapomniał przez twoję rozmowę;
Służę ci, jadę gdzie Panu wypada.

Alfred.

Mnie wszystko jedno.

Wacław.

To się nie powiada

I ja nie pytam, lecz w każdej potrzebie
Ślepym i głuchym zostanę dla ciebie.

(*chcąc odchodzić, kamerdyner wchodzi i oddaje bilet Wacławowi.*)

Wacław (*przeczytawszy*).

A że też dzisiaj nic mi się nie wiedzie!...
Zrób mi tę grzeczność, kochany Alfredzie,

Zaczekaj chwilkę, nie długo zabawię,
Tylko wiadomość zasięgnę o sprawie,
Której już dłużej nie mogę odwlekać;
Albo jeśli chcesz, to się gdzie spotkamy?

Alfred.

Nie, nie, tu wolę zaczekać;
Jeszcze dosyć czasu mamy.

(Wacław odchodzi)

SCENA VII.

Alfred.

Nie ludzie nami rządzą, lecz własne słabości,
Sens moralny tej rozmowy.

Kto pozna słabą stronę swego Jegomości,
Ma do domu klucz gotowy,
Wszystko mu stoi otworem
I wygodnym idzie torem...

Lecz sumienie, sumienie przyjaciela zwodzić!

Ha! ale też małżeństwo powinno się godzić;

Jeśli mniej kocham męża, za to więcej żonę;

Więc zawsze między niemi serce podzielone;

Żartuj sobie, Alfredzie, świat ci to odpłaci,

Żadna w nim czynność waloru nie traci.

Ach, czy nic obyczajów nie zdoła odmienić,

Jak się będę żenić!

SCENA VIII.

Alfred, Elwira.

Elwira.

Ach!

(na stronie)

Boże! on tu jeszcze!

Alfred (*z troskliwością*).

Elwiro kochana,

Cóż znaczy, powiedz, ta twarz zapłakana?

Jeśli ci jeszcze drogie moje życie,

Uśmierz niepewność sroższą nad wszelkie odkrycie,

Ach, powiedz duszo moja, co się ze mną dzieje?

Elwira.

Zdrajco! i ty się pytasz czemu ja łzy leję?

Jakto? i oka ode mnie nie zwracasz?

Czyż głos sumienia już nie znany tobie?

Za czułą miłość wzgardą mi odpłacasz,

Przysięgasz, zdradzasz, dwakroć w jednej dobie,

Lód w twojej duszy, kiedy ja goreję,

I ty się jeszcze pytasz, czemu ja łzy leję?

Tak jest, płakałam, bo się sobą brzydzę,

I teraz jeszcze płaczę, lecz że ciebie widzę.

Ale nie myśl, że miłość łzy moje wysąca,

Chytróść twoja mnie z tobą na zawsze rozłącza;

Ile kochałam, tyle nienawidzę,

Cieszę się nawet, czuję rokosz w duszy,

Żeś mnie z miłosnej uwolnił katuszy,

Żeś mnie objaśnił, ile godne wiary

Tobie podobne poczwary.

Alfred.

Uspokój się, Elwiro...

Elwira.

Łatwo z mojej zguby

Przyszło ci dostąpić chluby;

Bez doświadczenia, bez rodziców rady,

Rzucona w świata szkodliwe przykłady,

Z pragnącą duszą dzielenia się z drugą,

Zyskać mą ufność nie bawiło długo.

Oziębłość męża i twoje zalety,
O których zawszem słyszała, niestety!
Wszystko ku tobie me serce skłaniało,
Wszystko walczyło odporu już mało;
Zwyciężyłeś, lecz kiedy ja w szczérej żałobie,
Kochając, cnotę poświęciłam tobie,
Ty swoją zdradą cieszyłeś się skrycie;
Lecz niczém zdrady byłoby użycie,
Niczém i sztuka uwodzenia cała,
Gdybym cię tylko mniej była kochała!

Alfred.

Możeszże myśleć...

Elwira.

Jestem występna, przyznaję,
Nie chcę taić moich błędów,
Hańbą okrytą zostaję
I niewartą żadnych względów.
Zdeptałam świętość skromności i wiary,
Godnam tak bolesnej kary.
Ale czyżto tobie karać mnie przystało?
Krwawić serce, że ciebie swoim bóstwem miało?
Jeśliś nigdy nie kochał, nie znał ognia duszy,
Co namiętym pożarem źródło życia suszy,
Co w serce wciska i razem w niém mieści
Obok lubej rokoszy najsroższe boleści,
Cóż nieszczęsna Elwira mogła ci przewinić,
Żeś ją starał się gwałtem występna uczynić?

Alfred.

Cóżem zrobił...

Elwira.

Ach Alfredzie,
To być nie może, mnie błędna myśl wiedzie,

Ty mieć nie możesz duszy tak nikiemnej,
Nie zdeptałbyś ludzkości dla chluby daremnej
I łzami memi twej cnoty nie zmazał:
Tyś musiał mnie porzucić, honor ci tak kazał.
Wszak prawda? powiedz, musiałeś mnie zwodzić,
Ciężkim pociskiem w to serce ugodzić;
Ach powiedz, zaklinam cię, zmniejsz, skryj twoję winę,
Jak najpłonnniejszą wynaleź przyczynę,
Jak najmniej wiary godną, ja chcę, ja uwierzę;
Lada pozoru uchwycę się szczerze,
Nie żebym w dawnych marzeniach została,
Lecz żebym ciebie cnotliwszym widziała.

Alfred.

Zgaduję teraz twych żalów przyczynę:
Zazdrośnaś, i o kogo? O biedną Alinę;
Ale jakżeś ją mogła porównywać z sobą?
Ty, która jesteś płci pięknej ozdobą,
Ty, przed którą pół świata musi się uniżać,
Ach, jakżeś mogła tak sobie ubliżać
I brać za miłość rozrywkę z mej strony?
Lecz żebym cię przekonał, ile jest ceniony
Każdy zadatek uczucia Aliny,
Oto jej bilet, w swym guście jedyny,
Mocny morałem i wczesną obroną,
Obok obietnic, o co nie proszono.

(drąc list)

Zdzieram go w sztuki, bądź pewna że szczerze,
I u nóg twoich kładę go w ofierze. *(zbliża się)*
Zgoda zatem, Elwiro, niechaj znowu stanie,
Przebaczam nawet dla niej, krzywdzące mniemanie.

Elwira.

Precz ode mnie, poczwaro! O łaskawe nieba!
Ileż podłości poznawać mi trzeba!
Alinę? ty? Alinę?... czyż mnie słuch nie myli?
W tej samej dobie; w tejże samej chwili,
Kiedy przysięgasz?... Nie, nie, wielki Boże!
Głos mój tej zgrozy wyrazić nie może;

(do siebie)

I toż jest dusza, którą ja wielbiła!

(do Alfreda)

Więc i Alina twe żądze wzbudziła?
Jeszcześ winniejszy, jeszcze winna nowa.
Lecz tu nie o Alinie między nami mowa.

Alfred.

O kimże?

Elwira.

O Justysi, zdrajco!

Alfred *(na stronie)*.

Dażem sobie...

Elwira.

Nie szukaj zdrady, nie myśl o sposobie
W inném świetle się wystawić,
Wiem wszystko, nic nie zdołasz zaprzec lub wyjawić.
Lecz nie chcę z tobą i minuty strawić:
Skrócę przykre nam uczucie,
Kładąc koniec tej rozprawie.
Sama oddam się pokucie,
Ciebie zgryzotom zostawię.
Ale nie, tego co spodlił mi duszę,
Nieszczęsna, łaski jeszcze błagać muszę,
Udział spodlonych! krok pierwszy sromoty!
Zaklinam cię więc, na najświętsze prawa

Litości, jeśli nie cnoty,
Zachowuj przyjaźń Wacława.

Alfred.

Ale słuchaj mnie!...

Elwira.

Zbyt nagle zerwanie

Może skazówką dla świata zostanie.

Jeśli mam tyle cierpieć, niechże cierpię skrycie...
Albo nie, idź, głoś, chwal się, zatruj nędzne życie,
Powiedz światu, uciesz go mych błędów obrazem,

Uciesz; ale powiedz razem,
Że ile zgryzot cierpię z utraty honoru,
Tyle wstydzić się muszę mojego wyboru.
(odchodzi)

SCENA IX.

Alfred

(po krótkim milczeniu).

Ach jakże ładna, kiedy się rozgniewa!
Jeszcze tak ładną nigdy nie widziałem;
O, na honor, przeproszę, niech się nie spodziewa...
Ale stój, hola! wszak się rozstać chciałem?
Dobra sposobność; lecz tak wypędzony,
Złajany, wzgardzony...
Nie, nie, pójdę, przeproszę a potem... cóż potem?
Porzucę... fe! i cóżbym zyskał takim zwrotem?
Zostawmy im tę chlubę, której każda chciwa,
Że to one rwą zawsze miłośne ogniwa.

(po krótkim myśleniu)

Podarłem bilet, kaci wiedzą na co;
Nie bardzom gładko postąpił w tej mierze.

(zbierając kawałki podartego listu)

Lecz te kawałki waloru nie tracą,

Owszem, z nich każdy dwakroć większy bierze:

Powiem, żem uratował od zazdrośnej ręki,

A za to Aliny wdzięki...

Aj, wdzięki nie zbyt wdzięczne, to przyznać wypada;

Rozumu jak na próbkę, długa, prosta, blada...

Ale mąż, mąż zazdrośny; uciecha jedyna!

Niechaj tylko ten utraci,

A co mi ujmie z roskoszy Alina,

Mąż zazdrością dwakroć spleci.

Ale biedna Justysia, ktoś to nas mógł zdradzić?...

Mniejsza z tém... miejsce straci... potrzeba zaradzić...

U Aliny ją umieszczę!

Brawo, brawo, wyśmieniecie!

Żyj Alfredzie, krótkie życie!

Lecz z Elwirą chciałbym jeszcze

Choć na pozór się pogodzić.

Ale jak ją ułagodzić?

Kamerdyner *(wchodzi).*

Pan Hrabia czeka i prosi do siebie.

Alfred *(biorąc kapelusz).*

Ha! zobaczymy, koncept przychodzi w potrzebie.

(wychodzi)

A K T III.

SCENA I.

Elwira, Justysia.

(Elwira siedzi oparta na stole, trzymając chustkę na oczach.)

Justysia *(wnosząc kilka pakietów).*

Otóż Pana Alfreda słodziutkie bilety,
Zewsząd, gdzie mogła zgadnąć, zbierałam pakiety:

Z środka kanapy ta największa plika,

Ta z pod krosienek, a ta ze stolika,

Te zaś z komody związane łańcuszkiem,

Ten pakiet był za biurkiem, a te dwa za łóżkiem;

Patrzałam, szukałam wszędzie,

I zdaje mi się, że już wszystko będzie.

Elwira.

Jeszcze nie wszystko.

Justysia.

Jeszcze nie? gdzież skryte,

Niech Pani powie, te skarby obfite?

Elwira.

Są jeszcze za portretem.

Justysia.

Czym?

Elwira *(z westchnieniem).*

Mego męża.

(do odchodzącej)

Ach, i pod ołtarzykiem, gdzie się modłę codziennie.

(Justysia odchodzi)

S C E N A II.

Elwira.

O, jakże litości godzien
Kogo miłość uciemieża!
Próżno rozsądku przyzywa,
I nienawiść nieci w sobie,
Wrzące czucie wszystko zrywa,
Świat w kochanej ma osobie.
Próżno powtarzam, że go nienawidzę,
Że się taką duszą brzydzę,
Ach, próżno w męstwo, wstręt, we wzgardę się zbroję:
Jego serca szuka moje,
Chcąc mych nieszczęść dójść przyczyny,
Moim kosztem go tłómaczę,
Chcąc żałować mojej winy,
Jego straty tylko płaczę.

S C E N A III.

Elwira, Justysia.**Justysia.**

Tą razą pewnie wszystkie, i kącika niema,
Gdziebym nie była własnymi oczyma;
A teraz ogień czém prędzej rozłóżę,
Niechaj jeden po drugim, jak złoczyńca zgorze.

Elwira.

Jakże, Justysiu, twego zezwolenia czekał?
Chciał cię ztąd wykraść i stałość przyrzekał?

Justysia.

Wszak już mówiłam: chciał mnie uprowadzić,
Miłość przysięgał, lecz ja nie chcąc zdradzić...

Elwira.

On cię także nie kocha i tylko cię zwodzi.

Justysia.

Tego nie wiem.

Elwira.

O, pewnie, wątpić się nie godzi,
Gdzieżby mógł Alfred zakochać się w tobie?

Justysia (*urazona*).

Czemuż nie? Cóż to Pani widzisz w mej osobie,
Coby mi w sercach odrazę czyniło?

Elwira.

No, no, mniejsza z tém, jak było tak było.
Ale trzeba odesłać wszystkie jego dary;
Nie możesz ich zachować.

Justysia.

Wszak dla lepszej wiary
Wzięłam i dotąd mam jeszcze przy sobie,
Lecz co Pani rozkaże, to z niemi dziś zrobię.

Elwira.

Jakże, Justysiu, nie on pisał listy?

Justysia.

Wszak dałam Pani dowód oczywisty
I sam wyznał niestałość, czyliż jeszcze mało?
Lecz na cóż myśleć o tém, co się stało?

Elwira.

Dobrze mówisz, Justysiu, już myśleć nie trzeba.
Za moję ufność tak zdradzić, o nieba!
Takem wierzyła, takem go kochała,
W niego już przeszła dusza moja cała!

Justysia.

Cóż z tej miłości, kiedy zawsze z trwogą,
Kiedy z jej łaski łyzy oschnąć nie mogą;

Od jej zawiązku w jakiejbądź zabawie,
 Wesołą Panią nie widziałam prawie.
 Leżą w szufladach paryzkie ubiory,
 Tak innym damom do nabycia trudne:
 Czepeczki, wstążki, batysty i mory,
 A pelerynki, pelerynki cudne,
 Szlarki anielskie, a zwłaszcza te w ząbki,
 Leżą nietknięte jakby stare rąbki.

(z rozczerwieniem)

Wszystko Pani przeglądasz obojętnym wzrokiem,
 Kaszmir, jak i perkalik równem widzisz okiem,

(coraz bardziej rozczulona)

Girlandy nie chcesz nosić, stronisz od zwierciadła,

Słowem okropność w tym domu osiadła!

Wszystko to tej miłości nieszczęsne są skutki;

Lecz teraz przecie, jak miną te smutki,

Powróci spokój, zgryzoty się zmniejszą.

Elwira.

Dobrze mówisz, Justysiu, będę spokojniejszą.

Chwile rokoszy! nic was nie zatrzyma

I nadziei nawet niema!

Zniknął sen szczęścia, zniknął mój świat cały,

Tylko żale mi zostały!

Justysia.

Miną i żale jak i tamte chwile,

Lecz nacóż wspominać tyle,

Nacóż rozmowę zawsze je odnawiać?

Elwira.

Dobrze mówisz, Justysiu, nie trzeba rozmawiać.

Ale powiedźże sama, jakie miał wejście,

Kiedy swych uczuć dawał zapewnienie:

Ten uśmiech czarujący i ten wyraz w twarzy,

Którym Bóg tylko kochających darzy!

Justysia.

Prawda, miły, przystojny i przysięg nie skąpi;
Ależ mu i Pan Hrabia w niczém nie ustąpi.

Także przyjemny, przystojny i młody,
Pragnie spokojnej, domowej swobody,
I choć teraz oziębły, ja powiadam przecie,
Że niezadługo kochać się będziecie;
Niechaj się tylko Pan Alfred oddali.

Elwira.

Dobrze mówisz, Justysiu, będziem się kochali.
Ale jesteś ty pewna, że on nie żartował?
Może on tylko ufności próbował?

Justysia.

Czy tak? no, to wiem, co wszystko ma znaczyć:
Niechże i zaraz przyjętym zostanie;
Możesz się Pani przed nim wytłómaczyć,
Nawet przeprosić po wziętej naganie.

Elwira.

Kto? ja? ja tego zdrajcę miałabym zobaczyć?
Jeszcze przed nim się tłómaczyć?
Ja go nie cierpię! ja go nienawidzę!
Samém wspomnieniem się brzydzę!
Daj, daj te listy.

Justysia.

Na cóż Pani bierze?

Elwira.

Pójdę do siostry.

Justysia.

Więc można zostawić.

Elwira.

Nie; unikając domysłów w tej mierze,
Ztamtąd chcę wszystko do niego wyprawić.
Ty zostań, powiedz, jak Wacław przyjedzie,

Że już nie będę w domu na obiedzie,
 Bo przy słabszej dziś siostrze, cały dzień zabawię.
(Elwira zabiera pakiety listów w swój szal i odchodzi.)

SCENA IV.

Justysia.

Ciesz się, Justysiu i ciesz się, Wacławie!
 Otóżto główka, dalibóg nie lada.
 Wszystko co chciała, najlepiej wypada!
 Nie będę teraz lękać się co chwilę,
 Będę tu Panią, kochać i żyć mile,
 Wszystko spokojnie, wszystko z dobrą sławą,
 Brawo Justysiu! brawo! *(śpiewa i tańczy)*

Brawo, brawo, brawo!

(Wacław wchodzi i staje w głębi)

Brawo Justysiu, brawo!

Wacław *(kończy na tę samą nutę).*

Brawo, brawo, brawo!

(nastawia ręce, Justysia wpada w objęcie)

SCENA V.

Justysia, Wacław.

Justysia.

Ach, trzymaj mnie Pan! w głowie mi się kręci...

Aj, aj upadnę!

Wacław.

Nie brak mi na chęci:

Będę cię trzymał nawet i do nocy

I choćbym osłabł, znów przyjdę do mocy.

Justysia.

Nie, sięść wolę. *(Idzie do kanapy wsparta na Wacławie)*

Wacław.

I owszem, usiądziemy sobie.

*(siadają)***Justysia.**

Wszystko to fraszka, ale ja źle robię,
 Że Pana szukam cobym miała stronić;
 Będę ja za to leż niemało ronić...
 Niechże Pan, proszę, trochę dalej siedzie.

Wacław.

Wszystko to fraszka, co było i będzie,
 Byle cię tylko przycisnąć do łona...
 Ale słuchajno, gdzie jest moja żona?

Justysia.

Poszła do siostry, która bardzo chora;
 Przysłała po nią, zatem do wieczora,
 Jeśli nie dłużej, będzie przy niej siedzieć,
 O czém mi Panu kazała powiedzieć.

Wacław*(śpiewając na tę samą nutę).*

Brawo Justysiu, brawo, brawo, brawo!
 Raz przecie nie potrzeba dręczyć się obawą:
 Od rana do wieczora będziem tylko dwoje;
 A, niechże cię uściskam za poselstwo twoje!

(całuje ją)

SCENA VI.

Wacław, Justysia, Elwira.**Elwira** *(wbiegając).*

Zapomniałam...

(postrzegając)

Cóż to jest? cóż to jest? Wacławie?

Wacław.

Co to jest? he... takto te... takto nie chcąc prawie,

Jakieś figle się wzięły... łaskotek się bała...

(śmiejąc się z przymusem)

Łaskotek... otóż jakoś... i tak się rzecz stała.

Elwira *(do Justysi).*

Precz! idź mi z oczu, jaszczurko zjadliwa,

Którąm przy sercu pieściła tak długo!

Takaż nagrodę bierze przyjaźń tkliwa?...

Precz z mego domu, teraz tylko sługo,

Nie wartaś słyszeć i słowa ode mnie.

Prowadź tak życie, jak zdradzasz nikczemnie!

(Justysia oddala się wgłąbsz sceny powoli i zatrzymuje się ze spuszczonemi oczyma)

(do Wacława po krótkim milczeniu)

Ach mężu, jakżeś w jednej mógł zapomnieć dobie,

Coś winien swojej żonie, coś winien sam sobie?

Takimże związkiem Wacław się zaszczyca?

Takaż rywalkę daje mi, niestety?

(spoglądając na Justysię)

Lecz gdzież ta piękność, która was zachwyca?

Jakież przymioty, jakieżto zalety

Tak wasze głowy zajęły szalenie?

(z ironią)

Niechże je poznam, niechże i ja cenię;

Gdy już z tém bóstwem równać się nie ważę,

(kłaniając się Justysi)

Niechże dziś cześćią, przeszłą winę zmażę.

Teraz dopiero dochodzę przyczyny,

Czemu oziębły zawsze byłeś ze mną:

Jam oddalała życzeń cel jedyny,

Jam tylko w domu nie była przyjemną;

Dla tegoś to chciał zawsze mnie wyprawić,

Abyś mógł częściej godziny z nią trawić.

Otóżto wszyscy tacyście mężowie:

Czuli, wierni, tylko w mowie;

(coraz prędzej)

Sami zły przykład dajecie,

A dobre żony mieć chcecie;

Chcecie aby biedna żona,

Choć zwiedziona, choć wzgardzona,

Zawsze równie was kochała,

Wam wierzyła, was słuchała,

I za wszystkie swoje męki

Jeszcze Panu nosła dzięki;

Żeby jego znała wolę,

Ukrywała swą niedolę,

Żeby tylko sługą była...

(tu pakiet jeden listów wypada z szafy)

Ach! ach!

(chce podnieść, pakiet drugi wypada i następnie wszystkie)

O nieba! cóżem uczyniła!

(zakrywa oczy chustką i rzuca się na krzesło. Justysia się przybliża)

Wacław

(podnosząc jeden pakiet).

Co to znaczy, Elwiro? aj... Elwiro! żono!

Co to jest? te... te listy, to do ciebie pono.

A to pięknie! to śmiesznie! *(przewracając listy)*

Od kogo? do kogo?

Powiedźże, czyje te listy być mogą?

(trąc list w rękę; z wrastającą niespokojnością)

Powiedz, duszyczko, ja cię bardzo proszę,

Ja ztąd nic złego, całkiem nic nie wnoszę,

Ja nie posądzam; ależ to nie ładnie

Czekać, aż twój mąż tajemnicę zgadnie.

Czyjeż te listy? żono droga, miła!

Tylko jedno, jedno słowo,

Dopieroś tyle mówiła!
Odpowiedzże mi, daj znak, kiwnij głową.

Elwira.

Nie mogę.

Wacław.

Dziwnie! Jednak wiedzieć muszę.

Elwira.

Chętniebym całą odkryła ci duszę,
Ale przysięgam, nie o mnie mi chodzi.

Alfred

(wchodzi i chce się cofnąć).

A, przepraszam.

Wacław.

Nic nie szkodzi.

Alfred.

Może w zły czas...

Wacław.

I owszem; mam pomówić z tobą.

Elwira *(wstając).*

A, tego już nie zniosę. *(odchodzi)*

Justysia

(przybliża się do Wacława).

Przed obcą osobą...

Wacław.

Oddal się. *(dzwoni, i mówi do kamerdynera)*

Wejść tu teraz niewolno nikomu:

Wszystkim powiadać, że mnie niema w domu.

(Justysia odchodzi)

SCENA V.

Wacław, Alfred.

(Alfred wszedłszy i postrzegłszy swoje listy, okazuje wewnętrzne pomieszczenie, zaciera ręce i nuci czasami, poglądając raz na listy, raz na Wacława. Wacław zamyka drzwi któremi Elwira wyszła.)

Alfred*(z przymuszonym śmiechem).*

Cóż? zamykasz?

Wacław.

Zamykam.

(długie milczenie. Alfred zawsze niespokojny a Wacław drugie boczne drzwi zamyka)

Nikt nam nie przeszkodzi.

Alfredzie, przykre dla mnie zdarzenie zachodzi,
Przykre i wyznać, ale znając serce twoje,Znając i szczerą przyjaźń, chybić się nie boję,
Gdy miłość własną przytłumiając w sobie,

Zgryzot domowych wyznanie ci zrobię.

Właśnie nim wszedłeś, minut kilka, moja żona,

Nie wiem, przeciw tam czemu gniewem uniesiona,

Upuściła przypadkiem tych listów tysiące;

Jej krzyk, jej pomieszanie, wszystkie członki drżące,

Jakaś w tém tajemnicę wskazywać się zdały,

Podnoszę, czytam i stoję zdumiały.

Czy uwierzysz? patrz, same miłosne wyznania,

Jakieś skryte umowy, jakieś rady, zdania,

Przysięg krociami... słowem, znajduję bilety,

Jakie się zwykle piszą do kobiety,

Która nam uczuć całkiem już nie kryje

I z którą się... nareszcie jak najlepiej żyje.

Pytam, proszę, zgaduję, błagam czy się dziwię,

Elwira milczy.

Alfred.

Milczy?

Wacław.

Milczy uporczywie,

I tylkom to mógł wyrwać z pomiędzy szlochania,

Że ją w tém obce dobro do milczenia skłania.

Co tu więc z tego wnosić, co czynić wypada
Powiedz, i niech mnie twoja objaśni w tém rada.

Alfred.

Ja sędzę, że Elwira całkiem jest niewinna,
Chyba w tém, że ci kryje, co zrobiła inna!
Ależ trudno wymagać po czulej osobie,
By zwierzenia przyjaźni powierzała tobie.

Wacław.

Ale czyjeż być mogą? jej związki mi znane,
A potem, przyjaciółki gdzież są tak wylane,
Aby sobie podobne powierzały rzeczy?

Alfred.

Prawda, dobra uwaga, lecz któż mi zaprzeczy,
Gdy te listy pisane przynajmniej od roku,
Że ten związek twojemu nie uszedłby oku?

Wacław.

Znasz mnie, na co mam gadać, jabym też nie zoczył!
Dla tegomto z Elwirą rozmowę odroczył;
Nie chciałem, aby zgadła co się ze mną działo
I myślała, że sobie i jej ufam mało.
Nareszcie, na uwagę wszystko biorąc ściśle,
O rozumie Elwiry z większą chlubą myślę:
Lepiejby przecie pisał od niej ulubiony.

Alfred.

Czemu?

Wacław.

To jakiś student sztychował androny.

Alfred (*urazony*).

Dla czegoż student?

Wacław.

Bo głupie potroszę.

Alfred.

Ale dlaczego głupie, powiedzże mi, proszę?

Wacław.

Na, masz, weź ich kilka, czytaj,
A potem, czemu głupie, sam siebie zapytaj.
Nie do mojej więc żony te listy pisane;
Pewnie, jednak spokojnym póty nie zostanę,
Póki całej nie będę tajemnicy wiedzieć.

Alfred.

Niepotrzebna ciekawość cudze sprawy śledzić.

Wacław.

Wybacz, nie bardzo cudze, gdy o żonę chodzi.

Alfred.

Fe! wstydz się, fe! Wacławie, zazdrość cię uwodzi.

Wacław.

Zazdrość?

Alfred.

Zazdrość.

Wacław.

Mylisz się.

Alfred.

Porzuć więc badanie,
Zwróć listy, przeproś żonę i koniec się stanie.

Wacław.

Nie, nie, zazdrość nie zazdrość, niechaj co chce będzie,
Ja dzisiaj objaśnionym muszę być w tym względzie.

(po krótkim milczeniu)

Niech tylko jaki pozór na myśl mi przypadnie...
Z kimże żyje Elwira? wszystkich znam dokładnie.

Alfred.

Czekaj, co za myśl! Może... tak jest nie inaczej:
Justysia jej służąca, przyjaciółka raczej,
Co się swą francuzczyzną często lubi chwalić,
Wszak łatwo mogła kogo miłością zapalić;

A naśladować modę i wieku zwyczaję,
Chociaż Polka, po polsku w miłość się nie wdaje:
Wszystko więc po francuzku, bilet i rozmowa.
Tak robią nasze panie, tak świata połowa,
Dla czegożby Justysia nie tak robić miała
I umiając inaczej, po polsku pisała?
Nawet przypomnij sobie, gdym wszedł niespodzianie,
Szła, wróciła i pono... prawda, wyśmienicie,
Chciała ci mowę przerwać i wstrzymać odkrycie;
Tak, wierzaj mi, niepróżne są domysły moje.

Wacław.

Justysia? to być może, wiesz, tego się boję.

Alfred.

A tobie coto szkodzi?

Wacław.

No, jużci nie szkodzi,
Ale to w moim domu... jakoś nie uchodzi...
Aby pod moim bokiem... moralność cierpiała.

Alfred (*z ironią powtarzając*).

Aha, moralność!

Wacław.

Zatém jest to rzecz nie mała...
Ale na cóż przed tobą mam się kryć w tej mierze,
Kiedym zaczął się zwierzać, z wszystkiego się zwierzę:
Otóż widzisz, Justysia... ale nie wnoś sobie,
Że ona jest służącą w zwyczajnym sposobie;
Ona wzrosła z Elwirą, wzięła wychowanie,
Któreby dobrém było nawet w wyższym stanie,
Od swych nauczycieli korzystała wiele,
I znając ją dokładnie, mogę wyznać śmielee...

Alfred (*z niecierpliwością*).

No i cóż ta Justysia?

Wacław.

Otóż ta dziewczyna...

Chciałbym, żebyś z nią mówił, to rokosz jedyna!
Trudno prawdziwie wierzyć, jak ma dobrze w głowie,
Jak rozsądna, przyjemna, wesoła w rozmowie...

Alfred.

No, no, i cóż Justysia?

Wacław.

Wszystko wyznać muszę:

Otóż... a co najbardziej zaszczyca jej duszę,
To jest dobroć anielska z tym czułym wyrazem...

Alfred (*z niecierpliwością*).

Ale cóż ta...

Wacław.

A zwłaszcza ma... coś... coś... tak razem...

Alfred.

Ma coś, ma, ma, wiem ja, wiem; ale skończ u kata!

Cóż ta Justysia? ta ozdoba świata...

Wacław (*wpadając w mowę*).

Bardzo mi się podobała.

Alfred.

Tak?

Wacław (*prędko*).

Kochamy się wzajemnie

I umiemy żyć przyjemnie;

Otóż okoliczność cała.

Alfred.

Umiecie żyć przyjemnie? umiejętność rzadka;

Lecz jakże już trwa dawno ta dla mnie zagadka.

Wacław.

Od dwóch tygodni jestem pewny że mnie kocha.

Alfred (*na stronie*).

Od dwóch tygodni mnie zwodzi.

Wacław (*zastłyszawszy*).

Czy zwodzi?

Otóżto właśnie i mnie o to chodzi;

Ale znowu nie jest płocha

I te listy w takim zbiorze,

Nie, to być nie może.

Ale, hm, prawda, przypominam sobie,

Ktoś się w niej kochał młody i bogaty,

Raz mi wspomniała w dość dziwnym sposobie,

Nawet się śmiała z kochanka utraty.

Lecz jeśli mając te oba przymioty,

To jest, młodość i klucz złoty,

Nie umiał panicz wyszukać sprężyny,

Do ustalenia tak młodej dziewczyny,

To już być musiał, mówiąc między nami,

Gap', ale gap' nad gapiami.

Alfred (*nieukontentowany*).

Jakiżeś dziś domyślny.

Wacław.

Więc tém się nie straszę.

Ale to próżne są domysły nasze;

Wolę Justysię tu przysłać do ciebie,

Staraj się, proszę, w pewnoś ją wprowadzić,

Że chcesz dopomódz tę sprawę zagładzić;

Ofiaruj się jej w potrzebie,

Że przyjmiesz nawet i listy na siebie,

Że... ale ty potrafisz sobie z nią poradzić,

A ja tymczasem aż do nóg zniżony,

Będę o spokój wszystkich prosić mojej żony.

(*odchodzi*)

S C E N A VIII.

Alfred (*ciska listy o ziemię*).

Niech cię!... wierz tu kobietom, bądź szczéry, bądź
stały,

W pole cię wyprowadzi lada nosek mały.

(*chodzi dużym krókiem*)

Dziecko ... niewinność... słoweczka pieszczone...

No proszę, prócz niej, każdy był zwiedziony;

Żona od męża, mąż znowu od żony,

Ja zaś zwodziłem i męża i żonę,

A ta najlepiej, duszyczka kochana,

Bo zwiódła i mnie i Panią i Pana.

S C E N A IX.

Alfred, Justysia.**Alfred.**

Pięknie, Panno Justyno, najpiękniej, wybornie!

Czemuż oczki spuszczone? czemu tak pokornie?

Już mnie nie zwiódą te minki udane:

Znane jej serce, nadto dobrze znane;

Nic nie chcę słuchać, nic zmiękczyć nie zdoła.

(*po krótkim milczeniu*)

Cóż, nic nie mówisz? nie śmiesz podnieść czoła?

Zwiódłaś mnie dla drugiego, zastąpi go trzeci,

Fe, wstydz się Mościa Panno; nic bardziej nie szpeci

Jak płochość, chytrość, zmienność i nieczułość razem,

A wszystkich tych przymiotów Waćpanna obrazem.

(*Justysia, która dotąd stała ze spuszczonej oczyma i pokornie słuchała, parska śmiechem spojrzawszy mu w oczy. Alfred zdziwiony i trochę zmieszany*)

Cóżto jest?

Justysia *(śmiejąc się)*.

Ach, ach, jakże mnie to bawi,
Kiedy się Pan gniewa;
Lecz za cóż mi Pan to kazanie prawi?
Za cóż tak przezywa?

Alfred.

Czemuż mnie i Wacława uwodzisz, fałszywa?
W jednej, w tej samej dobie, ledwie nie w godzinie
Nie mówiszze obydwom, że kochasz jedynie?

Justysia.

Ni Pana, ni też jego nie zwodzę w tej mierze,
Mówię mu że go kocham, bo też kocham szczerze.

Alfred.

A mnież niewdzięczna?

Justysia *(śmiejąc się)*.

Za Panem szaleję!

Alfred.

Sama się śmiejesz.

Justysia.

Bo się Pan nie śmieje.
Lecz tu nie pora na kłótniach czas trawić:
Potrzeba Panią z nieszczęścia wybawić,
Jak tu zniweczyć dowód oczywisty,
Te listy Pańskie, te nieszczęsne listy?

Alfred

(bierze kapelusz i chce odchodzić).

Co mnie do tego? Umiecie nas zwodzić,
Umiecie broić, umiejcież i godzić!
(wraca się i pierwszy wiersz mówi z namysłem, dalej z wzrastającą złością)

Powiedz, że były do ciebie pisane...
Że ... w tobie całe miasto zakochane,
Rząd, senat, armia cała,

Wszystkie uczenie, professory,
 Mecenasy i doktory...
 Ześ od wszystkich listy miała,
 Ześ... powiedz co będziesz chciała,
 A jeśli Wacław twojej nie uwierzy mowie,
 Niechaj się mnie zapyta, wszystkiego się dowie.
*(chce wychodzić; Wacław, który przed kiku wierszami
 wszedł trzymając rękę Elwiry, zatrzymuje Alfreda)*

SCENA X.

Elwira, Wacław, Alfred, Justysia.

Wacław.

Już się dowiedział.

(do Justysi) Ty, Panienko miła,
 Znalazłaś sobie równą, co ciebie zdradziła.
 Twoje miłostki, zdrady, usługi obfite,
 Wszystkie już wiemy, wszystko już odkryte,
 A że masz do klasztoru szczére powołanie,
 Dziś twojej chęci zadosyć się stanie.

Justysia *(płacząc).*

Ja do klasztoru! wprzód umrę dwa razy!
(wychodzi szlochając)

Wacław.

Alfredzie, nie chcę wspominać urazy,
 Którą za ufność odebrał od ciebie:
 Wiem twą odpowiedź w podobnej potrzebie;
 Ale znając cię dobrze, znanym będąc tobie,
 Wszystko wchlubniejszym chcę skończyć sposobie,
 Nadto pewny, że wiedząc ile honor cenię,
 Nie podłacej bojaźni dasz temu znaczenie.
 Elwira sama błąd mi swój wyznała,
 Nad moje zemstę droższa mi jej chwała,

Żalom jej wierzę, młodości przebaczam,
Tak ją szanuję, sobie nie uwłaczam.

Alfred.

Przeciw obojgu występny zbyt wiele,
Już się i przebaczenia błagać nie ośmielę;
Lecz chociaż nas w tej chwili konieczność rozdziela,
Znajdziecie we mnie nadal zawsze przyjaciela.

(odchodzi)

Elwira *(chcąc przyklęknąć).*

Przebacz Wacławie!

Wacław *(nie dopuszczając).*

I ty mnie wzajemnie!

Ufnością twoją znajdziesz ufność we mnie,
A błędy nasze zostając przestrogą,
Spokojność z czasem przywrócić nam mogą.

NOWY DON KISZOT

CZYLI

STO SZALEŃSTW.

KROTOCHWILA

we trzech aktach, wierszem ze śpiewami.

Szaleństwo, nie ochota, silić się
dla niczego.

And. Max. Fredro.

O S O B Y.

KASZTELAN.

KAROL, syn }
ZOFIA, synowica } Kasztelana.

MATEUSZ SĘDZIELKO, burmistrz blizkiego miasteczka.

MICHAŁ, służący Karola.

JAKUB, stary sługa Kasztelana.

BORUTA, leśniczy i karczmarz w dobrach Kasztelana.

MAŁGORZATA, jego żona.

POCZTYLION.

KMOTR, stróż karczemny.

WÓJT. WIEŚNIACY. WIEŚNIACZKI. INWALID. DWO-
RZANIE Kasztelana.

Scena w dobrach Kasztelana.

NOWY DON KISZOT

czyli

STO SZALEŃSTW.

A K T I

Izba karczemna; drzwi w środku, na prawo i lewo; w głębi stół, za nim ława. Po prawej stronie sceny ławka, po lewej stolik.

S C E N A I.

Boruta, Małgorzata, Kmotr, Wieśniacy; (później) Stróż Nocny.

(Wieśniacy piją przy stołach i tytuł palą. Małgorzata z jednymi się rachuje, drugim Boruta trunku dostarcza.)

Wieśniacy *(śpiewają).*

Dalej żwawo i wesoło,

Pijmy, pijmy, pijmy wkoło!

Ja do ciebie a ty do mnie:

Twoje zdrowie, moje zdrowie!

Kto nie pije, żyje skromnie,

Temu świta zawsze w głowie;

Dalej żwawo i wesoło,

Pijmy, pijmy, pijmy wkoło!

Stróż Nocny*(wchodząc z latarnią w ręku).*

Mospanowie gospodarze,
Już dziesiąta na zegarze!

Wieśniacy.

Czy dziesiąta, czy dziewiąta,
Niech to myśli nie zaprzęta;
Kto wypije, niech się święci,
Kto nie pije, niech kark skręci!
Dalej żwawo i wesoło,
Pijmy, pijmy, pijmy wkoło!

Boruta, Małgorzata, Stróż.

Idźcie, idźcie gospodarze,
Już dziesiąta na zegarze.

Wieśniacy.

Odłożone, niestraczone,
Chodźmy każdy w swoją stronę;
Jutro wrócim, będziem pili,
Huczno, żwawo będziem żyli!
Teraz kończmy, choć wesoło,
Kończmy, kończmy szklanki wkoło!

*(wychodzą nucąc tę samą pieśń; głos się gubi w oddaleniu.)***SCENA II.****Boruta, Małgorzata, Kmotr.**

*(Kmotr sprząta, potem kładzie się spać w głębi na ławie.
Boruta bierze łaskę i kapelusz.)*

Małgorzata.

Dokądże znowu, dokąd, tak późno?

Boruta.

Do lasu.

Małgorzata.

Proszę, jaki mi pilny! Nie masz to w dzień czasu?

Boruta.

No, no; tylko ty idź spać, nie troszcz sobie głowy:
Muszę obejść granicę, dziedzic przybył nowy;
Nie będzie mię się pytał nad skradzioną sosną,
Czy też mnie Bóg nie skarał żoneczką zazdrosną.

Małgorzata.

Hm, dziedzic przybył nowy. Jako Waszmość umiesz...

Boruta.

Dobranoc ci, Małgosiu, dobranoc, rozumiesz.

(do siebie)

Być karczmarzem, leśniczym, mieć zazdrosną żonę,
To można męczennika zasłużyć koronę. *(odchodzi)*

Małgorzata.

Hm... do lasu, do lasu! co noc mi wychodzi;
Ledwiebym nie przysięgła, że mnie hultaj zwodzi.
Ale twoje wykręty nie będą trwać wiecznie;
Gdybym miała rok nie spać, dójdę ich koniecznie.
(odchodzi)

SCENA III.

(słychać trąbkę pocztarską coraz bliżej)

Kmotr *(przebudzony).*

Co za wicher gwałtowny, aż się dom kołysze,
Chociaż mówią, że głuchy, jednak ja to słyszę.
(słychać wolne kołatanie. Kmotr podnosi się i nadśluchuje.)
Grzmi.

Michał *(za drzwiami).*

Otwórz!

Kmotr.

O, grzmi!

Michał *(głośniej)*.

Otwórz!

Kmotr *(kładąc się)*.

Czy prędko ustanie!

(słychać mocne uderzenie we drzwi; Kmotr się zrywa.)

Piorun wałnął we wrota, Święty Floryanie!

(biega po izbie z konewką)

Małgorzata.

Hej Kmotrze!... Kmotrze!...

Kmotr.

Słucham.

Małgorzata.

Idź, otwórz gospodę.

Kmotr.

W wodę... wpadł, chwała Bogu, małą zrobił szkodę.

(znowu kołatanie)

Ej źle... grzmi; ależ to grzmi! ogniście i srodze!

Chyba pono pies jeden byłby teraz w drodze.

Małgorzata *(z alkierza)*.

A cóż, nie słyszysz? głuchy! ktoś we drzwi kołacze!

Kmotr.

Skacze?

(do siebie)

Ogłuchła baba!

(głośno) Taćto grzmi, nie skacze.

(do siebie)

Jednakże wielkie dziwy, piorunuje zblizka,

Ażeby też raz jeden, to się nie zabłyska.

(idzie do okna)

Taćto pogoda! tylko rżęsista ciemnota.

Aj, aj... niby wóz jakiś... ktoś stuka we wrota...

Czyto mnie się tak widzi, czyli w rzeczy samej?

Michał *(ze dworu).*

Otworzyszże nam? gapiu! godzinę czekamy.
Proszę, a to wisielec!... zwabić go nie mogę.

Kmotr.

Do Kielec?... a, do Kielec pytacie o drogę?

Michał.

Głuchy!

Kmotr.

Trakt suchy.

Michał *(grożąc).*

Będziesz bity!

Kmotr.

I ubity.

Michał.

Ej basy!

Kmotr.

Są i lasy.

Pocztylion *(za drzwiami).*

Głuchy albo spity.

Michał.

To łotr!

Kmotr.

A Kmotr... Do usług.

Michał.

Gdzież masz, łotrze, uszy?

Kmotr.

Jak się mam?... Dobrze, dobrze.

Michał.

Hultaj się nie ruszy,

I pono tę noc całą stać będziem na dworze.

Kmotr.

Czy otworzę?... I owszem, zaraz wam otworzę.

(do siebie, biorąc światło)

Jacyś, widzę, znajomi: po głosie poznali;
Grzeczni ludzie, najpierwiej o zdrowie pytali.

(*odchodzi*)

SCENA IV.

Karol, Michał

(*stawia strzelbę przy drzwiach lewego alkierza*).

Kmotr

(*powróciwszy kładzie się znowu na ławie i zasypia*).

Karol (*kładąc pistolety*).

Błądzenie... zbójcy... walka wśród nocnej ciemnoty,
Dawnych dziejów rycerskich, o! godne kłopoty!
Przeciwność zachęceniem, trudy mym żywiołem.
No i jakże, *Pedrillo*, źle podróż zacząłem?

Michał.

Michałem mnie ochrzczono i tak mnie zwać proszę;
Jak zostałem *Pedrillem* pełno guzów noszę.

Karol.

Pedrillo, ty narzekasz?

Michał.

O, nie; ja się śmieję.

Karol.

Próżnom więc, widzę, w tobie położył nadzieję.
Nie masz serca!

Michał.

Żałuję, że Pana zawiodłem.

Karol.

Jakto, honor i męstwo, kiedy naszym godłem,
Kiedy bronić niewinność jest naszym zamiarem,
Mogąż te małe trudy być dla nas ciężarem?

Michał.

Niech Pan stroi, ubiera, to wszystko do woli,
Lecz co kole to kole, co boli to boli.
Nie dość... Mogę być szczerym i mówić co czuję?

Karol.

Możesz; kłamstwem się brzydzę a prawdę szanuję.

Michał.

Nie dość, żeśmy błądzili przez pola, las, krzaki,
Trzeba żebyś jeszcze Pan za zbójców wziął pniaki.
„Panie, to pniaki“ mówię. „Nie, to są hultaje.“
„Jak Boga kocham, pniaki.“ „Nie; daj strzelbę!“ daję.
Jak też się wystrzeliło, szkapy z piekła rodem,
Które nas usypiały swoim żółwim chodem,
Nuż w nogi! wołam... trzymam, aż mi w krzyżach
pryska,

Nareszcie rym! do diabła z jakiegoś urwiska.
Koniec końców *Pedrillem* czy dawnym Michałem,
To wiem tylko, że w czoło dwa sińce dostałem;
Proszę więc Pana za co i po co?

Karol.

Dla sławy.

Michał.

Ach, lepiej bez niej; sami wróćmy do Warszawy.

Karol.

Nikczemna duszo!

Michał.

Wszakże w każdej tam wyprawie
Błyszczałem jakby gwiazda, w nieśmiertelnej sławie.
Tam znani wzdłuż i wpoprzek do samych rogatek
Od żydów, bab, dróżkarzy, panien i mężatek,
Słowem, znani przystojnie w całym wielkim świecie,
Choć się co i zbroiło, uszło jakoś przecie;
Ale tu, przewiduję, źle, źle z nami będzie.

Karol.

To czemu?

Michał.

Oczy na nas wytrzeszczają wszędzie.
Na cóż ten płaszcz, kapelusz, te palone buty?
Jak z domu waryatów a najmniej z reduty.
W drodze napastujemy ludzi.

Karol.

W dobrej sprawie!

Michał.

Wszak mozem za nią walczyć, i lepiej, w Warszawie.

Karol.

Słuchaj, nie jestem panem, jak bywają drudzy,
Których niewolnikami ledwie nie są słudzy:
Ja pragnąłem mieć w tobie razem przyjaciela,
Który szczęście, przygody, myśl nawet podziela,
Jak niegdyś wierne giermki dla rycerzów były.
Ty wiesz, jakie przyczyny mój odjazd znagliły:
Wiesz, żem miał pojedynek?

Michał.

Napaść z Pańskiej strony.

Karol.

Jakto! mógłżem płci pięknej odmówić obrony?
Każdy słabszy w ucisku, w jakimkolwiek względzie,
Zawsze prawo do mojej opieki mieć będzie.
A dopióroż kobiety, tén piękny twór Boga,
Których słabość powabem, powabem i trwoga,
Których uśmiech tak miły i władnący tyle
Od kolebki nas wiedzie w późne życia chwile,
Podwaja każdą roskosz, uśmierza zgryzoty,
Zachęca nas, nagradza, unosi do cnoty;
Mająż z najświętszych uczuć czynić nam ofiary,
A barbarzyństwo mężów zostawać bez kary?

Nie, póki serce bije, władać mogą dłonie,
Dopóty walczyć będę w płci pięknej obronie.

Michał.

Dobrze, niech i tak będzie. Lecz gdy strasznym losem
Ów mąż, cnót ciemieżyciel, rozstał się z swym nosem,
Gdys już Pan tak chwalebnie użył swojej broni,
Dla czegoż uiekamy, kiedy nikt nie goni?

Karol.

Miałżem czekać spokojnie na zazdrośnych wrzaski,
Na dziekczynienia kobiét i ludu oklaski?
Nie, ja tylko w mej duszy chcę znaleźć pochwałę.
Nareszcie jedno miasto jest pole zamale:
Obu światom chcę zostać chwalebnym przykładem.
Niech więcej młodzian idzie za wskazanym śladem,
Niech ze mną śmiało prawdy zaświecą pochodnie,
Bronią dręczoną cnotę a zgramiają zbrodnie.
Nie pytam w jakie kraje losy mnie powiodą,
Ludzkość oswobodzona będzie mi nagrodą;
Stronnictwo, mych zamiarów nie wzruszy, nie zaćmi,
Świat cały mi ojczyzną, wszyscy ludzie braćmi.

Michał (*rozczulony*).

Ach!

Karol.

Wziąłem cię ze sobą, bom mniemał, niestety,
Że na prawego giermka masz dosyć zalety!

Michał.

Ach!

Karol.

Że dzieląc wraz ze mną trudy i wyprawy,
Będiesz godnym mych względów i dostąpisz sławy.

Michał

(*coraz bardziej rozczulony*).

Ach! ach!

Karol.

Że kiedyś kończąc podróże i boje,
Dwukroć błogosławione w świecie imie twoje
W księdze nieśmiertelności umieszczoném będzie
Obok mojego, w dzielnych bohaterów rzędzie.

Michał.

Ach! ach!

Karol.

Zbłądziłem, lecz dość tej mowy z Michałem:
Teraz oddał się gdzie chcesz, lecz pomnij że chciałem..

Michał.

Ach! chcę być nieśmiertelnym! wybacz, wybacz Panie,
Występne ale krótkie zmysłów obłąkanie.

Karol.

Idź, wracaj do Warszawy... pędź życie bez chwały!

Michał.

Nie, sroższe, szlachetniejsze parzą mnie zapaly;
Będę walczył walecznie z godłem i ludzkością;
Ach Panie, żalującą zmiekczyć się mą żalością!
Patrzaj, jak serce bije, jakie łyzy wytaczam.

Karol.

Pedrillo!

Michał.

Don Karlosie! przebacz!

Karol.

Wstań, przebaczam.

Michał (*wstaje*).

Oby mógł się ktokolwiek teraz mi nawinać,
Musiałby zaraz z moich rycerskich rąk zginąć.
Oby kto Pana skrzywdził, uczynił zniewagę,
Popuściłbym na niego nagłą odwagę.

Karol.

Brawo *Pedrillo!* czasu nie traćmy więc marnie,
Chodź ze mną.

Michał.

Chodź?... ja?... dokąd?

Karol.

Bierz broń i latarnię.

Michał.

Ale zaraz, niech sobie z odwagi odpoczne.

Karol.

Nie, nie, nasze działanie musi być niezwłoczne.

Michał.

Ach, cóżeś Pan nowego tak prędko wyszukał?

Karol.

Słuchaj i ciesz się. Wtedy, gdyś we wrota pukał,
Mimo ciemnoty, z drogi o kawałek mały,
Niby duże budynki widzieć mi się dały.
Ale dalej poszedłszy rozpoznałem zbliżka,
Że to jakichsić murów stare są zwaliska.
Takie miejsca być zwykły złoczyńców siedliskiem,
W takich często niewinność jęczy pod uciskiem
Możniejszych barbarzyńców; chodźmy więc się starać
Cnotę z więzów uwolnić lub przestępstwo skarać.

Michał (*myśli*).

Hm!... nie lepiejże będzie, gdy dnia zaczekamy?
Pocóż w nocy jak zbójcy atakować mamy?
Fe, Panie! fe! jak zbójcy; dąlbóg nieładnie.
Jeszcze nas jaki taki znienacka napadnie.

Karol.

Idziesz czy nie?

Michał.

Hm... ale niech Pan zważy sobie...

Karol.

Zważam, zważam, że męstwo już zasnęło w tobie.

Michał.

Nie... ja strasznie odważny, jednakże się boję...

Karol.

Zostańże, zostań tchórz, wstrzymuj dzielność twoją.

(wychodzi)

Michał.

Jako, mam tu sam zostać? Panie! *Don Karlosie!*

SCENA V.

Michał, Kmotr *(śpiący).*

Michał.

Wolę pójść... nie, zostanę... o przeklęty losie!

O rycerstwo! o sławo! gdzieżeś mnie zawiodła!

Co mi z nieśmiertelności i honoru godła,

Kiedy choć czasem trochę odwagi nazbieram,

Ledwie przyjdzie do czego, ze strachu umieram.

(siada po lewej ręce sceny)

O Warszawo! Podwalu! o Panno Justyno?

Gdybyś mogła łązy widzieć, co za tobą płyną!

(po krótkim myśleniu)

Zginę nie dziś, to jutro. Mój Boże, mój Boże!

Nacóż człowiek człowiekiem? ktoś to zgadnąć może?

Żyje, jak mysz, co... co się... jak ptaszki, co siedzą...

Albo życie? jest właśnie... jak... jak diabli wiedzą!

SCENA VI.

Michał, Pocztylion, Kmotr *(śpiący).*

Pocztylion.

Niech piorun trzaśnie w takie niegodziwe domy!

Błoto w stajni po uszy, ni siana ni słomy,

Ni koni gdzie przywiązać; żłoby na cieleta...

Daje mi się we znaki ta podróż przekłeta.

I chomąta porwałem na drobne kawałki...

Bierz je djabeł... Hej! słyszysz, karczmarz! daj gorzałki!

(Kmotr wstaje i nalewa, pocztylion postrzega Michała)

A, pan Michał! *(siada naprzeciw Michała)*

Stół tutaj... prędko... wręce twoje! *(pije)*

(Kmotr stawia między siedzącymi po lewej stronie sceny stół, który stał przy drzwiach prawego alkierza)

Ale cóż, czyż cię słowa nie wzruszają moje?

Milczysz, kiwasz się, dumas, jak żyd nad pacierzem. He?

Michał.

Szczęśliwy człowieku! nie jesteś rycerzem.

Nie poświęciłeś sławie, jak ja, swoje życie.

I cóż mi z tego? powiedz? na cóż jej nabycie?

Cóż jest sława? *(pocztylion pije)*

A dobra wódka?

Pocztylion.

Doskonała!

Michał.

Ach! ach! *(pije)*

Wszystko marność! człowiek, życie, chwała.

Choć znam filozofią, ty nie...jednak przecie

Poznasz, że sama nędza panuje na świecie. *(ciszej)*

Dolej trochę.

Pocztylion.

Już niema.

Michał *(pije)*.

Wszystko się przebiera.

Człowiek rodzi się, żyje, na końcu umiera!

Pocztylion *(rozczulony)*.

Umiera, prawda, prawda.

Michał.

Jak umrze...

Pocztylion *(płacząc)*.

Nie żyje.

Michał.

I już więcej nie chodzi, nie gada, nie pije.

Ty płaczesz?

Pocztylion.

Płaczę, płaczę, bo gadasz wspaniale.

Michał *(wstaje i ściska pocztyliona)*.

Szanowny pocztylionie!

Pocztylion *(ściska Michała)*.

Mój Panie Michale!

Michał.

Wierzaj, zem cię szacował, zaledwie poznałem.

Pocztylion.

I ja cię wielce kocham i zaraz kochałem.

Michał *(z determinacją)*.

Bądź zdrow!

Pocztylion *(przestraszony)*.

Stój, gdzie idziesz?

Michał.

Spać!

Pocztylion.

Spać? Idź w imie Boże.

(idą pod rękę się trzymając i biorąc świecę)

Michał.

Niema gdzie... chyba razem z głuchym się położę.

(kładzie się)

Kmotr.

Hej! hej!

Michał.

Ustąp się.

Pocztylion.

Idź precz!

Kmotr.

To moje posłanie!

Pocztylion (*ciągąc Kmotrę*).

Prędko.

Kmotr (*wstaje grożąc*).

Ale Mospanie!

Pocztylion

(*wypychając Kmotrę za drzwi*).

Eh, ruszaj bałwanie!

(*wychodzi*)

SCENA VII.

Burmistrz

(*wychodzi ze świecą z lewych drzwi, w szlafroku*),

Michał (*śpiący*).

Burmistrz.

Cóż tu za hałas, wrzawa, ciężko oko zmrużyć!

Lepiej było podróży godzinę przydłużyć,

Jak w tém piekle nocować. Pewnieby w mém mieście

Takich krzyków żołnierzy nie zrobiło dwieście;

Bo moja głowa czuwa i wszystko układa,

Bo Mateusz Sędziłko jest Burmistrz nie lada.

Cóż to było? nikogo niema? tam do kata!

Hm! jakiś Hiszpan...? Hiszpan? co za dziwna szata!

Jakie zęby... twarz... nozdrze!

(*Słychać strzał, Burmistrz ucieka ku drzwiom swoim, świeca mu wypada, gaśnie, on szturcha o stół.*)

Cóżto, stół? dla Boga!

Ach jakże mnie gwałtownie przeraziła trwoga!

Byłbym do gospodyni wleciał mimo chęci:

Tuż przy jej drzwiach stał stolik, mam dobrze w pamięci.

Pięknieby było; w nocy Burmistrz w łóżko włazi...

Fe, fe... nigdy roztropnych czyn taki nie skazi.

(*odchodzi do alkierza po prawej ręce*)

S C E N A VIII.

Burmistrz, Michał, Małgorzata.**Małgorzata** (w alkierzu).

Ach, kto tu! gwałtu! gwałtu!

(po krótkim milczeniu)

Poczekajno łotrze!

A, mam cię, mam cię ptaszku! łapaj, łapaj Kmotrze!
(Wypada Burmistrz, zawadza nogą o tapczan, na którym spał Michał i upada; zrywa się Michał, którego chwyta Małgorzata; tymczasem Burmistrz podnosi się i w najbliższym miejscu przy stronie staje.)

A, jesteś!**Michał** (przestraszony).**A...** a... jestem.**Małgorzata.**

Luby niedoperzu,

Po nocy łazisz?

Michał.

Kto?

Małgorzata.

Ty!

Michał.

Gdzie?

Małgorzata.

W moim alkierzu.

Puść mi ręce hultaju.

Michał.

Puść mi kołnierz, babo!

Burmistrz (na stronie).

Co tu robić, pot ze mnie ciecze, aż mi słabo!

Małgorzata.

Stój... stój... teraz poznaję; omyłka się stała.

Tamten nie był ubrany, jakżem zapomniała! *(odsuwa się)*

Dobry wieczor Waćpanu.

Michał.

Najniższy Jejmości.

Małgorzata.

Jestem tu gospodynią.

Michał.

Nieźle witasz gości.

Małgorzata.

Wybacz Waćpan. Zaledwem zamrużyła oczy,
Poczułam, że coś śmiało do łóżka się tłoczy.
Tylko com nie zemdląła w tak strasznej potrzebie,
I nie mogąc się ocknąć, nagle przyjść do siebie,
Wycięłam dwa policzki... łotr się nieco zmieszał,
Wyśliznął mi się szybko i w te drzwi pośpieszał,
Jam też za nim goniła, gdyś mi wleciał w ręce.
Widziałeś przecie kogo?

Burmistrz *(na stronie).*

Stoję, jak na męce.

Michał.

Nie widziałem, lecz czułem, bo ta mara z piekła,
Na środek mnie śpiącego z tapczanem wywlekła;
Zerwałem się odważnie, aż tu mnie coś dusi.

Małgorzata.

Jeśli drzwiami nie ruszył, tu jeszcze być musi.

Michał.

Nie; tylko się coś jak pies po ziemi drapało.

Burmistrz *(na stronie).*

Jak pies!... ja pies!...

Małgorzata.

Szukajmy, gdyby się udało!

T R I O.

Małgorzata.

Pst!... pst!... cicho!... coś tu słyszę.

Michał.

Razem { Tam do kata, ledwie dyszę.
Burmistrz.
 O dla Boga, ledwie dyszę.

R A Z E M.

Małgorzata.

Tę zuchwałość skarać muszę,
 Już nie ujdzie mojej ręki;
 A gdy wszystko wstrząsnę, wzruszę,
 Mieć go będę, Bogu dzięki!

Burmistrz.

Choć niewinny, cierpieć muszę,
 Już nie ujdę srogiej ręki;
 Czy stać będę, czy się ruszę,
 Pełnej hańby doznam męki.

Michał.

Za niewinność walczyć muszę,
 Wnet użyję dzielnej ręki;
 Lecz gdy wszystko wstrząsnę, wzruszę,
 Jeśli ujdzie, Bogu dzięki!

* * *

Małgorzata.

Pst!... pst! cicho! przeszedł pono.

Michał.

Razem { By nie spotkać, pójde stroną.
Burmistrz.
 Trza się sunąć inną stroną.

R A Z E M.

Małgorzata.

Każdy o tém wiedzieć będzie,
 Jaka cnota w mej osobie;

Sama nawet powiem wszędzie,
Co się działo w nocnej dobie.

Burmistrz.

Gospodyni milczeć będzie,
Gdy się pozna na osobie;
Ale Hiszpan powie wszędzie,
Co za figle w nocy robię.

Michał.

Niechaj będzie, co chce będzie,
Niechaj panicz zmyka sobie;
Ja go wstrzymać nie chcę w pędzie,
I najlepiej pono zrobię.

* * *

Małgorzata.

Tu... tu... w okniem go widziała.

Michał.

Razem	{	Czy ta baba oszalała!
		Burmistrz (<i>raczkciem</i>).
		Czy ta baba oszalała!

R A Z E M.

Małgorzata.

Śmiało tylko, śmiało, śmiało,
Już niedługo będzie wodzić;
Pozna wkrótce i niemało,
Jak po nocy trzeba chodzić.

Burmistrz.

Za cóż niebo mię skarało,
Wszak nie chciałem ją uwodzić;
I że babie coś się zdało,
Burmistrz musi raczkciem chodzić.

Michał.

Takich kobiet w świecie mało,
Któreby tak chciały szkodzić;
Że się komuś dobrze zdało
Po ich izbie w nocy chodzić.

* * *

(Jakis czas cicho chodzą; nareszcie Burmistrz bojąc się, aby do światła go nie zobaczyli, na rękach się czołgając umyka się przed Michałem; ale tyłem wsuwa się pod nogi Małgorzaty. Ta mu na krzyże upada i chwytą go za szyję; on się zrywa i tak z nią wiszącą chce uciekać.)

Burmistrz.

Ach!

Małgorzata.

Ach!

Michał

(w głąb uciekając wrzeszczy z całego gardła ze strachu).

Stój! trzymaj go! stój!

Małgorzata.

Niesie mnie, dla Boga!

Burmistrz.

Ciszej no, ciszej! pocóż ten hałas, ta trwoga!

Uspokój się i słuchaj.

Małgorzata.

Co słyszę? ta mowa...

Burmistrz.

To ja.

Małgorzata.

Pan Burmistrz!

Burmistrz.

Ja, ja.

Małgorzata.

Ale...

Burmistrz.

Ani słowa!

Małgorzata.

Dobrze, ale bo jednak...

Burmistrz.

Widzisz, moje dziecko,
Jakto pozór częstokroć zwodzi na tym świecie!
Zmylenie drzwi pociemku i całe zdarzenie
Sprawiło, jak miarkuję, stołu przestawienie.
Ale o tém rozmowę odłożmy do rana,
Teraz idź spać. To szczęście, że niema Hiszpana
I nikt przecie z służących nie słyszał nas w domu.
Idź spać, a co się stało nie mówmy nikomu.

(odchodzi do siebie)

Małgorzata

(chodzi jakiś czas zamyślona, potem idzie do drzwi, otwiera i woła).

Kmotrze!

Kmotr.

He!

Małgorzata.

Zapal świecę... nie odchódź i kroku...
Spać się nie kładź, chódź wszędzie, miej wszystko
na oku.

(po krótkim myśleniu do siebie)

Tak, wolę pójść nocować do której sąsiadki,
Bo tu jeszcze niepewne są dalsze wypadki:
Nie bardzo jemu wierzę, nie wierzę i sobie. *(odchodzi)*

Kmotr

(przynosi zapaloną świecę, stawia ją i siada na ławie przy stole).
Świeca jest... spać się kładę i kroku nie zrobię.

S C E N A IX.

Michał, Kmotr (*śpiący*).**Michał***(który w głębi się utulił).*

Hm...hm...hm...nie źle, nie źle... Pan Burmistrz
wesół!

Proszę, coto czasami wyrabiają stoły!

Stół go zbudził, zabłąkał ... i stół pełen złości

Wyjednał dwa policzki Burmistrzowskiej Mości.

S C E N A X.

Karol, Michał, Kmotr (*śpiący*).**Michał.**

Jakżeto Pan wyglądasz? mój Boże kochany!

Bez broni, kapelusza, mokry, zawałany.

Karol.

Ach *Pedrillo*, żeś został, masz tchórza wdech rzadki.

Słuchaj, jakim miał dziwne w tym zamku przypadki.

(śpiewa)

Wszedłem pod czarne sklepienie,

Głuche tam było milczenie,

Światła mnie promyk wiódł błądy,

Gdzie ludzkie starte już ślady.

Aż tu słyszeć szmer się daje,

Jakieś widmo z gruzów wstaje:

Wzrok iskrzący, broda biała

Do nóg kręto mu wisiała;

Milcząca, groźna, obrzydła

Postawa była straszidła.

Chcę na nią śmiało uderzyć

I choćby z czartem się zmierzyć;

Lecz daremnie, wciąż mnie stroni;
Stanę, stoi; wracam, goni;
I ścigając czas już długi,
Strzelam w końcu raz i drugi.

Na ten huk, ptaśtwa gromada
Wnet wrzeszcząc wkoło opada;
Napróżno odpór jej stawię,
Wzrok tracę w czarnej kurzawie.

Wracam, pędzę; lecz w tym biegu
Padam w przepaść, bez dna, brzegu;
I w tym dole, piekle właśnie,
Broń mi ginie, światło gaśnie.

Otoczony ciemnotą, bez żadnej pomocy,
Myślałem, że tam resztę przepędzę tej nocy,
Gdy przecie jakąś gałąź schwycić się udało
I po wielu trudnościach i znoju nie mało,
Ujrzałem ucieszony, jak z grobu dobyty,
I ponure zwaliska i niebios błękity.

Michał (*trzęsącym głosem*).

Panie... źle... uciekajmy... (*klęka*)

Panie! uciekajmy!

Widmom, ptakom i zamkom święty pokój dajmy!
Ach... słuchaj mojej prośby!

Karol.

Kto, ja mam uciekać?

Nie, nie; jutro będziemy tych strachów dociekać.

Michał.

Jutro jeszcze daleko, a te czarne ptaki
Mogą być strasznej śmierci nieochybne znaki.

Karol.

Z takich znaków żartuję i z tych duchów razem.

Michał

(chrząka, jak gdyby chciał przeszkodzić, aby nie słyszano mowy Pana).

Pst!...

Karol.

Nie jeden z nich zginał katowskień żelazem.
Jutro te tajemnice odsłonić się muszą.

Michał.

Ach zmiłuj się nad twoją i nad moją duszą.

Karol.

Pedrillo... honor... męstwo...

Michał.

Ach! honor i męstwo
Wielka chwała, lecz uciec większe bezpieczeństwo.
Ach gdybyś Pan raz jeden chciał słuchać mej rady,
Wrócić do domu, ojca wypełnić układy;
Strachy, godła porzucić, zamiary odmienić,
Z Panną Zofią pięknie, ładnie się ożenić;
Jabym z Panną Justysią także się skojarzył.
Panbyś kochał, polował, a ja gospodarzył:
Takbyśmy sobie *en quatre* żyli doskonale.

Karol.

Zła głowa, zła i rada, Mospanie Michale.
Dlatego, że mój ojciec lubi synowicę,
Że jej wioski od naszych tylko o granicę,
Żem...żem ją kochał niegdyś...lecz zkąd to wspomnienie,
Wszakżem ci już w tej mierze nakazał milczenie.

(do siebie)

Trudno mi dotąd jeszcze serce moje zmienić,
Umiem wdzięki Zofii i jej cnoty cenić.

(z westchnieniem)

Kochałem!... Kocham może... zapomnieć nie mogę;
Lecz żądza sławy inną wskazała mi drogę,

I wszakżeto dla kobiet chcę mej broni użyć;
Zapomnijmy więc jedną, aby wszystkim służyć.

(do Michała)

Twój pałasz... księżyc wschodzi... nienadchodząc zbliżka,
Rozpoznam z ostrożnością te dziwne zwaliska,
Ty...

Michał.

Ja?

Karol.

Zostań; do boju bądź jednak gotowy.

(odchodzi)

SCENA XI.

Michał, Kmotr *(śpiący)*.

Michał.

Do boju! gdzie? jak? po co? co za koncept nowy!
Sam udaje rycerza, niebezpieczeństw szuka,
Bo się nigdy nie boi, to mi wielka sztuka!
Ale bójno się trochę, jak ja się wciąż boję,
A zobaczysz, czy miłe te trudy i boje.
O, ratujże mnie, ratuj, święty Dezydery!
Spojrzyj! młodzieniec pełen nadziei, maniery,
Z tą twarzą, kształtem, chodem, w talenta obfity...
I ginąć marnie w lesie, jak człek pospolity!
Nie, nie zgine... ucieknę; lecz jak?... w tym ubiorze...
Bez pasportu... uwieźą i... powieszą może.
Gdyby!...tak!... lecz... poszukam...dobrze, wyśmienicie.
(wchodzi do alkierza po prawej ręce sceny i wynosi ubiór

Małgorzaty)

Otóż jest... łatwiej zawsze przemknąć się kobiecie;
I Panowie Strażniki, co tak chętnie skubią,
Dla nadobnej figurki pofolgować lubią.

Wszystko czego potrzeba. *(ubierając się)*

Perdesu, spodnica,

Kornet, to skryje oczy i wąsate lica.

A mój strój? *(chce przez okno wyrzucić)*

Nie, myśl dobra ... ubiorę bałwana,

Śpiąc, może *Don Karlosa* oszukać do rana.

(Śpiącego Kmotra ubiera w swój płaszcz i kapelusz, potem węglem maluje mu wąsy i bródkę.)

Tym wąsem ... i tą bródką ... *Pedrillem* cię robię,

Moję sławę i guzy przekazuję tobie. *(idzie)*

Teraz ... *(wraca)*

Ha! jak tam ciemno! Ale widma, boje...

Chodźmy ... O, mój patronie, wiedźże kroki moje!

(odchodzi)

SCENA XII.

Kmotr *(śpiący)*, **Burmistrz**, *(później)* **Wójt**, **Wieśniacy**.

Burmistrz

(wychodząc zawiadza i wywraca strzelbę, którą Michał postawił przy drzewach; podnosząc mówi wiersz pierwszy).

Cóż to znowu? tu wrzawie, widzę, końca niema.

(Wieśniacy wchodzią prędko z latarniami)

Pierwszy Wieśniak

(zobaczywszy strzelbę w ręku Burmistrza).

Otóż jest! oto, oto! jeszcze strzelbę trzyma.

Wójt.

Do aresztu!

Burmistrz.

Ja! za co?

Wójt.

Dalej z tym paniczem!

Burmistrz.

Ale za co? powiedźcie ... ja nie wiem o niczym.

Wójt.

Wszystko to się pokaże.

Pierwszy Wieśniak.

Kręcicie daremnie.

Wójt.

Dalej...

Burmistrz.

Wiecieże łotry, co za godność we mnie?

Wójt.

Waszeć sam łotr a ja Wójt, i iść z nami radzę;
Bo co z gwałtu wypadnie, tego nie zagładzę. |

Burmistrz.

Lecz, *neminem captivabimus nisi jure...*

Pierwszy wieśniak.

Tak, *jure*...jaki Francuz!...zapłaćno za dziurę.

Wójt.

O, *jure* czy nie *jure*, a Waszeć do kozy!

Burmistrz.

Więc niczém są już prawa? o godzino zgrozyl!

Inwalid (*jeden z wieśniaków*).

Nie są niczém, mój Panie: choćśmy wieśniacy,
Znamy coto są prawa, bo i my Polacy;
I co pradziad ułożył, każdy bronić umie.

Wójt.

Otbyście daremnie nie gwarzyli, kumie;
Niech po nocy nie łązi.

Drugi Wieśniak.

Co mu się sprawować!

Pierwszy Wieśniak.

Odkądżeto już wolno ludzi napastować?

Burmistrz *(na stronie)*.

Ach! przebóg... wszakto... tak jest, sprawa gospodyni.

O, hańba! *(do wieśniaków)*

Moi ludzie, czasem się uczyni

Niechający...

Pierwszy Wieśniak.

Tak, niechający... taką wybić dziurę.

Burmistrz.

Dziurę!

Pierwszy Wieśniak.

A Pan co powie, gdy mu oddam skórę!

SCENA XIII.

Ciż i Karol.

Karol.

Cóżto jest? jakieś gwałty, o cóżto wam chodzi?

Pierwszy Wieśniak.

Waćpanu co do tego?

Karol.

Powiedzieć się godzi.

Pierwszy Wieśniak.

Więc powiem... Niedaleko, o kroków ztąd parę

Są mury...

Karol.

Mury? duże?

Pierwszy Wieśniak.

Ot, zwaliska stare.

Był niegdyś browar..

Karol.

Browar!

Pierwszy Wieśniak.

Ale jak się spalił,

Że go nikt nie naprawił, do reszty się zwałił

I teraz nic tam niema oprócz mojej chaty.
 Tam więc spałem, aż tu stuk! rymło jak z armaty;
 Złakłem się tego... w żoncy jak duszy nie było.
 Aż tu znów stuk! pół okna na izbę rzuciło.
 O, strach! niema co czekać... tfy, coto być może?
 Ha, pójdę... czy nie zginę... idę na podwórze,
 Aż tu pański cap biały przed nogami pada-

Karol.

Cap biały!

Pierwszy Wieśniak.

Żle! co to jest? biegnę do sąsiada,
 Z nim po wsi... i tak żwawo wszyscy się zerwali,
 Żeśmy jeszcze ze strzelbą Panicza zastali.

Karol *(na stronie).*

Więc to browar! cap biały!... o hańbo, o wstydzie!
(do wieśniaków)

Zatém wam, jak miarkuję, o zapłatę idzie.
(dostając sakiewkę)

Jamto zrobił te szkody... na, macie... Bóg z wami.

Wójt.

Hm!... nie... kiedyście winni, chodźcie i wy z nami.

Karol

(dostając sakiewkę położył pałasz, który zaraz wziął jeden z wieśniaków).

Co, ja? zobaczę!... *(nie widząc pałasza)*

Wzięli! muszę uleść sile,
 Lecz za mnie ten Jegomość nacóż cierpi tyle?

F I N A L.

Karol.

On niewinien, wyznać trzeba.

Burmistrz.

Ach, niewinien, widzą nieba!

Wójt.

Co, nie winien?...

Wójt i Wieśniacy.

Do więzienia!

Dla wszelkiego objaśnienia.

R A Z E M.

Wójt i Wieśniacy.

Choć nie winien, do więzienia!

Dla wszelkiego objaśnienia.

Karol i Burmistrz.

Ach, co słyszę! do więzienia!

Bez żadnego przewinienia.

* * *

Karol.

Za cóż wolność mamy stracić,

Kiedy szkody chcę zapłacić?

Wójt.

Chce zapłacić?...

Wójt i Wieśniacy.

Do więzienia!

Dla wszelkiego objaśnienia.

R A Z E M.

Wójt i Wieśniacy.

Choć nie winien, do więzienia!

Dla wszelkiego objaśnienia.

Karol i Burmistrz.

Ach, co słyszę! do więzienia!

Bez żadnego przewinienia.

* * *

Pierwszy Wieśniak

(*wskazując Kmotra*).

Jeszcze jeden w tym ubiorze.

Karol.

To mój sługa, zostać może.

Wójt.

Jego sługa?...

Wójt i Wieśniacy.

Do więzienia!

Dla wszelkiego objaśnienia.

R A Z E M.

Wójt i Wieśniacy

I bez tego opóźnienia,

Chodźcie, chodźcie do więzienia.

Karol.

Gdy tak każą przeznaczenia,

Chodźmy, chodźmy do więzienia.

Burmistrz.

Nie za moje przewinienia,

Chodźmy, chodźmy do więzienia.

AKT II.

(Las; księżyc świeci. Po lewej i po prawej na przodzie sceny drzewo.)

SCENA I.

Karol, Burmistrz

(przychodzą, duże kije w ręku).

Karol.

Brawo, wyszliśmy przecie na ubitą drogę.

Burmistrz.

Ach, muszę trochę spocząć, dalej iść nie mogę.
Co za ból!

Karol.

Nie mnie winuj, ale twój brzuch raczej;
Powiedzże sam, czy mogłem postąpić inaczej?
Kiedyś uwiążł w okienku i zaczął się dławić,
Musiałem tego ciągnąć lub w dziurze zostawić.

Burmistrz.

Wolałbym pewnie zostać, jak z takiej pomocy
Kulawy i zdrapany, włóczyć się po nocy.

Karol.

Tak, prawda; wielka szkoda, żeśmy uszli oba;
O, jakże pełna chluby czekała nas doba!
Prowadzeni od chłopów, jak podłe hultaje,
Bylibyśmy ciekawych zabawiali zgraje,
I jaki burmistrz, głupi, jakto czasem bywa,

Więziłby nas do woli...wszak strata prawdziwa?
Gdy teraz, najbliższego z dniem doszedłszy dworu,
Wszystko łatwo wyjaśnim bez skazy honoru,
I tylko przygód śmieszne wspomnienie zostanie.

Burmistrz.

Bardzo śmieszne.

Karol.

A zwłaszcza to nasze spotkanie
I burmistrza w szlafroku podróż mimo chęci,
Warte są dwóch rozdziałów, warte żyć w pamięci.

Burmistrz.

Są przekłete, wszeteczne: tém wszystkiém się brzydzę.

Karol.

Bądź zdrow!

Burmistrz.

Co? jakto bądź zdrow?

Karol.

Jęków nie nawidzę.

Idź zatem w swoje stronę a ja pójdę w swoją.

Burmistrz.

To być nie może

Karol.

Czemu?

Burmistrz.

Bo się zostać boję.

Pełno wilków i lisów włóczy się po borze,
Człowiek nie jest bezpiecznym, życie stracić może.
A jak zginę...

Karol.

I cóż ztąd?

Burmistrz.

Piękne zapytanie.

Karol.

Niewdzięcznych nie chcę bronić.

Burmistrz.

O, łaskawy Panie!

(pada na kolana)

Miej wzgląd na moję godność, co przed tobą znika,
Zlituj się... gardź osobą, ratuj urzędnika;
Nie opuszczaj w tej puszczy bliźniego w niedoli.

Karol.

Dobrze, zadość uczynię jeszcze raz twej woli;
Lecz nie chcę jęków słyszeć, posłuszeństwa żądam,
I niech na twarz ponurą więcej nie poglądam.
Bądź wesół... Kto wie, może ręka przeznaczenia
Mierne twe powołanie na chwalebne zmienia,
Może przypadkiem drogę znalazłeś do sławy.

Burmistrz.

Obym znalazł do domu.

Karol.

Lecz z całej wyprawy

To mnie martwi, *Pedrilla* żem musiał zostawić.

Osobno zamkniętego nie mogłem wybawić;

Lecz go jutro uwolnię w jakimbądź sposobie,

A teraz, mój Burmistrzu, odpocznijmy sobie. *(siadają)*

(po krótkim myśleniu)

Powiedz mi, bo najlepiej noc spędzim w rozmowie,
Czy kochałeś się kiedy?

Burmistrz.

Ej, gdzie mi to w głowie!

Karol.

Dawniej?...

Burmistrz.

Nigdy, nie dla mnie to uczucie szalone.

Karol.

Więc nie żonatyś?

Burmistrz.

Owszem, już czwartą mam żonę.

Karol.

Czteryś razy się żenił, razu nie kochałeś,
Cztery razy więc w życiu już siebie sprzedałeś.
Nie kochać! o człowieku jedyny w naturze!
Ach, gdybym był to wiedział, byłbyś został w dziurze.

(śpiewa)

Święty ogień, dar bogini,
Co się w duszę wkrada skrycie;
Co nam niebem ziemię czyni,
Co uświatnia krótkie życie!
Kto go nie zna, nie posiada,
Biada temu, biada, biada!
Przez miłości boskie tchnienia,
Szczęście, rokosz, przyszłość cała,
W tę osobę się przemienia,
Co się wdzięcznie nam rozśmiała.
Ach, to czucie, kim nie włada,
Biada temu, biada, biada!

Nawet troska i cierpienie
Miłym żalem duszę pieści;
Łza miłości i westchnienie
Krocie słodycz w sobie mieści.
Ach, kto hołdu jej nie składa,
Biada temu, biada, biada!

(podczas gdy Karol śpiewał, Burmistrz usnął)

Usnął widzę przy śpiewu melodyjnym tonie,
Sapie, chrapie i dmucha, jak przy czwartej żonie.
Zemszczę się nad nieczułym... samego zostawię,
Skryty, cieszyć się będę widząc go w obawie.

(odchodzi)

S C E N A II.

Burmistrz, Michał*(w ubiorze kobiecym; później)* **Karol.****Michał** *(za sceną).*Co za gąszcz, co za pniaki! *(na scenie)*

Ha! przecież i droga.

Lecz dokąd się obrócić? dokąd? o, dla Boga!

Gdzie mam iść, gdzie uciekać, czy w prawo czy w lewo?

Každy krzak dla mnie wilkiem, wrogiem každy drzewo;

Co za strach! drzę... trzęsę się... las się trzęsie ze mną,

Lepsza noc najciemniejsza, bo kiedy jest ciemno...

*(Burmistrz przebudzony ziewa)***Michał.**

He!

Burmistrz.

He?

Michał.

He?

Burmistrz.

Co?

Michał.

Coś gada!

Burmistrz.

To nie on!

Michał.

Coś gada...

Burmistrz.

Don... Ka...Karolu!

Michał.

Aj, coś! czy nie upior!

Burmistrz.

Biada!

T R I O.

Burmistrz, Michał.**Karol***(niedochodząc, w głębi).*

Gdy nas bojaźń ogarnie, Gdy chęć sławy ogarnie,
 O, jak przykre męczarnie: O, jak przykre męczarnie:
 Nim zwolna przeminie Nim próżny czas minie,
 Wiek cały w godzinie! Wiek cały w godzinie!
 Nie widać słońca, Nie widać słońca,
 Ta noc bez końca! Ta noc bez końca!
 Zbliź się, zbliź dniu drogi, Zbliź się, zbliź dniu drogi,
 I wybaw mnie z trwogi! I w bratnie wiedz progi!

Michał.

Czy kara boska, czy co! jak stał tak i stoi.

Burmistrz.

Ani się ruszył...

(chrząka)

Stoi... brr... nic się nie boi.

Michał.

Jak warczy... niema żartu...on się do mnie chwyci.

Burmistrz.

Na mnie tylko czatuje.

Michał.

Jak oczyma świeci.

Drapnę, albo co? drapnę... niema czego czekać!

Burmistrz.

Niema czemu dowierzać i lepiej uciekać.

(puszczają się wraz w jedną stronę i wnet wracają; ale już bliżej siebie, tyłem obrócenii)

Michał.

Otóż masz!

Burmistrz.

Wszak mówiłem!

Michał.

Zlituje się może.

Burmistrz.

Jeśli nieczuła prośba, to nic nie pomoże. *(na kolanach)*
Zlituj się...

Michał *(także na kolanach).*

Ach, zlituj się, ratuj!

Burmistrz *(wstając).*

Co? ratować!

Michał *(udanym głosem).*

Nie chciej nieszczęsną panią zabijać, mordować,
Wielkie są cnoty moje, wielkie urodzenie;
Lecz mnie dziś w awantury pchnęło przeznaczenie,
Jeśli walczysz za ludzkość i godło masz w duszy,
Niech cię moja najczystsza niewinność poruszy.
Ja, płeć piękna, w niedoli do ciebie się tulę,
Lituj się, bo gdy serca twego nie rozczulę,
Ach! któż przed srogim losem zdoła mnie zasłonić?

Karol *(występując).*

Ja!

Michał *(na stronie).*

O, dla Boga, mój Pan!

Karol.

Ja cię będę bronić;

O, nie lękaj się Pani, los przyjazny tobie

Obrońcę ci...

Michał.

I diabła!

Karol.

Zesłał w mej osobie.

Zaufaj mi... Ktokolwiek twym ciemnizykiem,
Jeśli gnębi niewinność, jest mej zemsty celem.
Zwierz mi twoje nieszczęścia, wskaż mi tylko drogę,
Którą i oswobodzić i pomścić cię mogę. *(do Burmistrza)*
Ciesz się, ciesz się Burmistrzu!

Burmistrz.

Cieszę się i bardzo.

Karol.

Ciesz się, naszą usługą, jak widzę, nie gardzą.
Teraz pora dla cnoty zwyciężyć lub zgiąć!

Burmistrz *(do siebie).*

Nie, ten człowiek szalony.

Michał *(do siebie).*

Jak tu się wywinać?

Znam go dobrze... i mówić i milczeć się boję.

Karol.

Odkryj nam tajemnice i nieszczęścia twoje.
Pewnie srogi opiekun lub młoda macocha
Broni ci kochać tego, który ciebie kocha?
Lub okrutna rodzina majątku łaknąca...

Michał.

Ach!

Karol.

Klasztor ci przeznaczą, za kraty cię wtrąca,
Gdzie na powabów życia zamkniętym już grobie,
Znudzona dusza wieki w każdej żyje dobie?
Lub też zuchwalec jaki, bogacz posiwiął
Pieniędzmi chce zastąpić miłośne zapęły,
I mimo twojej woli, co się często zdarza,
Ujęty twą pięknoscią ciągnie do ołtarza?

(po krótkim milczeniu bierze za rękę)

Cóż?... O, jak drży ta rączka! *(całując)*

Rączka luba, mała.

O, przysięgam! nie ścierpię, by się jego stała!
Lecz czemuż ta zasłona?

Michał *(do siebie).*

Jak na szpilkach stoję.

Karol.

Ach, czyż się boisz zdrady?

Michał *(na stronie).*

Ach, guzów się boję.

Karol.

Powiedz, jakiżto smutek duszę twoję rani.

Michał *(do siebie).*

Żeby się jako wymknąć!

Karol.

Któż więc jesteś Pani?

Twoje imię?

Michał.

Ach! imię...

Karol.

Tak, imię.

Michał *(po krótkim myśleniu).*

Palmira.

Karol.

Dobrze, a familijne?

Michał *(do siebie).*

A to mnie przypiera!

(głośno)

Nie, nie, nie mogę... bądź zdrow.

Karol.

Wzgardzasz memi chęci?

Michał *(do siebie).*

Wspierajcieże mój zamiśl, o wy wszyscy święci!

Karol.

Niebaczna! sama lecisz na nowe przygody.

Michał.

Ach, słabo mi! ach, mdleję! spazma... wody... wody!

(upada na ręce Burmistrza)

Karol.

Przebóg! zemdląta...ratuj! nim powrócę z wodą,

Ratuj! jej wdzięczny uśmiech będzie ci nagrodą.

(odchodzi)

Burmistrz.

Żeby cię razem wszyscy... temu końca niema.
 Z jednej do... Co za ciężar! a któż go utrzyma!
 Mało dziesięć centnarów... ledwie ruszyć mogę.

(kładzie pod drzewem)

Panno! trzeźwij się sama, ja ci nie pomogę.

(staje na przodzie sceny, tyłem do Michała)

O, nocy pełna zgrozy, czyż już nie masz końca?
 Z przygód lecąc w przygody nie doczekam słońca!

Michał

(z tyłu zachodząc, chwytając Burmistrza za głowę; potem ściga na oczy szlafmycę i mówi swoim głosem).

Stój! drżj! milcz! jedno słowo, a będziesz bez ducha!
 Dziesięć kul wnet ugrzeźnie w głębi twego brzucha!

(udając głos kobiety)

Ach, niestety! ach przebóg! biednaż ja dziewczica!

(swoim głosem)

Bierzcie! niech was jej piękność dłużej nie zachwyca.

(innym głosem, uderzając Burmistrza po ramieniu)

Tego zabić? *(swoim głosem, przechodząc na drugą stronę)*

Nie, jeszcze! Zostań przyjacielu,

Miej strzelbę w pogotowiu, trzymaj go na celu;

Jeśli ruszy choć palcem, niech zaraz umiera!

(odchodzi)

S C E N A III.

Burmistrz, Karol.

Burmistrz *(w miejscu gdzie stał stół, pada na kolana).*

Pardon! *(Karol nadchodzi z wodą)*

Pardon!

Karol.

Cóż to jest?

Burmistrz.

Pardon!

Karol.

Gdzież Palmira?

Palmira gdzie, czy słyszysz? a cóżto do kata!

Paraliż, oniemienie, czy rozumu strata?

(podnosi mu szlafmycę)

No!... cóż?... he?... a gadajże! *(lejąc wodę w oczy)*

Burmistrz *(wstając).*

Czy nie jestem ranny?

Karol.

Gdzie?

Burmistrz.

Tu.

Karol.

Nie.

Burmistrz *(oglądając się).*

Chwała Bogu.... niema ciężkiej panny?

Karol.

Ja cię się pytam....

Burmistrz.

A ten, co na celu trzyma?

Karol.

Wytlómacz się, prócz nas dwóch, nikogo tu niema.

Burmistrz.

Musiał uciec: ach Panie, co się tutaj działo!

Ledwie odszedłeś, dziesięć, gdzie tam, dziesięć mało,
Dwadzieścia wpadło na mnie zbrojnego żołnierza.

Raz, dwa, trzy, każdy strzelbę do brzucha mi zmierza,
Rzecz nie mała... struchlałem, aż tu dwóch przyskoczy
I zatykają naraz i gębę i oczy.

Stój, drżij, milcz! wszyscy wrzaśli, bo jak palcem
kiwniesz,

Sto kul zaraz cię trafi, tak, że ani ziewniesz!

Pannę także chwyтали tego i zażarcie.

Karol.

Przebóg!

Burmistrz.

Jeden zaś przy mnie został się na warcie,
Nawet pono wystrzelił.

Karol.

W którąż uszli stronę?

Burmistrz.

A, Bóg to raczy wiedzieć.

Karol.

Wszystko więc stracone!
Nie wiem, kto jej tyranem, gdzie miejsce niewoli!

Burmistrz.

Szkoda.

Karol.

Nie będę w stanie wyrwać ją z niedoli,
Ujdzie karzącej ręki złoczyńca zuchwały.
Ach, i dziwić się dziełom nie będzie świat cały!

Burmistrz.

Aj, aj,

Karol.

Cóż tam?

Burmistrz.

Ktoś idzie!

Karol.

Prawda jakieś głosy.

Może ją powracają przyjazne nam losy.

Usuńmy się na stronę... i zważajmy pilnie.

(odchodzą w głąb sceny)

SCENA VI.

Ciż (*w głębi*) i **Wieśniaczki**.

Pierwsza Wieśniaczka.

Ostrożnieże w tym lesie, trzymajże ją silnie.

Karol (*do Burmistrza*).

Trzymaj? słyszysz, to ona!

Druga Wieśniaczka.

Trzymam z całej mocy.

Trzecia Wieśniaczka.

Jak raz jeszcze ucieknie, wśród lasu i nocy,

Już ją więcej nie złapiesz.

Pierwsza Wieśniaczka.

Związać ją potrzeba.

Druga Wieśniaczka.

Zaczekajcieże trochę!

Karol (*w głębi*).

Wiążą ją, o nieba!

Pierwsza Wieśniaczka.

I, lepiej czekać, może nadejdą chłopaki,

Nie zastąpi nam drogi przecie ladażaki.

Jonek za Kasią śpieszy, nadbiegnie za chwilę.

Trzecia Wieśniaczka.

I weselej iść razem i strachu nie tyle.

Druga Wieśniaczka.

Prawdziwe też z was baby, boicie się lasu.

Nikt tu w nim nie zaginął od dawnego czasu,

Tać i chata leśnego ledwie o stajanie...

Ale nie lękajcie się, nie nam się nie stanie:

Chodźmy, nie traćmy czasu... nie siedźmy do rana.

(*zbierają się*)

Karol (*do Burmistrza*).

Słyszysz?

Burmistrz.

Słyszę, głos kobiet

Karol.

Wszystko rzecz udana:

Baba, chłop... Jonek, sukurs... a ta chata blisko

Nie co, tylko okropne tyrana zamczysko.

(zastępując drogę odchodzącym)

Stójcie!

Burmistrz *(chowając się za niego).*

Złóżcie broń!

Karol.

Stójcie, obrzydłe poczwary!

Burmistrz *(chowając się za niego).*

Złóżcie broń!

Karol.

Gdzież jest? gdzież jest? nie ujdziecie kary!

Mówcie, gdzie jest nieszczęsna?

Druga Wieśniaczka.

Czego się tak pchacie,

Wszak ich dwóch a wy młode, i kułaki macie!

Karol.

Puśćcie ją zaraz!

Druga Wieśniaczka.

O, wej!

Karol.

Lecz gdzież jest ukryta?

Puśćcie!

Druga Wieśniaczka.

Nie puszczę!

Karol.

Musisz!

Druga Wieśniaczka.

Nie puszczę, i kwita!

Karol.

Rozwiążcie ją natychmiast.

Pierwsza Wieśniaczka.

Tak, żeby uciekła.

Karol.

Jakiem prawem więzecie, zwolennicy piekła!

Jakiem prawem bezczelna wstrzymuje ją siła?

Druga Wieśniaczka.

Prawem, bo moja.

Karol.

Twoja!

Druga Wieśniaczka.

Moja, bom kupiła.

Karol.

Może i przedasz?

Druga Wieśniaczka.

Jużci, jak mi kto zapłaci.

Karol.

Gdzieżto jestem? o nieba! jestem wśród współbraci?

Cóżem słyszał! Niepomni i Boga i cnoty,

Możecie się dopuszczać podobnej sromoty!

Ludźmi frymarzyć!

Wieśniaczki.

Ludźmi?

Karol.

Na to nie zezwolę!

Nie przedacie Palmiry... skończę jej niewolę!

Wieśniaczki (razem). •

Papiery!

Pierwsza Wieśniaczka.

Ta to waryat!

Druga Wieśniaczka.

My tego nie znamy.

Karol.

Próżne wasze wykręty, wiary im niedamy.
Słyszałem, coście z sobą tu idąc mówili:
„Trzymaj ją dobrze!“ wszak tak?

Pierwsza Wieśniaczka.

A tak!

Karol.

A po chwili:

„Trzeba ją związać.“

Pierwsza Wieśniaczka.

Prawda.

Karol.

Gdzież się więc ukrywa?
Gdzież jest? mówcie poczwary; gdzież jest nieszczę-
śliwa?

Druga Wieśniaczka.

W kobialce.

Karol.

W kobialce? kto?

Druga Wieśniaczka.

Gęś.

Karol i Burmistrz.

Gęś?

Wieśniaczki (razem).

Gęś.

Karol

(po długim milczeniu).

Co słyszę!

Burmistrz.

O tej gęsi rozdziału pewnie nie napiszę.

Pierwsza Wieśniaczka.

Wyszliśmy w nocy, żeby w mieście stanąć zrana,

Aż tu nam taki kłopot dała gęś związana.
 Ale pono Waszmoście chcieli sięgnąć po nią?
 Szkoda że i kobiety czasami się bronią.

Karol *(na stronie)*.

Co za wstyd...

Burmistrz.

Dzięki Bogu, że dał koniec taki.

Wieśniaczki *(razem)*.

Patrzcie no jak się wstydzą, jak stoją junaki!

Ś P I E W.

Wieśniaczki.

To junaki, to mi śmiałki,
 To mi zuchy do kobiałki!

Karol.

O przekłęcie!

Burmistrz.

O wybornie!

Wieśniaczki.

Co za śmiałość w nich powstała!

Karol.

Co za hańba!

Burmistrz.

Co za hańba!

Wieśniaczki.

Na kobiety dwóch uderza,
 Ha, ha, ha, ha, co za chwała!

Karol.

Dobrej chęci uszła chwała!

Burmistrz.

Z tyle strachu, co za chwała!

Razem.

Razem.

Razem.

Wieśniaczki.

Dla rycerzów ha, ha, ha, ha!

Karol.

A wstyd został dla rycerza!

Burmistrz.

A wstyd, hańba, dla rycerza!

Wieśniaczki.

To junaki, to mi śmiałki,

To mi zuchy do kobiałki!

Karol.

O, przekłęcie!

Burmistrz.

O, wybornie!

Wieśniaczki.

Teraz oba w naszej mocy;

Karol.

Co za hańba!

Burmistrz.

Co za hańba!

Wieśniaczki.

Lecz przebaczyć im wypada.

Ha, ha, ha, ha, dobrej nocy!

Karol.

O, przekłeta ciemność nocy!

Burmistrz.

O, przekłeta ciemność nocy!

Wieśniaczki.

Życzym wszystkie, ha, ha, ha, ha!

Karol.

Jak zdradliwie nami włada!

Burmistrz.

Jak zdradliwie nami włada!

(Wieśniaczki odchodzą śmiejąc się)

Razem.

Razem.

Razem.

Razem.

Razem.

Burmistrz.

Wszak mówiłem....

Karol.

Mówiłeś, milczże teraz, proszę.

Burmistrz.Wszakże wszystko cierpliwie i bez płaczu znoszę;
Ale zgadłem.**Karol.**

Cóż zgadłeś, rzekłeś, zrozumiałeś,
 Pojąłeś? przeniknąłeś i przepowiedziałeś?
 Co? co? mów!... no, co? gadaj.... ale bądź mi cicho;
 Bo ciebie i te baby nadesłało лихо!
 Idziesz czy nie?... nie? bądź zdrow. *(odchodzi)*

Burmistrz *(idąc za Karolem).*

Ale idę, idę.

Ach, kiedyż Bóg łaskawy skończy moje biędę.

S C E N A V.

*(Scena się odmienia. Brzeg lasu; dzień.)***Michał**, *(później)* **Boruta.****Michał** *(jeszcze po kobiécemu, wbiega).*

Ha, już tchu we mnie niema, nie wiem czyli żyję;
 Drżą nogi.... w gardle sucho.... serce mocno bije.

*(siada)***Boruta.**

Któżto pobiegł tak nagle? coś się złego święci.

Michał *(do siebie).*

Jest!... ktoś idzie... czy diabeł wszystkich do mnie nęci

Boruta *(sposstrzega Michała).*

Jakaś kobiéta.

(Michał chrapie)

Hm, hm! tak prędko uśpiona!...

Ta suknia... ten... ten kornet? ta to... moja żona!

Michał *(na stronie).*

Jest... kochankam się pozbył a dostałem męża.

Boruta *(do Michała).*

Znowu cię ta przekłeta zazdrość uciemieża;
Małgosiu! Ej, Małgosiu! po nocy, po lesie!
Powiedz, jakiż cię zły duch, jaka wściekłość niesie?
Nie śpij, Małgosiu! póki proszę!

Michał *(na stronie).*

Ej do kata!

Może ten mąż czasami żonie skórę łąta!

Boruta.

Zostawiłaś gości, dom, któż cię tam wyręczy?
Ta zazdrość w końcu i mnie i ciebie zamęczy.
Dosyć tego, Małgosiu, wstawaj...dalej w drogę!
Czy słyszysz?... A, do kroćset, już ścierpieć nie mogę.
(Michał ucieka przed Borutą)

SCENA VI.

Karol, Burmistrz, Michał, Boruta.

Karol *(chwytając Borutę za kark).*

Mam cię łotrze! Mejsze zemście nieba cię wydały.

Boruta.

Cóż to jest? jakto? coto?

Karol.

Złoczyńco zuchwały!

Tyś więc to jest ów tyran tej lubej dziewczycy?
Twoi to, równi tobie, podli niewolnicy
Ukradli ją przed chwilą z pod mojej obrony
I na powrót oddali w twe zbrodnicze szpony.
Ty jesteś ów opiekun bez wiary, honoru,
Który ufność nagradzasz krátami klasztoru!

I lub może... krew się burzy!... Może, duszo dzika,
Ku nadobnej Palmirze miłość cię przenika?
Chcesz zgwałcić wstępną ku tobie i ufając w złoto,
Chcesz w twej i jej osobie zbrodnię złączyć z cnotą!
O, przysięgam na niebo, na ziemię, świat cały!
Nigdy twoją nie będzie, próżne twe zapęły.

(do Michała)

Przysięgam, będziesz wolną i będziesz zemszoną.

Boruta.

Nie rozumiem... lecz to wiem, że jest moją żoną
I nikt jej kochać, bronić i mścić niema prawa.

Karol.

Palmira jego żoną!

Burmistrz.

Znowu próżna wrzawa.

Karol (do Michała).

Jestże tak w rzeczy, powiedz?

Michał.

O, nie, nie! broń Boże!

Boruta (niepokojny).

Małgosiu, co to znaczy?

Karol.

Milcz!

Boruta.

Ale...

Karol.

Milcz!

Boruta.

Może...

Karol.

Ani słowa!

Boruta.

Lękasz się...

Karol.

Precz! *(chce odchodzić)*

Boruta.

Wszystko przebaczę...

(płacząc ze złości)

Małgosiu, co to znaczy?...

Karol.

Ja ci wytłómaczę.

Boruta.

Aj, żono droga, luba!...

Karol.

Staję w jej obronie.

Boruta.

Ja bo nie chcę...

Karol.

Przed światem twój zamiar odsłonię.

Boruta.

Chodź żonciu...

Karol.

Ani kroku! przed światem ogłoszę,

Że za cnotę w ucisku broń zemsty podnoszę.

(z Michałem chce odchodzić)

Boruta.

Gwałtu! żonę mi biorą!

Karol.

O kroków ztąd parę,

Do południa cię czekam...

Boruta *(do Michała).*

Wspomnijże na wiarę...

Karol.

Przynies z sobą broń równą; tam się z tobą zmierzę.

Teraz idź, albo zginiesz! *(odchodzi z Michałem)*

Boruta (*sam*).

I żonę mi bierze!...

(*biega po scenie*)

A to miło! to pięknie! ja jej nie porzucę.

Nie... nie... pójde po ludzi; ale nim się wrócę?

Naco czekać południa?... nie trzeba godziny...

Żebym był... Boże! Boże! wszystko z mojej winy.

A K T I I I .

(Pokój w domu Kasztelana; nakryto do śniadania.)

S C E N A I .

Zofia *(sama).*

(śpiewa)

Com widziała wśród marzenia,
Czém mnie lube sny pieściły,
Dziś w istotę się przemienia,
Wraca ten, co sercu miły!

O rokoszy niezrównana,
Kocham wzajemnie kochana!

Łzy tęsknoty, łzy miłości!
Już nadzieja was osuszy;
Prócz dla szczęścia, dla radości,
Niema miejsca w mojej duszy!

O rokoszy niezrównana,
Kocham nawzajem kochana!

Lećcie chwile oddalenia,
Ale potem stańcie w pędzie,
Kiedy serca uderzenia
Lube serce liczyć będzie!

O rokoszy niezrównana,
Kocham nawzajem kochana!

S C E N A II.

Zofia, Kasztelan.**Kasztelan.**

Dobrze, kochana Zosiu, lubię żeś wesola.

Zofia.

Jakże nie być, gdy szczęście postrzegam dokoła.

(całując w rękę)

Stryj mnie kocha jak ojciec i...

Kasztelan.

I Karol wraca...

Wszak to I, to ma znaczyć? Przeszłe troski, praca,
 Wszystko wraz nagrodzone was obojga szczęściem,
 Wszystkie nadzieje waszém spełnią się zameściem.
 Dotrzymam, co przyrzekłem bratu już przy zgonie,
 Gdy cię jeszcze dziecięciem złożył na mém łonie:
 Będziesz i moją córką i zawsze mi drogą.

Zofia.

Kochać cię będą dzieci, odwdzięczyć nie mogą.

Kasztelan.I tego tylko żądam. *(Lokaj wchodzi i oddaje listy)*

A! listy z Warszawy.

Zofia.

Listy!

Kasztelan.Potém czytanie, a teraz do kawy. *(siada)***Zofia.**

O, jeszcze nie gotowa, niech stryjasek czyta,
 Jeśli... *(wstrzymuje się, i ciszej)*
 chce czytać.

Kasztelan.

Pewnie mój Lubosz mnie wita
 Przybyłego w te strony: dobry teżto stary,
 Poczciwy!

Zofia.

Ma stryjasek swoje okulary?

Kasztelan *(szuka przy sobie).*

Nie...

(Zofia wybiega)

Nie mam, tam są pono... tam koło komina.

Zofia *(przynosi okulary).*

To są!

Kasztelan.

A co?

Zofia.

Co?

Kasztelan.

Kawa! Nudzić mnie zaczyna...

Zofia.

Już, już daję. Pan Lubosz, to człowiek jedyny,
Zawsze wie i donosi najświeższe nowiny.

Kasztelan.

Nowiny? dobrze mówisz, zobaczę w gazecie...

Ależ, kochana Zosiu, lejesz po serwecie.

Zofia.

Ach!

Kasztelan.

Lubię ja nowiny byle nie o wojnie:

Chciałbym aby świat cały żył sobie spokojnie;

Ale kiedy o bitwach gazety donoszą,

To mordy, to pożogi, to zburzenia głoszą,

Ach, wtedy z cudzych nieszczęść przykra mi zabawa.

Zofia.

Może co w liście będzie...

Kasztelan.

Widzę, żeś ciekawa!

Zofia.

Kochany stryju!

Kasztelan (*bijąc się po głowie*).

Aj, aj! co myślisz łbie stary!

Jamto, Zosiu, przewinił, jamto godzien kary:

W liście jest o Karolu a listu nie czytam

I jeszcze o przyczynę ciekawości pytam.

(*czyta list cicho*)

Tak?... dobrze... wyśmienicie... pięknie... doskonale!

Nie, tegom się po synie nie spodziewał wcale!

Zofia.

O Boże! cóż takiego?

Kasztelan.

A, już przebrał miarę...

Słuchaj, proszę cię, słuchaj; czy dasz temu wiarę?

(*czyta list*)

„Niedobre nowiny donieść ci muszę, kochany przyja-
cielu! Ukończywszy zupełnie interesa względem ku-
pna dóbr, w których się teraz znajdujesz, na rzecz
„Karola i Zofii,“

Zofia.

Ta nowa łaska...

Kasztelan (*czyta dalej*).

Słuchaj!

„czekałem momentu podług twojego rozkazu, aby o
tém uwiadomić i wysłać go do ciebie; ale tymcza-
sem smutne doszły mnie wieści, że Karol drugim stał
się Don Kiszotem. Byłem u niego, odpowiedział, że
chce odnowić dawne czasy rycerstwa, kiedy słabość
i cnota uciemieżona znajdowały obronę w dzielnej
młodzieży, i że chce być wzorem dla świata“...

Trzeba być warjatem,

Aby chcieć świat przerobić, walczyć z całym światem.

(*czyta*)

„Po moich odwiedzinach pierwszego dnia, wpadł do

„klasztoru zakonnic, nie pomnę których, w czasie, gdy
 „jedna młoda osoba *votum* czyniła, i mniemając pe-
 „wnie, że jest przymuszoną, chciał gwałtem ją wy-
 „rwać, jak mówił, barbarzyństwu“...

Proszę. (*czyta*)

„Drugiego dnia chciał przez okno wyrzucić źle mówią-
 „cego o całej płci pięknej“...

Co mu do tego! (*czyta dalej*)

„A dowiedziawszy się, że jakiś Jegomość w najgorszym
 „sposobie obchodzi się ze swoją żoną, wyzwał i obciął
 „go dnia trzeciego, a czwartego wyjechał ztąd nie
 „wiem dokąd, zapewne dla wypełnienia swoich szalo-
 „nych zamiarów. — P. S. Trzeba mu jednak oddać
 „sprawiedliwość, że zawsze myśli uczciwie i Zofią
 „szczerze kocha. Bądź zdrow. — Twój przyjaciel — Lu-
 „bosz.“

Zofia.

On mnie zawsze kocha!

Nie gniewaj się, stryjasku, myśl jego za płocha,
 Ale serce szlachetne, wierne, dusza stała.

Kasztelan.

Widzę, żeś na przypisek tylko uważała.
 Że młodzież zwykle płocha, ma swoje przywary,
 Nie jestem zbyt surowy i patrzę przez szpary;
 Ale co taka czynność, to szaleństwo znaczy,
 I chociaż ja przebaczę, świat jej nie przebaczy.
 Nie, nie jestem surowy, znam wszystkiego miarę,
 Nawet nie w moim guście te młodziki stare,
 Te poważne młokosy, zawczesne sensaty:
 Młodość ma swoje prawa, jak wiosna ma kwiaty.
 Nie lubię, gdy młodzieniec trwożny i nieśmiały
 Z dziewiczej układności poszukuje chwały,

Zawsze w sobie zamknięty, milczący, ponury,
Nie otwiera swej duszy ponętom natury;
Nawet często się zdarza, często się odkrywa,
Że z wielkiego sensata wielki głupiec bywa.

Zofia.

Gdzie my go teraz znajdziem? wyjechał z Warszawy.

Kasztelan.

Poco, naco, dlaczego włązić w cudze sprawy?
Chcieć przez okno wyrzucić...i ta zakonnica...*(śmieje się)*
Ale...ale zuch chłopak, obciesał szlachcica!

SCENA III.

Ciż i Jakub.

Jakub

(kiwa palcem na Kasztelana).

Proszę Pana na sekret...

Kasztelan.

Mój stary Jakubie,

Całe życie sekreta: sekretów nie lubię,
I proszę cię w sekrecie, niech sekret ustanie.

Jakub.

Jak Boga kocham, sekret, wielki sekret, Panie!
Gdzieś tam w lesie jakichś chłopci połapali.

Kasztelan.

Do wójta!...

Jakub.

Ale proszę, niech Pan słucha dalej;
Boto leśniczy, Panie, co karczmarzem razem,
Jeno dzień do wsi przypadł i śpiesznym rozkazem
(śmieje się)
Wszystkich w las pędzi, ale... gdy biega i śpieszy,
Pada, nogę wykręca...

Kasztelan.

I to cię tak śmiesz?

Jakub.

Otóż w tém sekret, Panie, kto są ci panowie:
 Bo, że na panów patrzą, widać po ich mowie;
 Wprawdzie ich nie widziałem, lecz kuchmistrz powiada.
 Al... i ta pani z nimi, to pani nie lada;
 To jakaś tęga pani, tak krzyczy, rozprawia,
 Że dworzan i gromadę w zadumienie wprawia.
 Otóż więc dla odkrycia całej tajemnicy,
 Obu Ichmościów razem zamknięto w piwnicy.
 A tę panią... ekonom ze mną się naradził,
 I ponieważ to dama, do spichlerza wsadził.

Kasztelan.

O, gapiel takto czcicie gościnności prawo?
 Idź, prosz, aby tu przyszła! biegajże a żwawo!
(Jakub odchodzi)

S C E N A IV.

Kasztelan, Zofia.**Kasztelan.**

Może ja jakiś tutaj przypadek sprowadził,
 A ten głupiec bez względu do spichlerza wsadził.
 Wcale mi nie na rękę te nowe zdarzenia,
 Jak gdybym nie miał dosyć swojego strapienia.

S C E N A V.

Ciż, Jakub; Michał *(po kobiécemu)*.**Jakub.**

Właśnie tu idzie. *(bierze Kasztelana na stronę)*
 Sekret.

Kasztelan.

Wraz z tobą mnie nudzi.

(przypatrując się Michałowi; na stronie)

A to co! *(do Michała)*

Proszę bliżej... za śmiałość mych ludzi...

I niegrzeczność... przeprosić... Panią mi wypada.

Zofia.

Cóż za dziwna figura!

Kasztelan *(przypatrując się).*

Niechże Pani siada...

Michał.

Ach, co widzę! *(kłęka)*

Ach, przebacz, przebacz Kasztelanie!

Kasztelan.

Cóż to jest?... Michał!... Michał!

Michał.

Jato jestem, Panie!

Kasztelan.

A mój syn?

Zofia.

Gdzież jest Karol?

Jakub.

Michał, czy szalony!

Michał.

Razem go ze mną chłopci przywiedli w te strony.

Zofia.

Tu jest, tu Karol, śpieszę...

Kasztelan.

Zatrzymaj się, proszę.

Coś to w tém niedobrego być musi, jak wnoszę.

Zacóż, poco was wzięto? jak łotrów, jak zbiegów.

Michał.

Czy mam mówić z początku?

Kasztelan.

Tylko bez wybiegów.

Michał

(odchrząknąwszy, po krótkim milczeniu).

Jeszcze Pan był dziecięciem...

Kasztelan.

Tegom nie ciekawy.

Chcę od wyjazdu z miasta wiedzieć wasze sprawy.

Michał.

Ledwieśmy za warszawskie wystąpili mury,
Jechał mój Pan na bryczce smutny i ponury,
Ja na koźle milczałem, on nie mówił słowa,
Aż się nareszcie nasza skończyła rozmowa.
Spałem... woźnica chrapał a wychudłe szkapy,
Niepomne na głos pana, na jego harapy,
Co krok się potykając, szły z głową spuszczoną
I zdały się przejmować myśl naszą strapioną:
Wtém z rowu jakiś hałas przeraża nam uszy,
Strach nam i dzwoni w zęby i włata do duszy,
Aż tu jakiś diwotwór w powietrze się wzbija,
Skrzydła czarne, dziób groźny, w troje zgięta szyja,
Nie czapla, i nie jastrząb, i nie kaczor dziki,
Okropna jego postać, okropniejsze krzyki;
Wtedy Pan chwyta strzelbę, mierzy, spuszcza, strzela
I obrzydłą poczwarą drogę nam zaściela,
A przelekle rumaki, co jak martwe były,
Nagle z miejsca ruszając... kłusem się puściły.
Ale wśród tej przygody oś, niestety, pryska
I wszystkich nas trzech razem o sto kroków ciska.
Wszyscyśmy razem wstali, konie się wstrzymały,
I tak się przecie skończył ten przypadek cały.

Kasztelan.

Gadał, gadał i gadał, i cóżś wygadał?

Któż cię o takie głupstwo i szaleństwo badał?

Michał.

Zaraz będzie ciekawsze; dopiero zacząłem.
Teraz o bitwie.

Kasztelan i Zofia.

Bitwie!

Michał.

Tak, pod Ryczywołem.

Gdyśmy już przejechali ryczywolskie śmiecia,
Przy drodze nad żeńcami stał jakiś z waszecia:
Kurta, was tęgi, w ręku boćkowskie narzędzie,
Którém nadto gorliwie błogosławił wszędzie.
„Wszyscyśmy ludzie równi przed światem i Bogiem,
„Nie dajcie się ciemieżyć, naganiać batogiem,
„Skropcie dwakroć tyrana, kiedy on was kropi!“
Mówił mój pan w zapale. Rzucili się chłopci,
A że grzbiet ekonoma, rzecz dla nich łakoma,
Łupu cupu, ten i ów... zbili ekonoma.
Ale...

Kasztelan.

Głupiś i głupiś; nie ciekawym boju.
Mów, co Karol tu robi i ty w takim stroju?

Michał.

Widząc się zawsze z Panem w życiu jak na brzegu,
Zbłądziwszy w nocy z drogi, uciekłem z noclegu;
A że zawsze o pasport pytają w stolicy,
By się łatwiej przemycić, wlażłem do spodnicy.
Ale, gdy w mej ucieczce tłukę się po lesie,
Za mną jakieś złe лихо Pana mego niesie
I ledwiem mu się wymknął, znowu mnie dogonił;
Lecz tą razą szczęśliwie, bo grzbiet mój ochronił
Od kogoś, co mym mężem chciał zostać koniecznie;
A że nie chciałem być żoną, stawiał mu się sprzecnie,

Wyszli chłopci, jak mniemam za jego rozkazem
I tu mnie zaprosili z moim panem razem.

Kasztelan.

Poznałże cię Karol?

Michał.

Nie.

Kasztelan.

Czy wie, że jest u mnie?

Michał.

Nie.

Kasztelan.

Z tym Paniczem trzeba postąpić rozumnie.

(po krótkim myśleniu)

Dobra myśl...Chodźcie, wszystkim porozdaję rolę.

Zofia.

Ja wolę pójść do niego.

Kasztelan.

Ja poprawić wolę.

(odechodzą)

(Scena się odmienia; piwnica)

S C E N A VI.

Karol, Burmistrz.

Burmistrz.

To zgroza! co krok koza.

Karol.

Smutne przeznaczenie:

Za najlepsze zamysły, hańba i więzienie.

Niczym więc będą moje najświętsze zamiary.

Burmistrz.

Lecz któż Panu dał władzę i sądu i kary?

Karol.

Tak wrodzony wstręt zbrodni, jak i miłość cnoty.

Burmistrz.

Powinnyby przekonać dzisiejsze kłopoty,
Jak próżny taki zamiar... Cóż zrobioném było,
Coby więcej na chlubę, niż śmiech zasłużyło?
Ja pierwszy, człowiek słuszny, szanowny z urzędu,
Stałem się dziś ofiarą szaleństwa i błędu.

S C E N A VII.

Ciż i Sługa.

Sługa.

Który z Panów Burmistrzem?

Burmistrz.

Ja, ja, ja! cóż powiesz?

Sługa.

Proszę z sobą.

Burmistrz.

A po co?

Sługa.

Zaraz się Pan dowiesz.

Burmistrz.

Wolałbym jednak razem...

Karol.

Nie bój się, idź śmiało:
Zaświadczę, żeś jest niczém albo bardzo mało.

S C E N A VIII.

Karol (sam).

(później) **Zofia (za sceną)**

Jednak dobrze powiedział... Tej nocy wyprawy
Przyniosły wstydu wiele a najmniejszej sławy:

Jak włóczęga, napastnik, prawnie oskarżony,
Będę musiał się zniżyć do słównej obrony.
Wzbiłem się wprawdzie śmiało nad zwykłe koleje,
Lecz sam się teraz pytam, działam czy szaleję?

Zofia (*śpiewa za sceną*).

D U M A.

Jak błysnięcie w nocy ginie,
Jak głos fletu wiatr przewieje,
Jak schnie rosa na drzewinie,
Tak zaginą me nadzieje!
Czemuż do mnie nie powraca?
Któż go kochać będzie tyle!
Ach, zapomniał dawne chwile,
Niewdzięcznością mi odplaca.

Karol.

Nieba! co słyszę! ten głos, te słowa, o nieba!

Zofia (*śpiewa*).

Jak nie wróci dzień, gdy minie,
Zgasła iskra nie zatleje,
Jak łza czysta, co wypłynie,
Tak nie wrócą me nadzieje!
Ach już do mnie nie powróci
Ten, którego kocham tyle!
Już zapomniał dawne chwile,
Ach, on życie moje skróci.

Karol.

Tak, to jej głos... jej słowa, czyż mi więcej trzeba.

(*śpiewa*)

Jak świat codzien zorza budzi,
Jak się wiosna co rok śmieje,
Jak jest miłość szczęściem ludzi,
Tak niemyłne twe nadzieje.

Twój kochanek w każdej dobie,
Jak kochanym, kocha tyle,
Nie zapomniał dawne chwile,
Wróci, wróci żyć przy tobie.

S C E N A IX.

Karol, Sługa.

Karol.

Gdzież, gdzież jest? wszakto ona... mów... powiedz
choć słowo!

Sługa.

Kto?

Karol.

Zofia, Zofia, niepojętna głowo!

Sługa.

Nie wiem.

Karol.

Któż śpiewał?

Sługa.

Nie wiem.

Karol.

Któż panem tej włości?

Gdzież jestem?

Sługa.

Nie wiem.

Karol.

Głupiś.

Sługa.

Nie wiem.

Karol.

Cierpliwości!

O, święta cierpliwości; wspieraj mnie w tej dobie.

(dobywa sakiewkę i daje służącemu)

Na.... masz.... tylko mnie słuchaj.

(szuka jeszcze koło siebie pieniędzy)

Weź co mam przy sobie,

Pozwól tylko, bym wyszedł, bym mógł ją zobaczyć,

(do siebie)

Może zechce wysłuchać, i raczy przebaczyć:

Wyznam jej moje błędy, do nóg się jej rzucę....

(do służki)

Przysięgam ci na wszystko, sam się zaraz wrócę.

(do siebie)

Cierpliwie znosić będę nieprawe więzienie,

Bo mnie głos jej umocni, ożywi wejrzenie.

Sługa *(oddając list).*

List.

Karol.

List? od kogo?

Sługa.

Nie wiem.

Karol.

(czyta)

„Chciałeś mnie ratować w nieszczęściu. Miłość wzajemna jako nagroda, czeka na ciebie. Za twoją miłość, miłość i wolność cię czeka. Oddawca tego biletu, będzie twoim przewodnikiem. — Palmira.“

Co! miłość mnie czeka?

Cóżto? kto chce ratować, czy miłość przyrzeka?

Nie, idź, powiedz.... Ale nie.... Ty mnie masz prowadzić?

Sługa.

Ja.

Karol.

Chodźmy.... będąc wolnym, wszak łatwiej poradzić.

Sługa.

Lecz pierwiej oczy chustką kazano zasłonić.

Karol.

Naco?

Sługa.

Nie wiem.

Karol *(po krótkim myśleniu).*

Zezwala, kto nie może wzbronić.

(sługa zawiązuje mu oczy i wyprowadza)

(scena się odменя; pokój w domu Kasztelana)

SCENA X.

Kasztelan, Zofia, Burmistrz, Jakub.

Kasztelan *(do Burmistrza).*

Waćpan, panie Burmistrzu, idź, wracaj do domu
I nie mów o przygodach tej noey nikomu;
Bo każdy pewnie powie: młody godzien kary,
Lecz można mu przebaczyć; ale kiedy stary....
Rozumiesz?

Burmistrz.

Milczeć będę i twa łaska, panie,
W mojej czulej pamięci na zawsze zostanie. *(odchodzi)*

Zofia.

Lecz go bardzo, stryjaszku, dręczyć się nie godzi.
Słyszałeś, jak mnie kocha....

Kasztelan.

Cicho, już nadchodzi.

SCENA XI.

Kasztelan, Zofia; Karol, Michał*(po kobiećemu; oknem włożą).***Karol** *(w oknie).*

Ale gdzie nasz przewodnik?

Michał *(w oknie).*

Wiem już dalej drogę.

(już w pokoju)

Ach! czy tylko mnie kochasz?

Karol.

Teraz przejrzeć mogę.

(zdejmuje chustkę z oczów)

Cóż to jest?

Kasztelan.

Dół na wilka.

Karol.

Zofia! mój ojciec!

Kasztelan.

Potrafiłem nareszcie twoich sprawek dociec.

Do tegożto dążyły wszystkie twoje dzieła?

Tażto jest piękność, która twą duszę zajęła?

Wielkie muszą być wdzięki, wielkie jej powaby,

Kiedy, aby cię wstrzymać, honor był za słaby;

Tak honor.... boś bezwstydnie złamał słowo dane,

Aby wolno zamiary spełniać wyuzdane.

Miłość Zofii miałeś, szczęście cię czekało;

Lecz nie mogłeś ich cenić, boś ich godzien mało.

Zapomniałeś, coś winien i światu i sobie,

Zapomniałeś i ojca, co wszystko miał w tobie.

Karol.

Ach, ojczy, ojczy, słuchaj!

Kasztelan.

Cóż ta skrytość znaczy?

(odstania Michała)

Niechże i moje oko tę piękność zobaczy.

Karol.

Co! Michał! A hultaju! ty śmiałeś mnie zwodzić?

Michał *(kłęka)*.

Nie zwodzić chciałem, tylko siebie oswobodzić:

Wyznam wszystko.

Karol.

Nie mogę gniewać się w tej chwili.

Wstań.... przebaczam ci.... Oby i mnie przebaczyli!

Lecz w kimże znajdę dla mnie uczucie łaskawsze?

(do Zofii)

Tak, ty.... ach, ty Zofio, którą kochał zawsze,

Ty przebaczysz, Zofio?

Zofia.

I możesz się pytać?

Ty, coś tak niegdyś umiał w moich oczach czytać!

Nigdy ciebie nie winiąc, nad sobą płakała,

Żem tak mało twe serce pozyskać umiała;

Lecz tu, tu przebaczenia błagajmy oboje.

Karol *(na kolanach)*.

Tak, u nóg twoich, ojcze...

Kasztelan.

Wstańcie, dzieci moje.

Karolu, łatwo ojciec przebłagać się daje:

Uciecha jego dzieci, szczęściem mu się staje;

Lecz pamiętaj, pamiętaj, Don Kiszocie nowy,

Że dawne myśli trzeba wyrugować z głowy.

Karol.

Tylko daleki od was mogłem zbłądzić z drogi.

Michał.

Jeśli na nowe boje przestąpię te progi,
Niech od dziś dnia kobietą na zawsze zostanę.

Kasztelan (*biorąc Zofię za rękę*).

Weź z rąk moich jej rękę... serce ci już dane,
Jesteś kochanym... kochaj... i nie pragnij wiele,
A rzeczywiste szczęście otrzymasz w udziale.

F I N A Ł.

Nie szukajmy wśród marzenia
Szczęścia, co się stokroć zmienia,
Jak cień własny nas uwodzi,
Gdy go gonim, to uchodzi!
 Między swemi,
 W swojej ziemi,
 Żyjmy zgodnie
 I swobodnie!

Tylko miłość, stałość, cnoty,
Mogą wrócić nam wiek złoty!

L I S T.

KOMEDYA *)

W JEDNYM AKCIE, W I E R S Z E M.

Pokazuje, że może być oszukany, kto
się łatwo stracha, aby nie był oszukany.

And. Max. Fredro.

*) Podług niemieckiej powieści: *Der unruhige Abend.*

O S O B Y.

ORGON, kupiec, człowiek w średnim wieku.

CELINA, jego żona.

ZOFIA, siostrzenica Orgona.

RADOST, stryj Zdzisława.

ZDZISŁAW.

Scena w ogrodzie Orgona, na przedmieściu.

L I S T.

SCENA I.

Noc. Księżyc świeci. Ogród otoczony murem; w głębi furtka. Po prawej stronie róg domu; drzwi, okno wysoko tak, że dostać można, drugie okno w dachu. Po lewej altana, w której siedzenie i stół. W środku drzewo.

Zdzisław

(wskakuje przez mur do ogrodu. Kapelusz na oczy nasunięty; w płaszczu).

W ogrodzie jestem, i przed domem stoję,
Ale przed czym? to wielkie pytanie.

A nuż to nie jest Orgona mieszkanie?

(po krótkim myśleniu)

Dzisiaj, przeczuwam, coś dziwnego zbroję.

Bo choć tu jest Zofia, jakże ją wyszukać?

Wołać nie można... nie wypada pukać...

Nie znam jej opiekuna ani jego żony,

Będę więc pewnie z niczém odprawiony.

Tak... i Zofia pisze „nie zwierzę się nikomu“

(chodzi zamysłony)

Ha! sto trzydzieści, ma być numer domu.

(czyta nade drzwiami spinając się i zachodząc z różnych stron)

Jeden, jest... lecz to?... pięć... nie, trzy, trzy oczywiście!

Ach, nie trzy, ośm; nie, to jest... Niech cię piorun trzaśnie!

Głupiec napisał jakby datę w liście. *(chodzi)*

Tak drobno, cienko, jak na drwiny właśnie.

Tom II.

Łokciowe być powinny numera na bramie,
 Niech nikt oczów nie psuje i głowy nie łamie;
 Przekłete drobne numera!
 Ha!...dalej w nogi, ktoś furtkę otwiera.
(odchodzi za dom)

SCENA II.

Orgon, Radost *(wchodzą furtką).*

Orgon.

Otóż i w domu. Jak miłe ustronie!
 Nieprawdaż, lube; domek! co? a drzewa?
 Złe kupno? powiedz.

Radost.

Kochany Orgonie...

Orgon *(oglądając się w zachwyceniu).*

Jaka spokojność!

Radost.

Nich cię to nie gniewa...

Orgon *(jak wprzód).*

Co za powietrze! tylko pociąg nosem,
 A!...słodycz!...roskosz!

Radost.

Nie jestem ciekawy;
 Każdy niech swoim zatrudnia się losem,
 Święte dla mnie cudze sprawy...

Orgon *(nie słuchając).*

To nie miejskie wyziewy, tu odetchnąć miło,
 Bodajto na przedmieściu zawsze mieszkać było!

Radost.

Nie jestem, mówię, ciekawy,
 Nie chcę twoich myśli śledzić;
 Ale chciałbym jednak wiedzieć,

Czemu o wdziękach przedmieścia rozprawiasz
A o zysku ani słowa;
W rękę służących twój handel zostawiasz,
Wszakci to strata gotowa.

Orgon.

Wolę mniej zysku a więcej spokoju;
Z młodem pracowałem do krwawego znoju,
Dziś choć niestary ale i niemłody,
Nie dziw, że lepszej chcę użyć wygody.

Radost.

Niewielkie w mieście były twoje trudy,
No, i zabawy bywały nagrodą,
Ale tu poznasz, poznasz co to nudy...
Lecz z drugiej strony, kto ma żonę młodą...

Orgon.

Co?... młodą żonę? i cóż ztąd wynika?

Radost.

Nic, dobrze...

Orgon.

Dobrze, ja wiem, wyśmienicie!
Ale rozumiem... Coto za myśl dzika!
Wierzyć nie można żadnej już kobięcie?
Każda więc żona, każda ma być płocha?
Otóż ja, ja mojej wierzę.

Radost.

Nie wątpię... wiem, że cię kocha.

Orgon.

Kocha, tak kocha, bo jej ufam szczerze.

Radost.

Hm, hm, czyż się o to pytam?

Orgon.

O, wiem co myślisz... w twoich oczach czytam:

Wiem...myślisz, żem się z miasta wyniósł na ustronie
 Dlatego, żem zazdrośny, że nie ufam żonie
 I że się boję... boję...

Radost.

Czego?

Orgon (*znicięciwiony*).

Czego?... tego ...

Wszak rozumiesz?

Radost.

Nie.

Orgon.

No, wszystkiego złego,

Co najczęściej ztąd wypływa,
 Kiedy młoda, ładna żona,
 Sama sobie zostawiona,
 W towarzystwach ciągle bywa.
 Mężatka, młoda osoba,
 Oczywiście się podoba,
 A na trzpiotach nam nie braknie:
 Nieproszony zaraz leci
 Jeden i drugi i trzeci:

(coraz z większym zapalem i wszystko mocno gestykulując)

Już cudzego jak wilk łaknie,
 Już się skrada i przymyka,
 To się sroży, to się leści,
 To naciera, to unika,
 To się piękném słówkiem pieści,
 Coraz wielbi wdzięki nowe;
 A na męża jak na sowę,
 Bij zabij, z krzykiem, hałasem,
 Że mąż biedny tracąc głowę,
 Jeszcze mu się kłania czasem...

Słowem, póty się łąsi i rozczula,
I przymila i przytula;
Aż prysk... Jejmość wzdycha...
Piekło w domu... Pan się gniewa...
Jak się nie gniewać u licha,
Chociażby się było z drzewa?

(w największym zapale)

O, gdybym schwycił gdzie takiego trzpiota,
Duszęby wywarł w mém ręku niecnota;
Gniótlbym, męczyłbym, szarpałbym jak węża,
Niech wie, coto prawo męża!

Radost.

Ależ Orgonie! cóż tobie to szkodzi?
Ciebie wszakże nikt nie zwodzi?

Orgon *(postrzegłszy swoją nieuwagę, zmieszany).*

Co?... mnie... nie szkodzi... Otóż egoista!
Jakże, dobro powszechnie nicém już u Pana?

(chodzi)

Hm!... Nikt nie zwodzi... to rzecz oczywista,
Bo ufam żonie... zazdrość mi nieznana.

Radost *(ziewając).*

Ufasz nie ufasz, na co mnie to wiedzieć.

Orgon.

Lecz proszę cię, Radoście, wyznaj z swojej łaski,
Żem ja zazdrośny, kto ci mógł powiedzieć?
Zkądże wyszła ta bajeczka?
Czyto naszego miasta wyuzdane wrzaski,
Czy może koncept z twojego miasteczka?

Radost.

Bodajżem był rok cały jeszcze w domu siedział!
Żeś jest zazdrośny, czym słowo powiedział?

Orgon.

Ja nie jestem zazdrośny, zazdrością się brzydę.
Nad zazdrośnego męża, głupszego nie widzę.

Radost (*uśmiechając się*).

I ja toż samo.

Orgon.

Bo jeśli zabronię...

Czego się śmiejiesz?

Radost.

Jakaś myśl szalona...

Orgon

(*biorąc go gwałtownie za rękę i na stronę odprowadzając*).

Możesz co o mojej żonie?...

(*pomiarkowawszy się puszcza nagle rękę*)

O, to anioł, moja żona!

Anioł, powiadam, chwalić nie wypada,
Lecz rzadko która te cnoty posiada.

Radost (*ziewając*).

O, wiem, Celina wzorem żón być może,
Ale pozwól, sąsiedzie, niech się spać położę.

Przyznam ci się, żem zmęczony;

Zbiegłem za tobą wszystkie miasta strony,
Bo nawet w twoim sklepie więcej nie wiedziano,
Tylko, żeś na przedmieście wyniósł się dziś rano.

Łażę i łażę, od bramy do bramy,

Aż cię nareszcie spotykam szczęśliwie.

O ważnych rzeczach rozmówić się mamy,

Lecz potem o tém.

Orgon.

Teraz się nie dziwię,

Co cię do miasta z domu wyruszyło;

Interes, niech i tak będzie,
Zawsze w jakimkolwiek względzie
Oglądać cię miło.

Radost.

Chciałem ci przywieźć mego synowca, Zdzisława;
Ale takim Paniczom nie w guście zabawa,
Gdzie stryj spogląda i czasem poprawi;
Jednak rad nierad przyjedzie do ciebie,
I jeśli zechcesz, dni kilka zabawi.

Orgon.

Coto za wieczór! jak czysto na niebie!

Radost.

Parę tygodni jak wrócił z Krakowa;
Chłopiec jak lalka, nie dla kształtu głowa,
I dobre serce, nie mogę się skarżyć,
Gdyby chciał tylko trochę więcej ważyć
Tak moje rady, jak i moje władzę...
Chcę go ożenić.

Orgon.

O, to, to, ożenić!
Ożenić chłopca jak najprędzej radzę,
Nim zacznie nadto swoją wolność cenić,
Nim się nauczy w teraźniejszej szkole
Nie szukać innej chluby nad sprośną swawolę.

Radost.

Wybrałem mu już żonę; ale Panicz młody
Chce wiedzieć, kto, jak, gdzie, co, i kochać się
wprzód;

A ja nie chcę... To głupstwo... niepotrzebna pycha:
Jak pójdzie do ołtarza, niechaj wtenczas wdycha.

(Celina ze światłem wchodzi do pokoju)

Orgon*(wskazując na okno).*

Patrz, moja żona. Anioł! królowa! kochanie!

Coto za skarb, nie jesteś nawet pojąc w stanie.

Ach, tyle cnoty! ach i wdzięków tyle!

Idź, idź Radoście, zostaw mnie na chwilę,

Zaraz za tobą pośpieszę,

Tylko się wprzódym mém szczęściem nacieszę.

*(Staje obrócony ku Celinie z wyciągniętymi rękoma. Radość odchodzi. Orgon poczekawszy zbliża się do okna, spina się i zagląda. Celina wstaje od stolika, przy którym pisała i otwiera okno. Orgon staje pod drzewem.)***S C E N A III.****Orgon, Celina.****Celina** *(w oknie).*

O, witaj chwilo mój umysł pieścząca!

Witaj! w córę Latony srebrzystej osłonie,

Twoje skrzydełko na ziemię potrąca,

Elizejską spokojność i Eteru wonie.

Orgon *(na stronie przez całą scenę).*

Hm, hm, hm.

Celina.

Wietrzyk milczy, listek nie szeleści,

Łza czystej rosy łono kwiatów pieści,

Z więzów poziomych uwolniona dusza,

Tęskném uczuciem rokosznie się wzrusza!

Orgon *(z wrastającym nieukontentowaniem),*

Tęskném uczuciem!

Celina.

Już czuję zbliżenie

Tego, co moje wyciska westchnienie,

Co mnie zachwyca, co mnie nad świat wznosi,
Tak, zbliżenie, przytomność, serce moje głosi.

Orgon.

Tam do kata!

Celina.

Przybywaj w tej cichej godzinie,
Gwiazdo! pochodnio myśli! spocznij przy Celinie,
Niech cię całkiem obejmę, ukryję wśród łona!

Z tobą szczęśliwa, bom z tobą wzniesiona!

Orgon (*chwytając się drzewa*).

Febra mnie trzęsie.

Celina.

Czemuż zważać uprzedzenie,
Co ciasny zakres nadaje kobiecie,
Czemuż mierzając trwożliwie zawodów przestrzenie,
Najpiękniejszemu nie oddać się w świecie?
Tak, uczuć moich szlachetnych nie zmienię;
Lecz mąż pocziwy o tём się nie dowie,
Jemu nawet to nie w głowie,
Nie nie przeczuwa.

Orgon.

Diabła, nie przeczuwa!

Celina.

Wszelki pozór od ciebie twa żona odsuwa;
Ach, tak być musi, kochany Orgonie!
(*zamyka okno; siada i pisze*)

SCENA IV.

Orgon

(*trzymając się obiema rękoma drzewa, zsuwa się aż na ziemię;
słabym głosem*).

Ach, tak być musi... (*zrywa się*)

Nie widzę przyczyny.

(chodzi coraz prędzej)

Tak być nie musi, i to tej godziny...

Czuje zbliżenie! chce go ukryć w łonie!

Tak?... Najpiękniejszego w świecie...

I czemu się nie oddać?... Dobrze zapytanie!

(prawie biega)

I mąż pocziwy... *(śmieje się)*

No, pocziwy przecie!

Nic się nie dowie. Dowie się, kochanie,

Drogie kochanie, aniele!

Wie już nawet, wie za wiele...

Otóż to żony! oto szczęście nasze!

Gwiazda! ha, gwiazda! *(tupa nogą)*

Ja, ja ją zagaszę.

(wolniej chodząc)

Tylko, Orgonie, nie bądź tak gorący,

Może to wszystko stało się niechęć;

Nie bądź zazdrośnym, to śmiesznie, nieładnie,

Dla Boga, nie bądź zazdrośnym, Orgonie!

Czasem są rzeczy, których nikt nie zgadnie,

(prędzej chodząc)

A zazdrość głupstwo, trzeba ufać żonie.

Zazdrość to zjadliwa żmija!

(biega bijąc się w piersi)

Tak się tam obwija, *(szarpiąc kamizelkę)*

Tak szarpie, tak dusi,

Dreczy, piecze, wierci, *(bijąc się w piersi)*

I tu zostać musi

Aż do samej śmierci. *(zadychany)*

Zatém, a zatém... kto zazdrośny, głupi;

Głupi, ja mówię, głupi i szalony,

Straci swój rozum, rozumu nie kupi,

(z westchnieniem; bez wzdargy)

A żony... No, żony...

(siada osłabiony; po krótkim milczeniu)

Ale tak nagle, bez żadnej przyczyny,

Z dobrej, cnotliwej Celiny

Tożby się stać miało? *(z ukontentowaniem)*

Aha! ona mnie widziała, *(śpiewającym głosem)*

I figielek zrobić chciała,

Ale jej się nie udało!

(śmiejąc się idzie do okna i mówi jakby do Celiny głośno, dalej ciszej, ostatnią sylabę cicho)

Weale się nie... u... da... da... ło...

Pisze! hm, pisze!... cóżbo pisać może?

(spina się patrząc przez lornetkę)

List.... *(odskakując od okna)*

I cóż ztąd? *(spina się do okna i odchodząc)*

List, głowę moję łożę....

Ale do kogo?... Czyż nie ma do kogo?

Kobięty najszcześniejsze kiedy pisać mogą....

SCENA V.

Orgon, Zdzisław.

(Orgon wchodząc do domu, postrzega skradającego się po pod mur Zdzisława, zachodzi mu drogę powoli, przypatrując się z uwagą. Zdzisław, nie mogąc uniknąć, staje. Orgon toż samo; długie milczenie, przez które patrzą na siebie nieporuszenie.)

Orgon *(uchylając kapelusz).*

Dobry wieczór.

Zdzisław *(podobnież).*

Dobranoc.

Orgon.

Pan chodzi?...

Zdzisław.

Być może.

Orgon.

Noc piękna.

Zdzisław.

Śliczna.

Orgon.

Jasna.

Zdzisław.

Jak dzień.

Orgon.

Cicha.

Zdzisław.

Jak noc.

*(milczenie)***Orgon.**

Co?

Zdzisław.

Nic.

*(po krótkim milczeniu)***Orgon.**

Lubię być na dworze.

Zdzisław.

Tak?

Orgon.

Waćpan?

Zdzisław.

I ja....

(na stronie)

A cóż tam u licha!

Niema końca tej rozprawie.

(do Orgona)

Dobrej nocy.

Orgon.Wzajemnie. *(krótkie milczenie)***Zdzisław** *(na stronie).*

Jak stał tak i stoi.

(odchodząc w głąb sceny)

Bodajżeś pękł!

Orgon.

Milczący.... Wygadać się boi....

Hm, hm, ale ja, ptaszku, tu cię nie zostawię;

W cudzém gniazdeczku nie będziesz mi siedział :

Zawołam ludzi.... A fe! Każdyby powiedział,

Że mąż zazdrośny; fe! Niech sobie chodzi,

Pod mojem okiem nie wiele zaszkodzi.

*(chodzą obydwa przy przeciwnych stronach sceny)***Zdzisław** *(raptownie).*

Jaki tu numer domu, mogę się zapytać?

Orgon.

I owszem.... gdybym tylko mógł po nocy czytać.

Zdzisław.

Więc Waćpan nie wiesz?

Orgon.

Nie wiem.

Zdzisław.

To dobrze.

Orgon.

Być może.

Zdzisław.

Waćpan bywasz w tym domu?

Orgon.

Czasem.

Zdzisław.

O tej porze?

Orgon.

Różnie.

Zdzisław (*nagle*).

I mieszkasz?

Orgon.

Mam dom w mieście.

Zdzisław.

Tak?

Orgon.

Tak.

Zdzisław.

Kadnie.

Któż tu mieszka?

Orgon.

Właściciel.

Zdzisław.

Resztę każdy zgadnie;

Dobra odpowiedź.

Orgon.

Dobra?... to dobrze.

Zdzisław.

Wybornie.

Orgon.

Ciesz się mnie to.

Zdzisław.

Lecz wolnoż spytać się pokornie:

Pan, tak zwany właściciel, sam zajął mieszkanie?

Orgon.

Sam, z rodziną.

Zdzisław.

To jest?

Orgon.

On, on i dwie Panie.

Zdzisław.

Dwie? jedna żona?

Orgon.

Żona.

Zdzisław.

Druga, może krewna?

Orgon.

Tak niby.

(na stronie)

Jaki bystry.

Zdzisław *(na stronie)*.

Orgon, to rzecz pewna.

Orgon.

Mospanie! masz dobrego we mnie przyjaciela,

Zatém radzę, nie czekać pana właściciela,

Na mój honor, radzę szczerze,

Ruszaj sobie w dalszą drogę.

Zdzisław.

Jego czuciom bardzo wierzę,

I dziękuję za przestrozę.

Orgon.

Jestto człowiek bardzo żywy.

Zdzisław.

Żywy?

Orgon.

I jak!

Zdzisław.

To dobrze.

Orgon.

Nawet popędliwy.

Zdzisław.

Oho!

Orgon.

I lubi, co ma, mieć dla siebie.

Zdzisław.

Ale się dzieli w potrzebie.

Orgon *(krzycząc co siły)*.

Nigdy!

Zdzisław.

Proszę!

Orgon (*wstrzymując się*).

Nie lubi, gdy kto bez powodu

Wejdzie do jego własnego ogrodu,

I tu i ówdzie jak po swoim chodzi.

Zdzisław.

Nie lubi?

Orgon.

I nie tylko, że nie chce, nie lubi,

Ale czasem i wyczubi.

Zdzisław (*z udanym przest్రachem*).

Taki zły?

Orgon.

Zły.

Zdzisław (*jak wprzód*).

Doprawdy?

Orgon (*grożąc*).

O, zły!

Zdzisław.

Nic nie szkodzi.

Orgon (*w złości*).

Mospanie!...

Zdzisław.

Ale cóż mu szkodzić mogą

Ludzie...

Orgon.

Dosyć że mu szkodzą;

Zwłaszcza goście nocną porą,

Co, niech to będzie przestrogą,

Nie wiedzieć zkąd i jak wchodzą.

Zdzisław.

Jakto nie wiedzieć?

Orgon.

Którędyż? proszę powiedzieć.

Zdzisław.

Przez mur.

Orgon.

Przez mur? górą?

Zdzisław.

Górą.

Orgon.

Tak, *sans façons*?

Zdzisław.

Sans façons.

Orgon (*wpół do siebie*).

No proszę jak kogo,

I kontent, jakby wjechał wysadzoną drogą.

(*odsuwając się na stronę*)

Ech! jakaż mnie chęćka bierze

Porachować mu pacierze!

(*do Zdzisława*)

Ale panie *sans façons*, coś sobie rad wszędzie,

Wiadomo ci pewnie będzie,

Nawet łatwe do pojęcia,

Na co są mury.

Zdzisław.

Na co?

Orgon.

Dla zamknięcia.

Zdzisław.

Tak?... A furtka?

Orgon.

Dla wchodu.

Zdzisław.

I cóż ztąd wynika?

Że głupi kto ją zamyka;

Bo gdyby była otwarta,

Po cóżbym przez mur drapał się, u czarta?

Tom II.

Orgon (*wstrzymując się w złości*).

Mój mądry Panie, luby, mój kochany Panie,
 Radzę ci, nie chciej zważać na te względy,
 I nim cię tutaj pan domu zastanie,
 Którędyś przyszedł, wynoś się tamtędy.
 (*Zdzisław idzie ku furtce, Orgon wchodzi do domu*)

SCENA VI.

Zdzisław (*wracając*).

Więc to Pan Orgon.... tak, Orgon o życie....
 Zazdrośny, to widziałem; lecz zazdrośny skrycie,
 Tego mi właśnie trzeba. Będzie mnie miał wszędzie
 I póty mię się nie zbędzie,
 Póki się za mną do stryja nie wstawi,
 I dając mi Zofią siebie nie wybawi.
 Jeszcze z nią razem rozważę to ściśle,
 Zresztą lepsza niż żadna, nadzieja daleka!
 Ale czegoż ja tu myślę?
 Czas ucieka
 A Zosia może z tamtej strony czeka.
 (*odchodzi za dom*)

SCENA VII.

Orgon (*otwiera okno, mając list w ręku; wygląda*).

Poszedł sobie przecie.
 Czekaj, Paniczu, tak wykwinął w mowie,
 Gwiazdo, pochodnio, najpiękniejszy w świecie,
 Ten list o wszystkiem najlepiej mi powie.
 (*czyta do księżycy*)
 „Księżyc malownie cieniuje przedmioty kwiecistego

„przyrodzenia, zadowolniając zmysłowość i budząc
„wyobraźnię, lubę tworzy ideały“...

Niech pękne jeśli rozumiem,

A przecież po polsku umiem.

„Ale to światło ulubione, w moich oczach poblądło, nie-
„stety! bo nie świeci szczęściu naszemu. W całe
„mocy zachwyty duszy nie widzę ciebie, drogi przyja-
„cielu!“...

Piękny przyjaciel, niech go piorun trzaśnie!

„Wracam się więc w tę małą cząstkę ogromu wieczno-
„ści, kiedy pi.... pi.... pijany“....

To zrozumiałe.

„Kiedy pijany rokoszą i ujęty naiwnością duszy mojej,
„zaszczepiłeś pierwszą latorośl miłości. Przybądź ko-
„chanku“....

Już jest, już jest; wszystko jasnie.

„Przybądź kochanku, ideale mój! spocznij na bijącym
„sercu, gdzie tyle razy“...

Co u paraliża! co! „gdzie tyle razy!“

I to są własne mej żony wyrazy?

List nieskończony.... ale dość mi na tém.

(trze list w rękach)

Pokażę przed całym światem!

(żałośnie)

Pokażę wszystkim, jak mnie zdradzają nikczemnie!

Pokażę, żona co zrobiła ze mnie!

O Boże! Boże! co się ze mną dzieje!

Wściekam się.... szaleję....

A świat spokojny.... każdy chodzi śmiało,

Jakby się najlepiej działo.

(po krótkim milczeniu)

Precz trucizno! Niech w piekle cierpi ból wieczysty
Ten, co kobiety uczył pisać listy!
(rzuca list i okno zatrzaska)

SCENA VIII.

Zdzisław, *(później)* **Zofia**.

Zdzisław

(wychodząc z za rogu, dostaje listem w twarz).

Ha! co to znaczy? coś na mnie rzucono....

Coś wielkiego... papier pono....

Otóż jest.... papier, jakaś kartka, pognieciona;

To figiel Zosi.... a może w obawie

By nie wziąć za mnie samego Orgona....

Czy to ty Zosiu?

Zofia *(z okienka wyżej).*

Czy to ty Zdzisławie?

Ach zaraz, zaraz; dawnom już zejść chciała,

Lecz nie wiesz pod jakimi tu jestem oczyma.

Zdzisław.

Tylko odważnie.

Zofia.

Będę probowała,

Jeśli mnie tylko wujaszek nie wstrzyma;

Wciąż słucha, patrzy, śledzi co ja robię;

I ty uważaj, bo tam poszedł właśnie.

Zdzisław.

To mój przyjaciel.

Zofia.

Czy żartujesz sobie?

Zdzisław.

Nie, nie, tylko chodź; wszystko ci wyjaśnię.

(Zofia zamyka okienko)

List.... list jakiś, czytajmy. O! la la la la la!

Szumno gorąco bilecik ulany.

Od kogo do kogo

Te strzały być mogą?

Samaze się to Jejmość tak mocno zapala?

A któżby inny! Nie do mnie pisany;

Ale że go mam w rękę, to się dobrze stało.

Zazdrośnyś, czujny, ale jeszcze mało;

Biedny, o! biedny Orgonie!

Nie pomogą tobie mury.

(drzwi otwierają się)

Otóż Zosia. Niech szuka, zaczekam na stronie,

Wet za wet moja Panno. *(cofa się za róg domu)*

SCENA IX.

Radost, (później) Zdzisław.

(Radost w białym szlafroku, czépku nocnym wstążką związanym, wychodząc kładzie chustkę na głowę od rosy się strzegąc i trzyma pod brodą.)

Radost.

A, do wszystkich katów!

Tur tur tur na dół, tur tur tur do góry...

Ani wytrzymać... jak w domu warjatów.

(Zdzisław zachodzi z tyłu na palcach, chwyta za ramiona i całuje w twarz przez ramie)

Radost *(zadziwiony).*

A!

Zdzisław *(odskakując kilka kroków w tył).*

A!

(milczenie)

Radost (*klaniając się*).

Dziękuję.

Zdzisław (*skłaniając głowę*).

Niema za co.

Radost (*na stronie*).

Wszakcito Zdzisław! O, ladaco!

Co on tu robi?

Zdzisław (*na stronie*).

Któż to?

Radost (*na stronie*).

O tej porze.

Zdzisław (*na stronie*).

Jedno straszydło po drugim wyłazi.

Radost (*na stronie*).

Nie poznał mnie.

Zdzisław (*na stronie*).

Hm! szpieg może.

(*niby do siebie, głośno*)

Niechże mi się nie narazi, ⁴

Ja mu teraz szczerze radzę,

Bo, na pocziwość, przez mur go przesadzę.

Radost (*na stronie*).

Grozi, grozi, nic nie szkodzi;

Nie takby on zaraz śpiewał,

Gdyby się postrzegł, albo się spodziewał,

Że tu stoi obok stryja.

Dobrze...niech się jeszcze zwodzi,

Mnie to wszystko dziwnie sprzyja:

Poznam i zamiar i sposób myślenia.

Zdzisław (*na stronie*).

Do mnie wysłany...niema i wątpienia...

Szpieg pocziwy! szpieg Orgona!

Ale poczekaj! nieźle ucieszysz patrona:

Sam będzie szukał, sam mnie prosić musi,
Jeżeli go dziś jeszcze zazdrość nie udusi.

(do Radosta)

Waćpan zapewne jesteś z tego domu ?

Radost.

Do usług.

Zdzisław.

Gdybyś nie wydał nikomu,
Miałbym do niego prośbę... bardzo małą.

Radost.

Nie, nie nie wydam... proszę mówić śmiało.

Zdzisław.

Ale nie zdradzisz?

Radost.

Tego nie umiem.

Zdzisław *(na stronie).*

Nie umie?

(do Radosta)

Będziesz więc milczał pewnie?

Radost.

Ach, to się rozumie.

Zdzisław.

Jak grób?

Radost.

Jak grób.

Zdzisław.

Słowo?

Radost.

Słowo.

Zdzisław *(na stronie).*

Hultaj! onby ręczył głową.

(do Radosta)

Otóż ta mała prośba... lecz wprzódzy zwierzenie.

Radost.

Słucham, słucham.

Zdzisław.

Kocham się... ale to szalenie!

Radost.

W kim?

Zdzisław.

W pani tego domu.

Radost.

Jakto! w cudzej żonie?

Zdzisław.

Dla tego też mi właśnie trzeba twojej pomocy.

Radost *(na stronie).*

Aj! aj!

Zdzisław.

Chciałbym z nią mówić...

Radost *(na stronie).*

O, biedny Orgonie!

Zdzisław.

Nie mógłbyś nam tej fraszki ułatwić tej nocy?

Radost *(na stronie płaczącym głosem).*

Fraszki! o Boże! Boże! cóżem się dowiedział!

Bodajżem był w domu siedział!

Złajać łotra, nie pomoże...

Źle, jak zamilczę... gorzej, jak powtórzę...

Miedzy młotem a kowadłem.

Po cóż ja tu z nieba spadłem!

Ach, na lichoz mnie to wiedzieć!

Ach, w domu mi było siedzieć!

Zdzisław *(na stronie).*

Jak się śmieje, jak się cieszy,

Że już siatka na mnie spada!

Już do pana myślą śpieszy,

By oznajmić co wybada.

(do Radosta)

Powiem nawet Waćpanu, że piękna Celina
Moje zabiegi postrzegać zaczyna;
Widzę ją w oknie każdego wieczora.

Radost *(zatykając uszy chce odejść).*

(na stronie)

O, Sodoma i Gomora!

Zdzisław *(zatrzymując go).*

Jakże? Chcesz mnie zostawić? A fe, to nie ładnie;
Wysłuchajże przynajmniej całą rzecz dokładnie.

Radost

(na stronie, płaczącym głosem).

Ach, na lichoż mnie to wiedzieć!

Ach, w domu mi było siedzieć!

Ach przyjacielu, ty przeczuwać musisz,
Dla tego tak się kręcisz i dławisz i krztusisz.

Zdzisław.

Gdybym był pewny twojego milczenia...

Radost *(na stronie).*

Ach Boże, wybaw z tego poniżenia!

Zdzisław.

Pokazałbym ci dowody z jej strony.

Czytaj... znasz rękę. *(odsuwając się na stronę)*

Co czynię, szalony!

Honor Celiny... szczęście... nawet życie może

Na moje dobro nieroztropnie łożyć?

(do Radosta)

Nie, mój Panie, to bajka, ten list jest udany,

Nieprawdęm mówił, byłem obłąkany.

Idź, idź, powiedz, Celina jest najlepszą żoną.

Radost *(odchodząc).*

Do nóg upadam.

Zdzisław *(zatrzymując go).*

Słuchaj... I kocha Orgona.

Radost *(odchodząc).*

Do nóg upadam.

Zdzisław *(zatrzymując, już bliżej domu).*

Słuchaj... wszystko com powiedział,

Kłamstwo, kłamstwo, rozumiesz? żebyś o tém wiedział!

A kto na mojem nie przestałby słowie,

Przyslij go do mnie, ja się z nim rozmówię.

Radost *(odchodząc).*

Do nóg upadam.

Zdzisław *(zatrzymując, bliżej domu).*

Zaraz... jeszcze ci coś powiem:

Jeśli kiedybądź się dowiem,

Że najmniejszej przykrości Celina doznaje;

Jeśli jej wolność, pokój, rozrywki, zwyczaje,

Skutkiem tej rozmowy z tobą,

W czémbądź się odmienia;

To jak mnie widzisz przed sobą,

Tak się łby wasze w mém ręku wylenią.

Łeb o łeb walić, trzec będę jak dynie,

Aż wam szpiegostwa chęć całkiem przeminie.

Radost *(odchodząc).*

Do nóg upadam.

Zdzisław *(zatrzymując, przy drzwiach).*

Powiedz, że przez swoje cnoty,

Wdzięki, rozum i przymioty,

Jest od wszystkich poważana,

Szacowana, szanowana,

I lepszego szczęścia warta.

Radost *(wydzierając się).*

Do nóg upadam. *(odchodzi)*

Zdzisław *(puszczając mu rękę).*

Ruszajże do czarta!

S C E N A X.

Zdzisław (*sam*).

Zatém, zatém, mój plan za nic...

Ale nie, względem Celiny,

Honoru nie przestąpię granic:

Nie chcę oszczerstwem powiększać jej winy;

Ale męża będę cieniem,

Wszędzie mnie zoczy za każdym wejrzeniem,

Tak, że kiedy mnie ożeni,

Najszcześniejszym się oceni.

S C E N A XI.

Orgon, Celina.*(Orgon w płaszczu; Zdzisław ustępuje za altanę.)***Celina.**

Idziesz do miasta?

Orgon (*zimno*).

Idę.

Celina.

Tak późno.

Orgon.

Nie szkodzi.

Celina.

Sam.

Orgon.

Nie to.

Celina.

Nie chodź.

Orgon.Muszę. (*odchodzi*)**Celina.**

Pożegnać się godzi.

(Orgon zatrzymuje się, niezupełnie ku niej obrócony; Celina biorąc go za rękę)

Cóż tak nagłego z domu cię wygania?

Orgon.

O, coś nagłego!

Celina.

I kryjesz przede mną?

Orgon.

Jutro ci powiem.

Celina.

Cóż teraz zabrania?

Orgon.

Czasu....

Celina.

Nie trudź się wymówką daremną:

Na to trzeba czasu mało.

Powiedźże duszko, bo się będę gniewać;

Czy ci się co złego stało?

Orgon.

Że się jeszcze nie stało, pozwól się spodziewać;

Ale stać się łatwo może.

Przeto nie zrobię od rzeczy,

Gdy taką tamę położę,

Co mnie nadal zabezpieczy.

Celina.

Aj mężu, mężu, coś tu się w tém święci,

Na co szczerze westchnąć muszę;

Ja to podobno, ja to mimo chęci,

Zasmuciłam twoją duszę.

Ale dla czegoż chcesz działać tajemnie?

Czemuż smutek kryjesz w sobie?

Spełnić twą wolę będzie mi przyjemnie,

Wszystko, wszystko dla cię zrobię.

Jeślim zbłądziła, jeżeli mam wady,

Czém w twém sercu sobie szkodzę,

Popraw otwarcie, udziel swojej rady,

A wdzięcznością ci nagrodzę.

Ach powiedz, mężu, co twoja Celina
Przewinić mogła? W czém trosek przyczyna?
Wierz mi, twoja nieufność niemało mnie boli;
Lecz na spełnienie każdej twojej woli,
Wszelkiego odtąd starania dołożę.

Orgon.

Kochana żono! *(na stronie)*

Nie, to być nie może!

(do Celiny)

Moja Celino, ty mnie kochasz szczerze,
Ja muszę temu wierzyć.... i ja temu wierzę;
Bądź więc spokojna w tym względzie.
Luba Celino! wszystko dobrze będzie,
Ale wyjść muszę, ty nie chodź po dworze:

Kaszłasz trochę, rosa pada,

Zaszkodzić ci może.

Wróć się, i wiesz co, jaka moja rada?

(myśląc co ma powiedzieć)

Nim wrócę.... z Zosią nudzić się będziecie....

Zasiądź więc sobie.... w żółtym gabinecie....

Zdzisław *(z za altany, niebardzo głośno).*

W żółtym.

Orgon *(oglądając się).*

He?

Celina.

W żółtym?

Orgon

(spoglądając w stronę Zdzisława i odprowadzając ją w przeciwną).

O, nie, niekoniecznie:

(cichy)

W zielonym lepiej.

Celina.

I cóż?

Orgon.

Przegraj te sonatki,

Co to zrobione były na ślub mojej matki.

(śpiewa początek)

A jutro moje żonkę, jak poproszę grzecznie,

Zrobi mi koncertik mały.

(całuje ją w czoło)

Celina.

Najchętniej, ale wszak nuty zostały,

Nawet i arfa dotąd jeszcze w mieście.

Orgon.

A mówiłem: arfę weźcie!

Mówiłem najmniej trzy razy;

Ale to jest groch na ścianę,

Dawać tym gapiom rozkazy.

Celina.

Łatwo będzie odzyskane,

To nie wielkie opóźnienie.

Orgon

(patrzac się w stronę Zdzisława).

Lecz czekaj.... dam ci inne zatrudnienie:

Skończ mi ten kwiatek, coś penzlem zaczęła,

Kwiateczek cudny, maleńki,

Lubię wszystkie takie dzieła,

Osobliwie twojej ręki.

Celiniu, aj Celiniu, tak malujesz ładnie,

I gdyby nie to, że mi czasem na myśl wpadnie,

Tobyś całkiem zaniedbała.

A to to to do roboty,

Ty ty ty próżniaczko mała!

(zartując zagania ją ku domowi spoglądając w stronę przeciwną)

Celina.

Skończę ten kwiatek, niebrak mi ochoty,
Zwłaszcza, gdy tyle cenisz moją pracę,
Ale już nie dziś, penzle także w tamtej pace.

Orgon.

Bierzże diabeł wszystkie paki
I wraz z niemi czeladź całą!
Hultaje! (*myśląc*)
Proszę.... bo to.... lada jaki....
Ale ty ziewasz?

Celina.

Ja?

Orgon.

Tak mi się zdało.

Celina.

Jutro do miasta potrzeba wyprawić.

Orgon.

Tobie się spać chce.

Celina.

Co za przywidzenie!

Orgon.

Kiedy ja widzę.

Celina.

Ale wierz mi, że nie.

Orgon.

Bo ty przez grzeczność nie chcesz mnie zostawić.

Celina.

Na honor, że nie.

Orgon.

A oczy zamyka;

Śpiący nie słucha nawet i słowika.

Idź, idź duszko.

Celina.

Nie myślę....

Orgon.

Co za ceregiele!

Celina.

Ale....

Orgon.

No, no.

Celina.

Bo....

Orgon.

Idź, idź!

(ceremoniując się z nią wprowadził do domu i zamykając drzwi za nią, mówi)

Dobranoc aniele.

SCENA XII.

Orgon, Zdziśław.

(Orgon idzie ku altanie, gdzie głos słyszał, obchodzi ją, a przed nim Zdziśław, tak, że na swoje miejsce niewidziany od Orgona wraca.)

Orgon.

Anioł prawdziwy! anioł moja żona!

(po krótkim myśleniu)

Ach cnota to jest, cnota niezmierzona,

Kiedy kto umie utrzymać się ściśle,

Kiedy jak mędrzec swojém czuciem włada.

Naprzykład chciałem, i inaczej myślę,

Choć jeszcze nie wiem co myśleć wypada.

(po krótkim milczeniu)

Wszystko byłoby dobrze.... byłbym i spokojny,

Gdyby nie w liście zawada;

Bo z paniczem krótka rada:

Dowcipny, młody, przekłęcie przystojny,

Sroży się, sroży, ale tchórz tymczasem:

Parę pogrózek rzuconych nawiasem, *(śmiejąc się)*

A już się wyniósł, jakby go nie było.

(w ciągu tej mowy zbliżał się do Zdzisława, tak, że mówiąc wiersz ostatni tuż koło altanu, stanął przy nim)

Zdzisław.

Bardzo przepraszam, nie wyniósł się jeszcze.

(Orgon odstąpiwszy kilka kroków wpatruje się w niego)
(po krótkim milczeniu)

Orgon.

Bardzo się cieszę. *(klaniając się)*

Bardzo mi to miło.

Zdzisław.

I ja w tém także szczęście moje mieszczę.

Orgon.

W czém?

Zdzisław.

Że tu jestem, że widzę Waćpana,
Z którym dziś przyjaźń świeżo zawiązana,
Wróży mi nadal najpiękniejszy związek.
Przeto wypełnię miły obowiązek
Równie wdzięczności, jak uszanowania,
Gdy jutro służyć będę wśród jego mieszkania.

Orgon *(porywczo).*

Co? Waćpan u mnie?

(wstrzymując się) Zbytek łaski, zbytek,
Wielka mu niedogodność....

Zdzisław.

Wielki i pożytek.

Orgon *(porywczo).*

Jaki pożytek?

Zdzisław *(klaniając się).*

Mieć w nim przyjaciela.

Orgon (*klaniając się*).

O!

Zdzisław.

Tak jest, będę....

Orgon.

Nie, nie, choć serce podziela....

Albo wiesz gdzie ja mieszkam?

Zdzisław.

Waćpan mi to powiesz.

Orgon.

Tego Waćpan się nie dowiesz.

Zdzisław.

Nie?

Orgon.

Nie.

Zdzisław.

To dobrze.

Orgon.

Być może.

Zdzisław.

Tak w rzeczy.

Orgon (*na stronie*).

Cóż, jeśli nie dom własny, dalej zabezpieczy.

(*zamyśla się*)

Zdzisław (*po krótkim milczeniu*).

To bardzo piękna kobieta.

Orgon (*przyskakując do niego*).

Kto? co? jak? gdzie?

Zdzisław (*obojętnie*).

Ta dama co weszła do domu,

Mówię, że piękna.

Orgon.

Któż się o to pyta?

Zdzisław.

Tak tylko mówię.

Orgon.

Cóż to szkodzi komu?

Zdzisław.

Nie szkodzi, owszem, bardzo się podoba.

Orgon (*porywczo*).

Mospanie!

(*wstrzymując się*)

A, tak, przystojna osoba.

Zdzisław.

Młoda.

Orgon.

Tak.

Zdzisław.

Świeża.

Orgon.

Dosyć.

Zdzisław.

Kształt, godność w postaci.

Orgon.

Tak, tak, niczego, niczego.

Zdzisław.

Któż bo tak zimno hold piękności płaci?

Orgon.

A Waćpanu co do tego,

Zimno czy letnio, gorąco czy chłodno?

Zdzisław.

Czy mnie do tego... nikt wiedzieć nie może.
(*długie milczenie; Orgon wpatruje się w niego*)

Orgon (*uderzając go po ramieniu*).

Tak, dobrze mówisz, jest osobą godną:

Miła... wzrost piękny... lica świeże, hoże...

Dobra, przyjemna... wszak ją znasz dokładnie?

(czeka odpowiedzi)

A jej dusza!

Zdzisław.

Najczulsza.

Orgon *(z westchnieniem).*

A jak pisze ładnie!

Zdzisław.

Najnowszym stylem, z ogniem i tęsknotą razem.

Naprzykład, gdyby chciała zająć się obrazem

Tej cichej chwili pięknego wieczora,

Cóżby równego wyszło kiedy z pióra!

(Orgon odskakuje kilka kroków w tył i po krótkim milczeniu bierze za rękę Zdzisława)

Orgon.

Mój Panie! działać nie lubię w połowie;

U mnie co w sercu to w mowie:

Waćpan mi się podobasz, i to niewymownie,

(wstrząsając mocno ręką)

Ach, podobasz się gwałtownie.

Jesteś prawdziwie rzadką w tych czasach osobą;

Zatém w przyjaźni musim żyć ze sobą,

A jako przyjaciele, to pierwsza umowa,

Niech nic jeden przed drugim, w swém sercu nie chowa.

Zdzisław.

Cóż dalej?

Orgon.

Przyznaj mi się.

Zdzisław.

Co?

Orgon.

Miej ufność we mnie.

Zdzisław.

Dobrze.

Orgon.

Powiedz, ty się tu nie kręcisz daremnie?
U takich młodych Panów ja wiem co to bywa:
Ta dama?

Zdzisław.

No, ta dama?

Orgon (*puszczając mu rękę gwałtownie*).

Jest dama uczciwa;
Niechaj kark skręci, kto mówi inaczej.

Zdzisław.

Ja więc nie skręcę, ustalę go raczej.

Orgon (*poufale przysuwając się z uśmiechem*).

Podoba ci się... to jest prawda szczéra;
Na co to się zapierać?

Zdzisław.

A któż się zapiera?

Orgon.

Więc wszystko zgadłem, prawda?

Zdzisław.

Hm! po części.

Orgon.

Chciałbyś z nią mówić?

Zdzisław.

Jeśli się poszczęści.

Orgon.

I jak odejdę....

Zdzisław.

Ah, uczyni to przecie.

Orgon (*porywczo*).

Co? jakto?

(*wstrzymując się i na stronę odprowadzając; cicho*)

Ale zmiłuj się, w sekrecie,
Bo wiesz, jakby mąż....

Zdzisław.

Co mnie tam to ciele....

Orgon.

Nózki całuję.

(na stronie) To trochę za wiele.

Zdzisław *(odpowiadając).*

Bądź zdrów.

Orgon.

Więc pójdę.

Zdzisław.

Może kroków z dwieście?

Orgon.

Ale fe!

Zdzisław.

No gdzież?

Orgon.

Przejdę się po mieście.

Długo zabawię.

Zdzisław.

A, co tak, to ładnie.

Orgon *(odchodząc).*

Servus.

Zdzisław.

Najniższy.

Orgon *(wracając, na stronie).*

Co ma paść, niech padnie.

(do Zdzisława).

Wiesz że cię kocham i kocham niemało.

Radzę ci więc szczerze,

Tylko prędko, tylko śmiało.

Zdzisław.

O, bądź spokojny w tej mierze.

Orgon

(poglądając ze złością tamowaną, potem gwałtownie ścisnąjąc).

A więc.... bywaj zdrów, drogi przyjacielu.

(wracając się)

Ale proszę cię, dla samego siebie:

Miej obyczajność, miej zawsze na celu.

Zdzisław.

Jak w każdej potrzebie.

Orgon.

Drogą respektu.

Zdzisław.

Nigdy z niej nie zboczył.

Orgon *(na stronie, uściskawszy go).*

Bodajś łbem na dół przez okno wyskoczył!

(wychodzi furtką i wkrótce pokazuje się na murze koło altany, przelazi, zostaje czas jakiś na rękach zawieszony, potem się puszcza, zbiera płaszcz i kapelusz i kulejąc kryje się do altany)

Zdzisław.

Poszedł.... rzecz dziwna.... ale nim będzie z powrotem,
Żebym mógł jako Zosię uwiadomić o tém,

Może i przyjdzie.... nikt ją nie zatrzyma....

(chodząc koło domu)

Wszędzie już cicho.... światła nigdzie niema.

(światło pokazuje się w oknie, Zdzisław kryje się za róg domu; w pokoju okno otwarte)

S C E N A XIII.

Ciż sami, Celina.

Celina.

Gdzież się mógł podziać? zwiedzam każdy kątek;

Lecz tu go zostawiłam.... mam dobrze w pamięci....

(Celina świecę wystawia i patrzy pod okno)

Orgon

(w altanie, trzymając się za kolano).

Aha! światło, znak!

Celina.

Tak piękny początek!

Może wiatr porwał.... może nim już kręci....

Może, podarty obraz duszy niesie

Po wdzięcznym polu, albo dzikim lesie....

(po krótkim milczeniu)

Ale tak cicho na dworze. *(zamyka okno)*

Orgon.

Aha! zejdzie po list może.

S C E N A XIV.

Zdzisław, Orgon, Zosia.

(wszyscy prawie razem mówią)

Zosia.

Zdzisławie!

Zdzisław.

Zosiu!

Orgon.

Ha! otóż i ona.

*(Orgon chrząka. Zosia idzie palec na ustach, druga ręka wy-
ciągnięta przed siebie ku altanie)*

Zosia *(do siebie).*

Znajdę ja ciebie.

Orgon *(na stronie).*

To mi luba żona!

(Orgon łapiąc ją za rękę, cienkim i cichym głosem śpiewa)

Koło siatki

Dzierlatki

Latały;

Aż się w siatki

Dzierlatki

(swoim głosem w złości) Złapały!

Zosia

*(uciekając ku domowi i ciągnąc za sobą Orgona, który ją
wstrzymać usiłuje).*

Ach! gwałtu!

SCENA XV.

Ciż sami, Celina *(ze świecą)*.

Celina.

Cóżto za wrzawa?

Czy to okoliczność cała,
Której widzieć nie mam prawa?
Tegom się nie spodziewała!

Wcale!

Zosia.

I ja nie!

Orgon *(macając się za kolano)*.

I ja nie. *(Celina świecę stawia)*

Zdzisław.

I ja nie.

Orgon.

Ależ nie myślisz, najdroższe kochanie,
Że ona, że ja... że... żeśmy oboje...
Żem chciał za inną chwycić, jak za twoją
Rączkę.

Zdzisław.

Mnie się także zdaje,
Że mój przyjaciel pomylił się trochę.

Zosia.

I ja tak myślę.

Celina *(żartując)*.

Niechże go wyłaje
Za działanie tak zbyt płocze.

Orgon.

O, ja dobrze wiedziałem, że mnie nie posądzisz,
Znasz moje stałość, wierzysz, i wcale nie błądzisz;
Lecz względem innych osób, to inaczej całkiem,
Mógłbym je tu zawstydzić nie jednym kawałkiem:

Zdzisław.

Ja to wiem, że niegodna głowa
W pędzie omylnym przyjęła jej słowa!
Ale i to wiem, że ztąd wyleciały;
A że dość silno, nie żadnym przypadkiem,
Nos mój świadkiem.

Celina.

To być nie może.

Orgon (*tupając nogą*).

Na cóż ten protokół cały,
List miłość oświadczający,
Czuły, górny i gorący,
Czy to on spada z nieba, czy z ziemi wyrasta,
Tyś go pisała, i basta!

Celina.

A ty wzięłeś ze stolika.

Orgon.

Zgadła jejmość dobrodzika.

Celina.

Więc i tamtych zostawiać nie było potrzeba.

Orgon.

Jakich tamtych? wielkie nieba!

Celina.

Jest pakiet cały.

Orgon.

Pakiet?

Celina.

Poznałbyś ośnowę.

Orgon.

Ośnowę?

Celina.

Tak jest, mam blisko połowę.

Orgon.

Czego?

Celina.

Czego? romansu.

Orgon.

Romansu, co słyszę!

Celina.

Tak jest, muszę więc wyznać: romans piszę;
Lecz wiedząc dobrze, że w dzisiejszym świecie,
Nie pozwolono mieć rozum kobiecie,
Że każdy za złe zwykle jej poczyta,
Gdy pióro bierze albo lutnią chwyta;
Kryłam się z pracą, kryłam się, niestety!
Pragnąc zabawy, nie żadnej zalety...

(kłaniając się mężowi)

Lecz ci, co do serc naszych prawo sobie roszczą,
Nawet w marzeniu, szczęścia nam zazdroszczą.

Orgon.

Nie, moja lubciu... Przepraszam cię szczerze,
Nigdy ci sprzecznym nie będę w tej mierze;
Na cóż mi wszelka twych działań wiadomość?
Ale powiedz mi, kto jest ten jegomość?

Celina.

Chciałam cię się spytać właśnie.

SCENA XVI.

Ciż sami, Radost.

(Radost ukazawszy głowę przeze drzwi przysłuchiwał się tej scenie, później wszedł)

Radost.

To zjawienie ja objaśnię.

Zdzisław.

Mój stryj!

Wszyscy.

Stryj?

Radost.

Stryj tego trzpiota.

Ale umieć przebaczać jestto piękna cnota:

Tej się, Orgonie, spodziewam po tobie.

Orgon.

I owszem, owszem... Niech już idzie sobie.

Zdzisław *(do Radosta).*

Zatém to stryj dobrodziej...

Radost *(do Zdzisława).*

Ciszej chłopcze, ciszej.

Zdzisław *(do Radosta).*

Przebacz mi...

Radost *(do Zdzisława).*

Dobrze, dobrze, niech nas nikt nie słyszy.

(do Orgona)

Prosić o rękę Zosi dla Pana Zdzisława

Celem mej podróży było;

Lecz po tém co się zdarzyło,

Na zawsze nim kierować, nie chcę mieć już prawa.

Zdzisław.

Ach, stryju mój kochany, nie odsuwaj ręki,

Tysiączne ci co chwila składać będę dzięki;

Ja kocham Zosię.

Orgon, Celina, Radost.

Kochasz ją?

Celina.

A ona?

Zosia.

Czyż trudno zgadnąć!

Orgon

(oddychając i biorąc się za kolano).

No, rzecz wyjaśniona.

Radost *(do Orgona).*

I jakże?

Orgon.

Z duszy, z serca: jeszcze był w Krakowie,
A mnie się już ten związek uwijał po głowie.

(łącząc ich)

Pobierzcie się i życie jak gołąbki w parze;
Wszak ty chcesz, Zosiu?

Zosia.

Kiedy wujaszek tak każe...

Orgon.

Hm! jakie posłuszne dzieci.

Radost.

Szczęść wam Boże!

Zdzisław.

No proszę, co za plotki w świecie:

Mówiono, że Pan Orgon nikomu, nikomu
Nie da i na krok wstąpić do swojego domu;

I ażeby wszelkiego powodu unikać,

Woli i siostrzenicę wraz z żoną zamykać.

Ztąd cała moja skrytość i wszystkie przygody.

Radost.

Co dowodzi, że stary ma rozum, a młody...

(dmucha w rękę)

Orgon.

Dosyć już dosyć, dla Boga!

Niech się raz skończy gadanina cała.

Wy się pobierzcie, ty zaś, lubciu droga!

(z westchnieniem)

Gdyś do romansów ochoty nabrała,

To już wolisz je pisać, a tak najmniej stracę,

Chociaż za sprzedaż księgarzom dopłacę.

PIERWSZA LEPSZA

czyli

NAUKA ZBAWIENNA.

KOMEDIA

W JEDNYM AKCIE, W IERSZEM.

Nie puszczaj się w studnię, aż wprzód
opatrzysz, jako z niej wyleść.

And. Max. Fredro.

O S O B Y.

JULIA.

ELWIRA.

ALFRED.

ZDZISŁAW.

ZOSIA.

PANNA MARTA.

Scena w mieście, w ogrodzie.

PIERWSZA LEPSZA

CZYLI

NAUKA ZBAWIENNA.

SCENA I.

(Ogród, na przodzie sceny altana; w głębi ulica; stoły. Z obu stron ławki.)

Alfred, Zdzisław.

Zdzisław.

Jakto? młodą czy starą, czy brzydką czy ładną?

Alfred.

Tak jest, starą czy młodą, piękną czy szkaradną,
Pierwszą, którą tu spotkam, obieram za żonę;
Wszystkie więc twoje słowa w tej mierze stracone.

Zdzisław.

Co za myśl!

Alfred.

Jak najnowsza; szczytna, doskonała!
Równiej dotąd natura jeszcze nie wydała.

Zdzisław.

Nie wątpię.

Alfred.

Od sześciu lat chcę nudy odmienić,
Chcę się ożywić, wskrzesić, słowem chcę się żenić,

I przez rady, rozsądek, słabość, punkt honoru,
Nie mogę się odważyć uczynić wyboru.
Ta przyjemna, powabna, ale nadto płocha,
Ta znowu zimna, mądra, siebie tylko kocha,
Tu jest dobroć bez kształtu, tu kształt bez dobroci,
Tam wszystko liche wewnątrz, posag tylko złoci,
Tu zaś wszystko anielskie, lecz majątku niema,
Z tej słowa nie wycedzisz, ta strzela oczyma,
Tu strach ojca, tu matki, tam złe wychowanie,
Dość, że każda swe *ale* ode mnie dostanie.

Zdzisław.

Czemuż się żenić?

Alfred.

Wolę, jak sobie w łeb strzelić;
Kto wie, ten krok mnie jeszcze może rozweselić.
Wszystkiemu już próbowałem, wszystko mnie znudziło,
I zawsze zyskam, byle tak, jak jest, nie było;
Dla tego się ożenię, dzisiaj się ożenię,
I nie mogąc w tém działać, zdam na przeznaczenie.
(wzniosło)

Krocie wieków upłynie, za stu wieków śladem,
A ja będę w tym razie jedynym przykładem.

Zdzisław.

Nawet potomność temu szaleństwu bez miary
I nie uwierzy.

Alfred.

Jakto? czemu nie da wiary?
Każdy twór ludzkiej myśli, w podobieństwa rzędzie,
Albo był wykonanym albo z czasem będzie.

Zdzisław.

Wszystko być może, ale jedyny Alfredzie,
Wiesz, ta oryginalność dokąd cię zawiedzie?

Alfred.

To wiem, wiem, mój Zdzisławie, lecz cobym rad wiedział:

Czemu o to się pytasz na com odpowiedział?

Od wczoraj ci jest znanym mój zamiar dokładnie.

Zdzisław.

Probuje, czy rozsądek na myśl ci nie wpadnie.

Alfred.

Kiedy więc ty powtarzasz i ja ci powtórzę,

Że już zamiar zmienionym dzisiaj być nie może:

Zapis posłany, którym majątku dział robię,

Jeśli jakiegobądź żony nie znajdę w tej dobie,

Słowo dane po dwakroć znajomej młodzieży,

Która się dziwi, wielbi, lecz jednak nie wierzy,

I ty, świadek wybrany, stróż mego honoru,

Że pierwszą lepszą wezmę nie czyniąc wyboru,

Wszystko mi do cofnienia zagradza już drogę.

Zdzisław.

Wszystko, prawda: lecz jednak ratować cię mogę:

Powrót się do Julii, tak godna osoba,

Kocha cię niezawodnie, tobie się podoba.

Alfred.

Wprawdzie z wszystkich Julią najwięcej ja cenię;

Lecz sześć lat stracę, jeszcze się z nią nie ożenię.

Piękna, dobra, bogata, i kocha mnie stale,

Ale coś mnie wstrzymuje, ale...

Zdzisław.

Ale, ale?

Alfred.

Ale Julia wdowa.

Zdzisław.

Wiem.

Alfred.

A każda wdowa

Cnoty męża pamięta a wady z nim chowa:

Zawsze przeszłość i przeszłość wspomina ze żalem,
I mąż świętej pamięci jest wiecznym rywalem.
Jednak wszystko to fraszki.

Zdzisław.

Albo żarty raczej.

Alfred.

Miłość jest szczęściem, mówią, ja myślę inaczej,
Miłość szczęścia zasadą, lecz nie wszystkiem jeszcze:
W powabach, wdziękach duszy, także wiele mieszczę,
Bez nich i rozum przykry i miłość natrętna,
Bez nich srogiemu nudów nie unikniesz piętna.
Julia, jak powiadasz, kocha mnie: to wiele,
Świat ją szanuje, wielbi: ja to zdanie dziele,
Ma rozum, cnoty, stałość, rozsądek: przyznaję;
Lecz zawsze w jednym kształcie to wszystko zostaje.
Nie, nie, tego Julia jeszcze ma za mało,
Coby do rozważnego wyboru skłaniało.
O, jak drogą jest w żonie ta pociągu władza,
Która nas w coraz nowe rokosze wprowadza,
To źródło nieprzebrane czucia, przymilenia,
Co zawsze jednem będąc, zawsze się odmienia;
Ten dowcip, wdzięk pomysłów, lecz zawsze w przelocie,
Co ozdoby dodaje nawet skromnej cnocie,
Co ciągle upragniony, nigdy dość nieznany,
Samą stałość ustala powabem odmiany.

Zdzisław.

Nie jesteś, mój Alfredzie, widzę, z sobą w zgodzie,
Takieże żony szukasz w publicznym ogrodzie?

Alfred.

Gdybym wybierał, taką chciałbym mieć koniecznie,
Ale nie chcę wybierać, bobym szukał wiecznie;
I gdy nie dla swobody, lecz zmiany się żenię,
Przyjmę dość obojętnie, co da przeznaczenie.

Zdzisław.

Zobaczę...ale kiedy tak zważasz małżeństwo,
 Kiedy gwałtem chcesz skończyć zaczęte szaleństwo,
 Czemuż jakich warunków nie kładziesz w tym względzie?
 Z pozoru pojąć żonę, dość szaleństwa będzie.

Alfred.

Gdybym jeden warunek z mej strony położył,
 Ten jedenby sto innych w ten moment pomnożył;
 I już kłótnie, procesa, lub dawne wahanie.
 Nie...raz, dwa, trzy! mam żonę, niech się co chce stanie!

Zdzisław.

Pewnie ta czynność twoja zadziwienie sprawi,
 I choć pochwał nie zyska, cały świat ubawi;
 Głosić ją będą listy, opiewać gazety,
 Ale gorzko ten zaszczyt opłacisz, niestety!...
 Cóż tam znowu rysujesz?

Alfred *(laską kreskę robiąc).*

Granicę.

Zdzisław.

Granicę?

Alfred.

Bo nuż ku nam się zbliżą dwie razem dziewice
 Lub trzy, którąż wziąć? Więc patrz...kreska wycią-
 gniona:

Tamtędy pójdzie kto chce, tędy moja żona.

Zdzisław.

Alfredzie, wszystkom robił, co było w mej mocy;
 Śmiałeś się z mojej rady, nie chciałeś pomocy,
 Zatem już teraz, jako świadek ci dodany,
 Strzedz cię muszę: każdy krok będzie zapisany.
 Dotrzymasz słowa czy nie, opis będzie szczery.

Alfred *(dając papiery).*

Masz, Panie Sekretarzu, potrzebne papiery;
 Stan mojego majątku.

Zdzisław.

Dokument potrzebny.

Alfred *(dając drugi papier).*

Jakim jestem, co umiem.

Zdzisław.

Dokument chwalebny.

Alfred *(dając trzeci papier).*To, kontrakt podpisany, przez świadków stwierdzony,
I jedynie brakuje podpisu mej żony.*(dając czwarty papier)*To zaś, cały mój zamiar, i prośba ode mnie...
Bo każdą trzeba prosić.**Zdzisław.**

I czasem daremnie.

Potém, łatwiej na piśmie ofiarować siebie.

Alfred *(dając papiery).*

Weźże to wszystko, proszę, i użyj w potrzebie.

Ach!

*(Elwira idzie ulicą czytając książkę, w głębi czasem stojąc)***Zdzisław** *(oglądając się).*

Co tam?

Alfred *(patrząc na Elwirę).*

Lekkość w chodzie, wspaniałość w postawie.

Tu pójdzie...nie, tam...nie, tu! tu! A co Zdzisławie?

Przypatrz się dokładnie, moją idzie stroną:

Jakiżem mąż szczęśliwy! o, kochana żono!

SCENA II.

Alfred, Zdzisław, Elwira.*(Elwira nie widząc Alfreda i Zdzisława, czytając siada przy
przeciwniej stronie sceny)***Alfred***(na stronie do Zdzisława, chcąc brać papier).*

Mój charakter, niech idzie na samym początku.

Zdzisław.

Nie, wiesz, to wielka dama, zacznij od majątku.

Alfred *(podając pismo Elwirze).*

Racz Pani rzucić okiem.

(Elwira nie patrząc, rzuca na papier jałmużnę i dalej czyta)

Zdzisław *(śmiejąc się, zapisuje).*

Jałmużna zdobyta.

Alfred *(do Elwiry).*

Innej litości żądam... Niech Pani przeczyta:

(podając papiery następnie)

Mój majątek.

Elwira.

Dość mierny.

Alfred.

Charakter.

Elwira.

Dość śmieszny.

Alfred.

I prośba.

Elwira.

Dość szalona.

Zdzisław *(na stronie).*

Prolog... dość ucieszny!

Lecz sztuka jaka będzie?

Alfred

(pomieszany, do czytającej książkę Elwiry po krótkim myśleniu).

Pani... lecz... prawdziwie...

Zdzisławie, co tu robić?

Zdzisław.

Prosić ją cierpliwie.

Alfred.

Mogęż prośbę powtórzyć, odpowiedzi żądać?

Chciej Pani piękném okiem łaskawiej spoglądać,

Mój pomysł jest szalony, każdy będzie sądził,

Lecz gdy spojrzy na ciebie, wnet przyzna że zblądził.

Elwira (*wstając*).

Że się Waćpan*) chcesz żenić, nie dziwię się wcale,
 Żeś zaś obrał ten sposób, ni ganię, ni chwałę;
 Każdy ma swój rozsądek, ma swoje mniemanie,
 Lecz odpowiem życzeniem na jego żądanie:
 Chciałabym znaleźć męża, gdy będę wybierać,
 Któryby wziętym prawom nie chciał się opierać;
 Któryby umiał cenić świętych ślubów związek,
 Umiał, nim na się przyjmie, zmierzyć obowiązek;
 I niegardzący wszystkiem ani też gardzony,
 Miał jeszcze iskrę czucia

(*z przyciskiem*) dla wybranej żony;

Chciałabym, żeby mój mąż był już stałej duszy,
 Której poklask szalonych nie zajmie, nie wzruszy;
 Żeby śmiały, odważny, był razem łagodny,
 Niechełpiący się nigdy, ale pochwał godny,
 Żeby mnie poznał dobrze, był równie poznany,
 Potem, żeby tak kochał, jak będzie kochany;
 Zresztą, niech ma majątek i przyjemną postać:

(*klaniając się nisko*)

Zatém Waćpan, jak widzisz, nie możesz nim zostać.

(*odchodzi; chwila milczenia*)

SCENA III.

Alfred, Zdzisław.

Alfred.

„Zatém Waćpan, jak widzisz, nie możesz nim zostać.”
 Czemu? „Niech ma majątek i przyjemną postać.”
 Jakaż ja mam, do licha? „Majątek, majątek!”
 Wszak mam. Cóż ona myśli?

*) Życzyłbym przyjąć w deklamacyi abrewiacyą: *Acan*, jako więcej do ucha.

Zdzisław.

Wyborny początek.

(zapisując)

Jałmużna... obraz męża... wżgarda...

Alfred.

Czyś szalony!

Na cóż to wszystko pisać?

Zdzisław *(pisząc)*.

Alfred urażony....

Alfred.

Nie pisz tego, Zdzisławie!

Zdzisław.

Ja z urzędu piszę,

I pisać będę wszystko, co tylko usłyszę.

Alfred.

Ale jak można pisać, co czasem w rozmowie....

S C E N A IV.

Alfred, Zdzisław, Zosia.**Zosia***(mając koszyk w ręku; niewidziana dotąd).*

Nie chcą Panowie malin? maliny, Panowie!

Alfred *(obracając się, z zadziwieniem).*

Chcemy, chcemy, aniołku, ale razem z tobą.

Zosia.

O, tak! Bardzo dziękuje.

Alfred.

Pobierzem się z sobą.

Zosia.

Bardzo pięknie dziękuje.

Alfred.

Ja bo nie żartuję.

Zosia.

Być może.

Alfred.

Jakto, nie chcesz być panią?

Zosia.

Dziękuję.

Alfred.

Jakże ci imię?

Zosia.

Zosia.

Alfred.

Więc, Zosiuniu mała,

Trzeba, ażebyś na to dobrze uważała,

Że się nie zawsze spotkasz z takim wielkim szczę-
ściem.

Zosia.

Dziękuję.

Alfred.

Czemuż, powiedz, gardzisz tém zamęściem?

Zosia.

Ja mam sobie równego, i kocham go szczerze.

Alfred.

Zapomnisz.... i on sobie niech inną wybierze.

A ty, jak jego pani, dasz mu dom i rolę...

Jakże?

Zosia.

Bardzo dziękuję, ja Pawełka wolę.

Zdzisław (*pisząc*).

Pawełka woli.

Alfred.

Ale Zosiu, zważaj proszę,

Jakie ciebie w tym stanie czekają rokosze:

Czego tylko dziś pragniesz, będziesz w nim używać,

Teraz słuchasz, a potem będziesz rozkazywać,

Teraz służysz, a potem będą służyć tobie,
 Teraz myślisz o pracy, potem o ozdobie,
 Teraz chodzisz, a przy mnie usiądziesz w karęcie,
 A wstążek co mieć będziesz! nad wszelkie użycie.

Zosia.

Już ja Pawełka wolę.

Alfred.

I moja osoba,
 Zdaje mi się, bez chluby, łatwo się podoba,
 Nawet nie raz i nie dwa już mi to mówiono;
 Będę mężem dość wiernym, ty bądź wierną żoną,
 Bo o to bardzo proszę.... i o cóż ci chodzi?

(obraca się)

Przypatrz się tylko dobrze, wszak cię wzrok nie zwo-
 dzi.

Zosia *(po długim przypatrzeniu się)*.

O, ja wolę Pawełka.

Alfred.

A, coż tam u kata!
 Z tym przekłętym Pawełkiem czy mnie lichu brata?

(do Zosi)

Może bierzesz za żarty? oto są dowody.

Umieszże czytać?

*(tu w głębi się pokazuje panna Marta; okulary zielone, jakich się od kurzu używa, plaster na brodzie, kapelusz, kwef,
 i t. d.; dziwacznie ubrana; słucha Alfreda)*

Zosia.

Trochę.

Alfred.

Lecz powiem ci wprzód,
 Dla czego, twojém zdaniem, tak dziwną rzecz robię:
 Chcąc się prędko ożenić, ułożyłem sobie,
 Że pierwsza, którą spotkam, byle tylko chciała,
 Będzie i moję rękę i majątek miała,

Choćby stara i brzydka, a żeś ty i młoda
 I ładna i przyjemna, zatém prędsza zgoda.
 Czytaj, oto mój podpis, drugiego brakuje.
 Która podpisze, męża mieć będzie.

Zosia.

Dziękuję.

Alfred.

A gdybym później, czytaj, nie dotrzymał słowa,
 Narzeczonej przypada majątku połowa.
 Wierz mi, Zosiu, tém wszystkiém i panie nie gardzą.

Zosia.

Już ja wolę Pawełka, i dziękuję bardzo....

Alfred (*urazony; wstrzymuje się*).

Ależ moja Zosiuniu, kiedyś tak uparta....

(*Panna Marta wyrywa pismo z rąk Alfreda, rzuca się obok Zdzisława, wyrywa pióro i podpisuje; Zosia śmiejąc się wybiega. Alfred i Zdzisław przestraszeni, długo zostają w nieporuszoném zadziwieniu.*)

SCENA V.

Alfred, Zdzisław, Panna Marta.

Panna Marta

(*podpisawszy, przypatruje się obu i mówi litewskim akcentem*).

Tak, dobrze? wszak prawda, co? przecież więcej
 warta,

Jak to głupie dziewczę.... co? ni brzydkam, ni stara,
 Będzie z nas nader miła i dobrana para!
 Szlachetnegom jest rodu, dzwonek w herbie noszę,
 Śmigalińska Marta, co? nie znacie mię, proszę!

(*przejrzawszy, chowa papiery*)

Więc Alfred. No Alfredzie, będę twoją żoną.

Co?

Zdzisław.

Ale którą Jejmość przybyła tu stroną?
Co?

Panna Marta.

Da tędy, rybeńko, koło tej topoli.

Alfred.

Niestety!

Panna Marta.

Ty wzdychasz? co? powoli, powoli,
Nie udawaj miłości, gdy jej nie masz w duszy,
To udane westchnienie serca mi nie wzruszy.
Że mnie kiedyś pokochasz, łatwo temu wierzę,
Ale ja jestem bardzo rozsądna w tej mierze,
I wiem, że żadne wdzięki nie mają dość siły,
By tak nagle westchnienia miłosne wzbudziły;
Nie chciej więc nagłym ogniem wzniecić me zapaly,
Lecz staraj się powoli zwalczyć odpór stały:
Niech nieznacznie sentyment, którego się boję,
Trwożliwą narzeczoną odda w ręce twoje.
Co? ach! przyjdzie czas, kiedy figlarz Kupidynek,
Przerwie dziewiczej duszy niewinny spoczynek,
Kiedy na małą strzałkę, jak srogi morderca,
Nadzieje nasze, czuciem gorejące serca,
A płomyzek afektu nad niemi wzniesiony,
W płomień, a dalej w pożar zostanie zmieniony.
Co? Ale cierpliwości, Alfredzie, potrzeba,
Tobie bystrość, mnie skromność udzieliły nieba.
Kiedyż zatem ślub będzie? co? siadaj kochanie.
Co?

(sadza gwałtem przy sobie Alfreda posuwając się ku Zdzisławowi, który się przed nią usuwa i nareszcie wstać musi)

Zdzisław.

Raz, dwa, trzy! mam żonę, niech się co chce stanie!

Alfred *(do Zdzisława)*.

Co tu robić?

Zdzisław.

Ha! uledez władzy przeznaczenia.

Panna Marta.

Przeznaczenie najstalsze zamiary odmienia.

Wyjeżdżając ze Żmudzi.... byłeś w Żmudzi kiedy?

Co? nigdy? no, to ze mną będziesz. Otóż tedy

Wyjeżdżając ze Żmudzi.... bo mam proces duży,

Lubisz procesa? co? nie? jak co komu służy.

Otóż więc proces; wiele byłoby powiadać,

Jak, co, więc krótko mówiąc, bo nie lubię gadać,

Chcę, choć jeszcze lat nie mam, pozbyć się opieki....

Zdzisław.

Opieka więc na Żmudzi trwać musi dwa wieki.

Panna Marta.

Jest to cnota nad cnotami,

Trzymać język za zębami;

Co? niema się co mówić, trzeba cicho siedzieć,

Lepiej, rybeńko, milczeć, niż głupstwo powiedzieć.

(do Alfreda)

Wyjeżdżając ze Żmudzi, czym się spodziewała,

Że na miejscu dekretu będę męża miała,

Że na twoje zbawienie, jakby z nieba spadnę?

Otożez przeznaczenie. Co? a zatem żadne....

Zdzisław.

Alfredzie, dosyć żartów, dosyć i zabawy;

Panienka może przez nas nie wygra swej sprawy;

Przeciąganiem tej sceny możemy zaszkodzić.

Panna Marta.

Sceny? co?

Zdzisław.

Małoletnich nie wypada zwodzić.

Alfred.

W samej rzeczy, zbyt długo ciągną się te żarty,
Nie chcemy już wstrzymywać Jejmość panny Marty;
Niech się więcej panienka mym losem nie trudzi,
I przebaczy, że razem nie wrócim do Żmudzi.

Zdzisław *(kłaniając się)*.

Sługa jej uniżony i wielbiciel szczerzy.

Alfred *(kłaniając się)*.

Najniższy.

Zdzisław.

Ale, ale, proszę dać papiery,
Trzeba je zaraz zniszczyć, by śladu nie było,
Co się tu Jejmość pannie przykrego trafiło.

Panna Marta *(do Zdzisława)*.

Nadto, nadto rozumu, a powiem nawiasem,
Że dwie ostateczności tykają się czasem,
Rozumiesz rybeńko? co? Żarty, czy nie żarty,
Alfred już nie odstąpi Śmigalińskiej Marty.
Papiery są, i chowam dla lepszego śladu
Naszego tu spotkania i cnego układu.
Co?

Zdzisław *(do Alfreda)*.

Zostawmy papiery.

Alfred *(do Zdzisława)*.

To wszystko rozgłosi.

Zdzisław.

Może trochę pieniędzy łatwiej je wyprosi.

Alfred *(do Marty)*.

Gotów jestem nagrodzić, pewną, znaczną kwotą.

Panna Marta.

Ach, takiego małżonka dostaneż za złoto?

Alfred.

Ja, małżonkiem Waćpanny? utopię się raczej.

Panna Marta.

To i ja z tobą, rybko.

Zdzisław *(do Alfreda).*

Nie drażń, bo inaczej

Całe miasto się dowie o tej śmiesznej sprawie,

A papiery jednakże zostaną w zastawie;

Owszem, jak teraz zważam, pochlebiać należy,

Niech się cieszy nadzieją, niech miłości wierzy:

Powiedz, że do niej przyjdiesz, spytaj, gdzie mieszkanie;

Czasu, czasu nam trzeba, by zacząć działanie.

Alfred.

A, to mnie diabeł takim nabawił kłopotem!

Żenić się nie ożenię, ale...

Zdzisław.

Potém o tém.

Alfred *(do Marty).*

Nie jest pora ni miejsce, o tém dłużej prawić,

Przyjdę więc wkrótce do niej; lecz gdzież się mam
stawić?

Panna Marta.

Jeszcze nie mam mieszkania, dopierom wysiadła,

I że nie trzeba będzie, tak jak gdybym zgadła:

Odstąpisz mi izdebki, tak będziem przy sobie.

Co?

Zdzisław *(na stronie).*

Boże! cierpliwości!

Alfred *(do Zdzisława).*

Cóż z nią teraz zrobić?

Panna Marta.

Może mieszkasz w gospodzie? co? to lepiej będzie,

Bo niedobrych języków zawsze pełno wszędzie!

A w gospodzie ujdzie. Co?

(do Zdzisława) Teraz z swojej łaski,

Czybyś Pan nie mógł mojej odszukać kolaski:

Stoi, gdzie... ten dom... ten staw... ten ładny pagórek.

Wiesz?... Wsiądźże do niej, tylko nie poduś wiewiórek,

I przyjedź do Alfreda. Co?

Zdzisław.

Dobrze, przyjadę.

Alfred *(z przest్రachem)*.

Ja tu sam nie zostanę!

Panna Marta.

Więc dam inną radę:

Idźmy wszyscy troje. Co?

Zdzisław *(na stronę biorąc Alfreda)*.

Ja pójdę wyprawić

Kolaskę za rogatki, ty myśl się wybawić;

Tak, nim Martusia znajdzie kolaskę i ciebie,

My musimy poradzić w tej przykłej potrzebie.

Panna Marta.

Wprawdzie miejsce na troje, trochę ciasne będzie,

Da coże robić! jeden przy drugim usiedzie,

A ja choć, przeprosiwszy, na kolanach sięde.

Alfred.

O dla Boga! nie... wolę... w domu czekać będę.

Panna Marta *(do Zdzisława)*.

Da Waćpan już trafisz! co? Tylko zawsze w prawo,

W prawo, a potem prosto... skoczże, skocz, a żwawo!

Abyś gdzie nie przeslepił, nie pożałuj wzroku:

Kolaska popielata, landszafty na boku,

Spód żółto malowany, jedno koło białe,

Koń dropiaty, klacz kara i źrebiątko małe,

Dziewka zowie się Magda a furman Kasperek...

Patrzajżeż, z tyłu tłómk, na przodzie kuferek,

Na wierzchu sroka w klatce, słyhać ją zdaleka...
 Da poznasz i po pieskach: Filuś cienko szczeka,
 A chrapliwie Finetka; co? Nie traćżeż czasu
 I choćby jak najdalej, wracaj bez popasu.

Zdzisław.

Wszystko podług rozkazu najdokładniej zrobię.

Panna Marta.

Idźżeż, idź!

Zdzisław (*biorąc na stronę Alfreda*).

Ty, Alfredzie, myśl dobrze o sobie;
 Jak się trafi sposobność, nie masz czego czekać,
 Zwiń się zręcznie i drapnij... ale masz uciekać,
 Uciekajże potężnie, bo to nie są żarty:
 Każda, chociażby jeszcze i starsza od Marty,
 Pędzi jak strzała z łuku za mężem w pogoni,
 A gdy cię raz dopadnie, nic cię nie obroni.

(*odchodzi*)

S C E N A VI.

Alfred, Panna Marta.

Panna Marta.

Przecieśmy się pozbyli natrętnego świadka.
 Siadźżeż moja rybeńko, rybenieczko rzadka.
 Klejnocie mojej duszy, da usiadźżeż, proszę;
 Będziem słodką rozmową płodzili rokosze.
 Co? Ach, miło powtarzać, choćby i sto razy:
Kochasz mnie? Da, cię kocham! O, lube wyraził...
 Lecz czemuż się ode mnie odwracasz, okrutny?
 Zasmucasz moje serce, kiedyś taki smutny.

(*z westchnieniem*)

Charakteru więc twego opis zbyt prawdziwy!

Alfred.

Fałszywy, Mościa Panno, wierzaj mi, fałszywy.
Oprócz żem smutny, wszystko inaczej się dzieje.
Jeśli więc twego szczęścia opierasz nadzieję
Na tych przymiotach duszy, któreś tam postrzegła,
Wcaleś w przeciwną stronę od celu odbiegła.
Każdy zawsze na siebie łaskawiej spoziera
I malując swój obraz, dobrych farb dobiera:
Wady przesuwa ciemną, jasną znaczy cnoty,
I nawet same błędy przekształca w przymioty.
Takto złość w dowcip, głupstwo w łagodność prze-
mienia,
Podły egoizm w wielkość godną podziwienia,
Popędliwość w odwagę; w gorliwość namiętność;
Próżność jest żądzą sławy, śmiałością natrętność;
Chytność rozsądku, stałość ma miejsce uporu,
A rozwiąłość się stroi w wesołość humoru...
Słowem, rozum obrazu pierwszy zarys robi,
Lecz miłość własna później kolorem go zdobi.
Tak się też postąpiło malując mą duszę,
Wstydzę się bardzo, wstydzę; ale wyznać muszę.

Panna Marta.

Hm! i w czémżeż ten obraz tak bardzo fałszywy?

Alfred.

We wszystkim.

Panna Marta.

Naprzykład? Co?

Alfred.

Jestem popędliwy:

Czasem mnie lada fraszka w taki gniew wprowadzi,
Że każdy mi jest przykrym, każdy mi zawadzi;
Na każdego się rzucam, nic nie mam na względzie,
Winnych, niewinnych gromię w szalonym zapędzie

I w tym okropnym stanie niewstrzymanej złości,
Gotówbym... nawet żonie... nadwężyć kości.

Panna Marta.

Da, zmiłuj się!... kto tłucze, ten bywa tłuczony;
Wiem więc, że nigdy takim nie będziesz dla żony.
Że się czasem małżeństwo poskubie, podrapie,
No, to coże to szkodzi? kto złapie, ten złapie;
I cicho, i sza! zgoda! lecz naruszać kości!
Czyś sfiksował? Nie, nie, nie, nie masz tyle złości.

Alfred *(po krótkim milczeniu)*.

Mam także nałóg brzydki i z tym się nie kryję:
Lubię pić i czasami aż nad miarę piję.

Panna Marta.

Likworek, co? likworek? Ach, rzecz wysmienita!

Alfred *(na stronie)*.

Wybornie! do wszystkiego! To miła kobieta!

(po krótkim myśleniu)

Ale co jest najgorsza, czém pewnie się zgubię:
Karty, jak własne życie, w dzień i w nocy lubię.
Pół majątku już wzięła ta namiętność dzika.

Panna Marta.

Co *Halbecwelwe*, czy Ówik? O, ja lubię Ówika;
Lecz z musem czy bez musu, jakże tu grywacie?
Co?

Alfred *(na stronie)*.

A, cóż u tej baby wszystko na warsztacie!

(z niecierpliwością do Marty)

Nareszcie z moich chorób tysiączne kłopoty:

Mam podagrę, chiragrę, spazmy i suchoty.

Panna Marta.

Ach, więc nam wraz obojgu leczyć się potrzeba,
Bo i mnie słabościami obarczyły nieba:
Cierpię mocny romatyzm w ręku, w nodze, boku,
Mam kaszel, zawrót głowy i bielmo na oku.

Alfred *(na stronie).*

Niechże cię лихо porwie!

Panna Marta.

Ach, takto na świecie!...

Da czekajżeż rybeńko! sam nie pójdziesz przecie?

(odchodzą)

S C E N A VII.

Elwira, Zdzisław

(wychodzą z przeciwnej strony, w którą Alfred odszedł i patrzą śmiejąc się za odchodzącymi).

Zdzisław.

Jednakże Alfred...

Elwira.

Niema do litości prawa.

Niech trochę cierpi, teraz najgorsza przeprawa.

Myśli, że jej ucieknie; o, bardzo się myli:

Zobaczym ich tu razem po niedługiej chwili.

Zdzisław.

Prawdziwie, pięknym ustom trudno nie dać wiary;

Lecz jak wierzyć, że ten kwef, plaster, okulary,

Kryją, kogo? Julią; że wdzięki, powaby,

Mogły się tak zakopać w bezecność tej baby,

I że ten głos ściśniętym wychodzący nosem,

Tak przykry, ostry, jest...

Elwira.

Jest mojej siostry głosem.

Tak, nie inaczej.

Zdzisław.

Wprawdzie trochę się i wstydzę,

Lecz i to mógłbym zgadnąć, że Elwirę widzę,

Gdym wiedział, że się miała zatrzymać w Berlinie.

Elwira.

Właśnie wczoraj wróciła i w tejsze godzinie,
Widząc miłość Julii, plan spisku podaje,
Który będąc poprawą, nagrodą się staje.
Musiałam wprawdzie zwalczyć te nieznośne względy,
Co pęd duszy hamując, lepiej kryją błędy,
Te wieczne: *to nie ujdzie! to rzecz niewidziana!*
Cóż będzie? cóż powiedzą? lecz ja przekonana,
Że przy czystém sumieniu gorsza chwila smutku,
Niż tysiąc: *co powiedzą*, przywiodłam do skutku....

Zdzisław.

Zamiar, z którego nigdy nie wypłyną żale.
I jak poznasz Alfreda....

Elwira.

Znam go doskonale,
Nie tylko z pochlebnego Julii obrazu,
Lecz taki się charakter poznaje do razu,
Jak kłębek, zaczep koniec a rozwiniesz cały.
Alfred ma wszystkie wady, co się duszą stały
Tych, co chcąc użyć życia w każdej jego chwili,
Nie dla trosek, lecz uciech, świat sobie sprzykrzyli.
Syty niby już życia, przyszłością się trudzi,
Gardzi ludźmi a tkliwy na mniemanie ludzi,
Bojąc się zbłądzić czuciem, czucia się wyrzeka,
W urojone granice przed sobą ucieka,
Obojętny z układu, szydzi, gdy się lęka,
Z wszelkiej władzy urąga, a przed każdą kłęka.
Tak, zawsze z samym sobą w nieustannym sporze
I znieść jarzma nie zdoła i zrzucić nie może.

Zdzisław.

Z niektórych względów obraz rzetelny, niestety!
Lecz z drugiej strony, Alfred posiada zalety,
Które....

Elwira.

Pst! Otóż oni. Oddalić się wolę;
Waćpan, Panie Zdzisławie, pamiętaj na rolę.
*(odchodzi z panną Martą razem, zatrzymawszy się nieco
w głębi)*

S C E N A VIII.

Alfred, Zdzisław.**Alfred**

(wyrwawszy się Marcie w pół ulicy, zmordowany).

Ach, Zdzisławie, Zdzisławie! tego już za wiele,
Dziś jeszcze albo sobie, albo jej w łeb strzelę.

Zdzisław.

Ale dla czegoż znowu rozpaczać tak bardzo?
Przykro, pewnie; lecz ludzie, co tak jak ty gardzą....

Alfred.

Żenić się, nie ożenię; nie to mnie zastrasza,
Lecz kłopot, śmieszność ściagnę.... wieść się już roz-
głasza.

Zdzisław.

Ha! wcześniej, później, trzeba szaleństwa opłacić.

Alfred.

I owszem.... wszakżem mówił, chcę zapis utracić.
Lecz ta mara piekielna, krwawa moja plaga,
Ręki mojej jedynie gwałtem się domaga.
Powiada, że sąd tylko rozłączyć nas może;
Pozywajże się teraz! A jeśli położę
Nagłym odjazdem koniec tej przekłętej sprawie,
Jeśli wszystko bez względu losowi zostawię,
Zatém nie uczyniwszy wyboru w tej dobie,
Nie zatrzymam i reszty majątku przy sobie.

Zdzisław.

Ha! w samej rzeczy przykro, jest na co narzekać,
Ale dobrze zrobiłeś, żeś nie chciał uciekać.

Alfred.

Nie było sposobności; szukałem oczyma
Czy jakiej gdzie uliczki lub zakątku niema,
Którędyby najprędzej ujść można pogoni,
Lecz nie mogłem mej ręki wydobyć z jej dłoni;
A gdym chciał trochę silniej od siebie oddalić,
Poczęła tak się gniewać, tak piskliwie żalić,
Że bojąc się wśród ludzi wznawiać takie wrzaski,
Szedłem rad nie rad szukać nieszczęsnej kolaski.

Zdzisław *(śmiejąc się).*

Zasłyszala więc pewnie nasz układ w tej mierze?

Alfred.

Pewnie. Wystawże sobie, jaki mnie strach bierze,
Gdy widzę, że mnie ciągnie przez sam środek miasta:
Im dalej, tém okropniej moja hańba wzrasta;
Lecz ona nic nie pyta, mimo ścieżki broczy,
Wrzeszczy, staje, rozprawia, ściga na nas oczy,
A ja teraz z nią razem celem pośmiewiska,
Zakrywam się, krew ledwie z twarzy mi nie pryska,
I modłę się gorąco, by ziemia prysnęła,
I mnie bez tej poczwary w głębi pochłoneła.
W końcu kilku znajomych postrzegam zdaleka....
Zimny pot mnie oblewa, wiem już co mnie czeka,
I tak nagłą uczuwam i hańbę i trwogę,
Że zbłądły i bez tchnienia postąpić nie mogę.
Wtedy spojrzawszy na mnie przewodniczka sroga,
Zwraca się, milczy, pędzi gdzie najkrótsza droga,
I nimem mógł zmiarkować, już byłem w ogrodzie.

(po krótkim milczeniu)

Cóż teraz będziemy robić?

Zdzisław.

Myśleć o rozwodzie.

Alfred *(śmiejąc się)*.

Alboż mam żonę?

Zdzisław.

Ale żenić się wypada.

Alfred.

Żenić? Całuję nóżki! A to piękna rada!

Zdzisław.

Wierz mi, Alfredzie, z tobą wybiegów nie robię,
Oryginalność w ludziach śmieszna sama w sobie;
Ale ten jeszcze więcej śmiech szyderski wzbudza,
Co ciągle za nią goniąc próżno się utrudza;
Co zawsze ogłaszając, że tam czegoś dopnie,
Miast na wyższe, na niższe przenosi się stopnie,
A ci, którzy myśleli, coś rzadkiego widzieć,
Muszą się tylko w końcu swej uwagi wstydić.
Wierz mi, ta wśród hałasu bezowocna praca,
Jest zawsze w oczach świata koziołkiem pajaca.

Alfred.

Wesołyś jak uważam, pełen wyobraźni:
Nie tegom się spodziewał po twojej przyjaźni.
Zatém, mam się z nią żenić? *(śmieje się z przymusem)*

Zdzisław.

Niech cię to nie gniewa,
Lecz jak ja, tak i każdy tego się spodziewa.
Pan Alfred, każdy powie, czyniąc te układy,
Mógł wszystkie w swych życzeniach przewidzieć za-
wady,
Zatém, ślub z panną Martą.... lub wiara złamana.
Bo jakim bądź sposobem, kiedykolwiek dana,
Świątą zostać powinna każda obietnica.

Alfred.

Miedzy radą a dziełem wielka jest różnica.

Lecz to zdanie tak nowe, pan mi pewnie powie,
Cóż za łasce przypisać?

Zdzisław.

Memu rozsądkowi.

Alfred.

Mieć rozsądek dla siebie, jest już bardzo wiele.

S C E N A IX.

Alfred, Zdzisław, Panna Marta, (później) Elwira.

Panna Marta.

A coże to, kłótnia? co? zaraz was rozdzielę,
Chodźżeż do domu.

*(bierze pod rękę Alfreda i ciągnie ku wychodowi, gdzie ich
Elwira spotyka)*

Alfred

(nie uważając idzie z Martą, zajęty Zdzisławem).

Łatwo pan przemieniasz zdania.

Panna Marta.

Da, już dziesiąta biwszy a ja bez śniadania.

Elwira.

A, winszuję! jak widzę, wszystko już skończono:
Jejmość panna zapewnie jego narzeczoną?

Panna Marta.

Da jestem, dobry Boże! choć się człowiek wzbrania,
Jednak go. w końcu zmiękcza usilne błaganie;
Nie mogłam dłużej patrzeć na miłośną mękę,
Rumieniec skrył jagody, i oddałam rękę.

Elwira.

Mogę z panem Alfredem pomówić dwa słowa?

Panna Marta.

O, na wszystkim, panienko, zezwolić gotowa.

Nie trzeba być zazdrośną, co? *(do Alfreda)*

Prawda kochanie?

Miedzy nami to czucie nigdy nie powstanie.

Ja z tym Panem tymczasem... lecz jak ty beze mnie?...

Zdzisław *(podając rękę Marcie).*

Fraszki... wszak wiem gdzie mieszka... kryłby się daremnie.

(odchodzi)

SCENA X.

Elwira, Alfred.

Elwira.

Julii tu przed sobą widzisz Waćpan siostrę.

Alfred.

Julii?

Elwira.

Tak, przebacz mi, wyrazy dość ostre...

Alfred.

Julii? więc Elwirę?...

Elwira.

Tak jest.

Alfred.

W jakiejż porze

Poznaję cię, Elwiro! Cóż cię wracać może?

Ach, jakim przeznaczeniem, jakimże przypadkiem

Powtórnie moich szaleństw stajesz się dziś świadkiem?

Elwira.

Kiedy więc błąd poznajesz, przebaczysz wyrazy,

Mszczące się mojej siostry bolesnej urazy,

Przyznam się nawet szczerze, że ledwie przybyła,

Całą moję wymowę ku temum zwróciła,

Aby miłość Julii w obojętność zmienić,

Której dzielić nie możesz, bo nie umiesz cenić,

A gdy dziwném zdarzeniem, nadszedłszy tu rano,
Poznałam cię, Alfredzie, przez prośbę podaną,
Gdym o twoim zamiśle wiadomość powzięła,
Myślałam, że z nią łatwiej dokonam już dzieła;
Ale próżne mniemanie i próżna wymowa:
Julia mnie nie słucha, giną moje słowa,
I nie dość jeszcze na tém... prośbami mnie skłania,
Bym wróciła do ciebie, mimo mego zdania,
I jej rękę z majątkiem przyniosła ci w darze,
Jeżeli ci los w twoim nie sprzyjał zamiarze.

Alfred.

Julia cię przysyła? ona to zrobiła?

Elwira.

Tak, ona to zrobiła, ona mnie przysyła.

Alfred.

Julia, której miłość zawsze w jednym stanie,
Stwierdzała codziennie we mnie to mylne mniemanie,
Że ni władza bojaźni, ni popęd nadziei,
Nic jej wyrwać nie zdoła z zwyczajnej kolei;
Że mając tylko w duszy sąd świata na względzie,
Każdą swą czynność ściśle poddawać mu będzie,
I że u niej, dać rękę błaganą w pokorze,
Jest wszystkiem, czego miłość odważyć się może?
I ona teraz dla mnie, łamiąc wszystkie względy,
Niepomna swej urazy, przebacząc błędy,
Pierwsza miłość oświadcza, sama rękę daje?
Ach, teraz los dopiero srogi mi się staje!
Teraz widzę nieszczęście w niezbędnym rozdziele,
Teraz dopiero czuję, jak straciłem wiele!

Elwira.

Straciłeś? albo myślisz...

Alfred.

Tę pojąć za żonę.

O, nie! Ale spełniwszy układy zrobione,
Będę...jestem już wolny...ale bez majątku...
Mało mi się zostanie...a chociaż z początku
Julia mym uczuciom prawdziwym uwierzy,
To później, gdy rozważy moją czynność zmierzy,
Może innym powodom...

Elwira.

Porzuć wczesną trwogę;

Miłości jej...

Alfred.

Miłości jej wyrzec się mogę,
Ale szacunku nigdy...poddam się losowi,
A co cierpię...gdy kocha...niech jej serce powie.

Elwira.

Alfredzie, twoje słowa dojdą niezawodnie;
Zbłądziłeś wprowadzić, lecz błąd naprawiłeś godnie,
I jeśli me życzenia zostaną spełnione,
Znajdziesz w małej odmianie, i szczęście i żonę.

(odchodzi)

S C E N A XI.**Alfred.**

Teraz dopiero szaleństw obfity plon zbieram:
Szczęściu całego życia gwałtem się wydzieram.
Nie dość, żem nieszczęśliwy, nie dość, żem szalony,
Złamię słowo honoru i będę wzgardzony.

(rzuca się na krzesło i opiera się o stół)

SCENA XII.

Alfred, Panna Marta.**Panna Marta.**

Coże tu na rozmowach minie doba cała?

Alfred *(nie widząc jej).*

Ach Julio, Julio! zemszczonaś została!

Panna Marta*(siada koło Alfreda, który tylem obrócony, i mówi, tracąc akcent nieznacznie, swoim głosem).*

Alfredzie, czemuż znowu ten smutek pośepny?

Nie mogę nawet myśleć, abyś był występny.

Oko twoje zaświadcza spokojność sumienia,

Odsłoń mi twoję duszę, powierz mi strapienia:

Już moim obowiązkiem twoje troski słodzić.

Powiedz... poniósłżeś straty?... Te można nagrodzić,

A nie można, to w czasie poszukaj osłody.

Możesz sobie świat sprzykrzył? Alfredzie, tak młody!

Jeżeli masz przykrości, masz także nadzieję,

Wszak dla ciebie kwiat szczęścia dopiero się sieje.

(po krótkim myśleniu)

Możesz miłości ufał, miłość cię zdradziła?

Może w zbytnim szafunku osłabła jej siła?

Albo każdy twój zapał, zowiąc tém nazwiskiem,

Czystyś jej urok zrobił twych zmysłów igrzyskiem?

Może rozsądek wszelkie uczucie zwycięża,

Jako niegodne duszy niezgiętego męża?

Wierz mi, w nagrodę cierpień niebo miłość dało,

Nie szafujmy nią nadto, ani nadto mało,

Niegodna nas upodla, uszlachetnia prawa;

Ona, jak anioł cnoty w świecie przy nas stawa,

I powolnym jej wodzy, wspartym na jej łonie,

Zapewnia szczęście w życiu, łzę czystą po zgonie.

Ach, czyż do twego serca zniszczyłeś już drogę?
Nie będziesz mnie kochał?

Alfred

(który z razu nie słuchał, potem uważał, na końcu zapomniawszy kto mówi i z przyjaznym uczuciem się obraca, postrzegłszy jej brzydkość, mówi, znowu się odwracając).

Dalibóg nie mogę.

Panna Marta

(mówi akcentem litewskim, zdejmując kapelusz i t. d.).

Dobrze, niewdzięczny, dobrze, łamiesz twoje słowo;

Zechcesz, lecz po niewczasie dać mi go na nowo...

Nie potrzebuję serca, które tak uparte...

Zapis, nie zapis, zdzieram. *(drze i rzuca papiery)*

Masz, poznajżeż Martę!

Alfred *(obraca się).*

Julia!... Ty?.. Julia?

Julia *(z akcentem).*

Coże cię to dziwi?

Alfred.

Ty... ty... byłaś... jesteś... tą?...

SCENA XIII.

Alfred, Julia, Elwira, Zdzisław.

Elwira.

Co cię uszczęśliwi.

Julia *(pół żartem).*

Nie, wzgardził moją ręką.

Alfred.

Tyle jestem winny,

Że sam nie śmiem, lecz za mnie, niech błaga kto inny:

Elwiro i Zdzisławie...

Julia.

Nie, nie.

Elwira.

No, sza! zgoda!

Alfred klęknie, Julia... *(bierze za rękę Julią)*

Julia *(nie wzbraniając się).*

Nie, nie...

Elwira.

Rękę poda.

(łącząc ręce)

Tak, otóż macie koniec.

Julia.

Ale mnie się zdaje,

Że ja w tym razie nadto powolną zostaję.

Zdzisław.

Prawda, nie trzeba było jeszcze dawać ręki;
Panicz wart nie za jedno trochę dłuższej męki.

Alfred.

Nie, na uszczęśliwienie nigdy nie jest wcześnie,
Zwłaszcza tych, którym chwile snują się boleśnie.

Zdzisław *(do Alfreda).*

Teraz odmiany zdania...

Alfred *(ściskając mu rękę).*

Kochany Zdzisławie!

Objaśnienia zaś wszystkie na potem zostawię.

Julia.

Wszak wszystko łatwo zgadnąć: ogrodnik tą drogą,
Niby dla jej naprawy, nie puszczał nikogo.

Elwira.

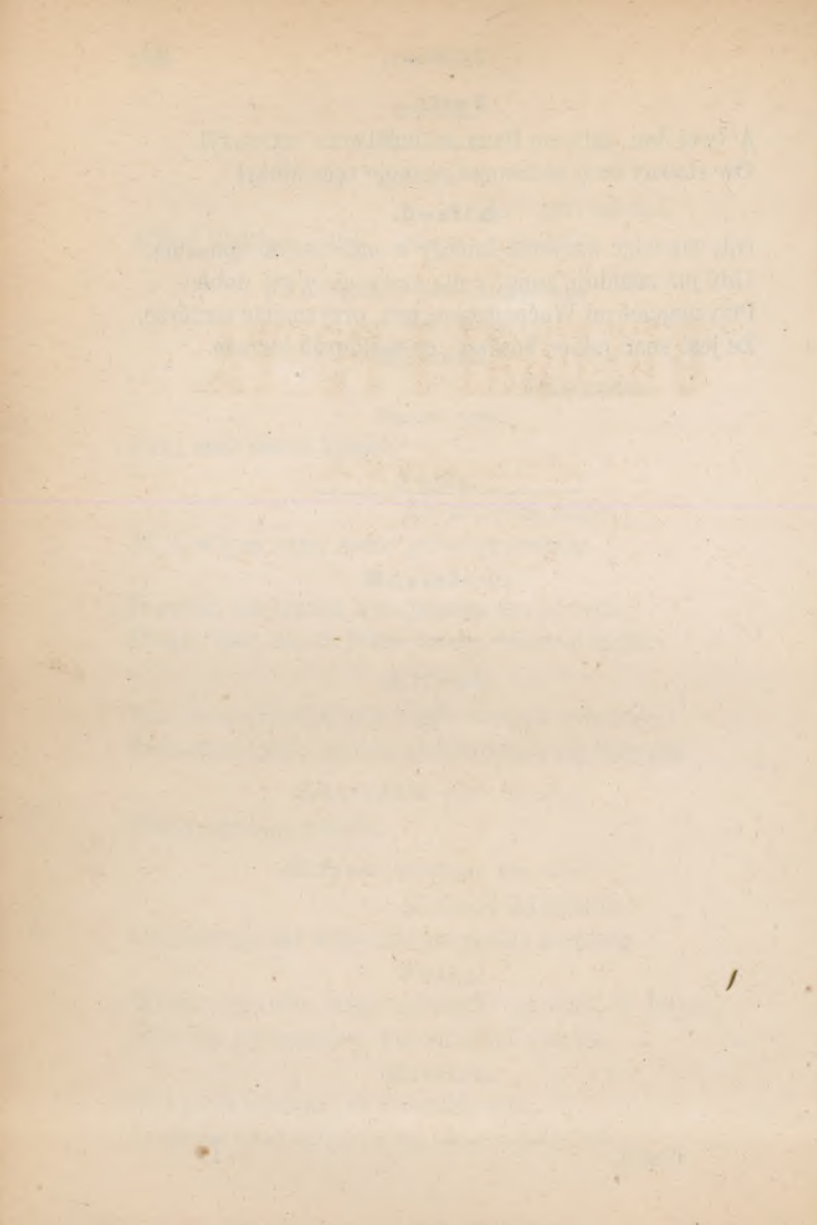
Ja i moja służąca, co Pawełka woli,
Ułatwiałyśmy tylko wstęp główniejszej roli.

Julia.

A twój Jan, gdy się Pana szaleństwem zatrwożył,
Ów sławny twój testament w moje ręce złożył.

Alfred.

Gdy się więc wszystko kończy w najlepszym sposobie,
Gdy już znajduję żonę, z nią szczęście w tej dobie,
Przyznajcież mi Waćpaństwo, ach, przyznajcie szczerze,
Że jest snąć jakieś bóstwo, co szalonych strzeże.



ODŁUDKI I POETA.

KOMEDYA

W JEDNYM AKCIE, W IERSZEM.

Pająk szuka jadu, ale pszczoła miodu.

And. Max. Fredro.

O S O B Y.

ASTOLF.

CZESŁAW.

KAPKA, oberżysta.

ZUZIA, jego córka.

EDWIN.

Scena w oberży małego miasteczka.

ODLUCKI I POETA.

S C E N A I.

(sala; drzwi numerowane; stoliki po obu stronach)

Kapka, Zuzia.

(Zuzia przy stoliku czyta z wielką uwagą rękopism)

Kapka *(za drzwiami).*

Ka wa pod numer czwarty! na salę herbata!

Jest tam kto! aj, śmietanka! aj! tamże do kata!

Jest tam kto! Zuziu! Zuziu!

(wbiega trzepiąc palcami, postrzega czytającą, skrada się i wyrywa poszyt)

To czas na czytanie?

Zuzia *(zrywając się).*

Ja zaraz.... ja bo ojciec.... *(chce odejść)*

Kapka *(groźnie).*

Zuzia tu zostanie!

Dopókiż gadać będę i jedno powtarzać,

Aby wszędzie zaglądnąć, na wszystko uważać?

Śmietanka już w popiele, ojciec w palce dmucha,

A moja panna Zuzia nie patrzy, nie słucha.

Córko! czy ty chcesz zniszczyć mego domu sławę?

Panowie od godziny czekają na kawę,

A kawa jeszcze w puszcze, może nie zmielona.

(załamując ręce)

Córko! na mojęz hańbę wyszłaś z mego łona !....

Jeden już ostrém słowem dał się słyszeć przy mnie,
Drugi, gdym zaczął mówić o dzisiejszém zimnie,
Najgrzeczniej ani mruknął, ale drzwi otworzył;
A lubcia czyta.... i co?... dłońbym w ogień włożył,
Że.... *(patrzy w poszyt, Zuzia chce odebrać)*

Zuzia.

Już kawa....

Kapka.

Że wiersze.

Zuzia *(chcąc dostać).*

Proszę.

Kapka *(odsuwając się).*

I ja proszę.

Wiersze! I ja przez wiersze taki wstyd ponoszę?

(wyrzuca przez okno)

Precz!

Zuzia.

Cóż pan Edwin powie?

Kapka.

Bardzo o to stoję.

Niech się rozgniewa.... owszem.... I lekcye twoje

Już się dziś skończyć muszą....

Zuzia.

Już?

Kapka.

Nie dość pół roku?

Zuzia.

Czemu dłużej nie można?

Kapka.

Bo mam rozum w oku!

Zuzia.

Ależ ja mało umiem.

Kapka.

Lepiej umieć mało,

Jak się przeuczyć.

Zuzia.

Jeszcze choć rokby się zdało...

Kapka.

To, to, to, proszę kogo! rok!... czemu nie dwa, trzy?
Lecz moje oko widzi, gdzie Pan Edwin patrzy,
Gdzie i Panna Zuzanna... widzi doskonale,
Nie w książkę, szkoda mówić, o, nie w książkę wcale;
Wiem, co znaczy, gdy jedno przy drugiem usiedzie,
Lecz jakem Józef Kapka, nic z tego nie będzie.

Zuzia *(placząc i całując go w rękę).*

Mój ojczel!

Kapka.

Ba, ba, ba, ba, o łzy tu nie idzie,
Wtedyby szło dopióro, jakbyś była w biędzie.
Twój Edwin jest poetą... pięknie wiersze składa;
Ale jak każdy drugi, i poeta jada,
I żona przy miłości sławą żyć nie zdoła,
Wkrótce i dziecko także, papuniu, zawoła,
A on choć dniem i nocą popracuje szczerze,
Da wam odę na obiad, bajkę na wieczere;
Ale oda nie rosół, bajka nie pieczenia,
A zatém nic nie będzie z waszego marzenia.

Zuzia *(placząc).*

Niedawno był i dobry, i mądry, i grzeczny,
Ale dziś, dziś na wszystko pada wyrok sprzeczny.

Kapka.

Dawniej dość go lubilem, nikt tego nie przeczy,
Pókim myślał, że z niego będzie co do rzeczy;
Ale, kiedy Pan Edwin, jak szalał szaleje,
Darmo-że mam tę samą zachować nadzieję.
Został pisarzem miejskim, urząd nie pętelka,
Ztąd godność i estyma, ztąd i korzyść wszelka:

Kiedy wyjdzie na rynek, każdy czapkę chwyta,
 Mówi mu, *mój Jegomość*, i uprzejmie wita.
 Płaca także uczciwa co kwartał do worka,
 Nie bez tego by nie szła czasem i sikorka;
 Mógłby już przyjść do czegoś... ale nie zatrzyma:
 Szastum prastum tu, ówdzie... nigdy grosza niema.
 I Pan Burmistrz się skarży, już to nieraz słyszę,
 Że zamiast protokołów, wiersze tylko pisze,
 I tak mu dom przekreślił, o, hańbo! o, zgrozo!
 Że Pani Burmistrzowa nie chce gadać prozą;
 I dzieci, mamki, czeladź, co chodzi, co gada,
 Ani zapędz do pierza, bo poezye składa.
 Nawet stary pacholek, próżniak nad próżniaki,
 Zrobił, czy diabeł nadał, cztery Krakowiaki.

Zuzia.

To wszystko tylko bajki, wierz ojcie kochany.

Kapka.

O nie... tu u mnie takiej nie będzie odmiany;
 Więc abym wcześniej wszelkiej zapobiegł zdrożności,
 Niech sobie pan poeta w innych domach gości,
 Niech już nieba co gromią, miłości co dręczą,
 Jęczą, męczą, kawęczą, w uszach mi nie brzęczą.

SCENA II.

Kapka, Zuzia, Astolf.

Astolf.

Czyś Waćpan dziś oszalał!

Kapka (*kłaniając się*).

To jest ostre słowo.

Astolf.

Kawa! (*Zuzia wybiega*)

Kapka *(chwytając się za głowę).*

Kawa, ach kawa, biednaż moja głowo!

(obracając się gdzie Zuzia stała)

A biegajże mi żwawo... A, łaskawy Boże,
Jak która zacznie gadać, to skończyć nie może.

Zaraz wyborna kawka... zaraz... zaraz będzie.

(ścierając stół, na stronie)

Wszystko to ten poeta!

(do Astolfa)

Niechże pan usiedzie.

Astolf *(wyciągając się na krześle).*

Uprzejmość zawsze miła, choćby i o głodzie,

Przecie już w polskich karczmach grzeczność teraz w
modzie.

Kapka.

Karczmach?

Astolf.

Jakże zwać ten dom i brudny i długi,

Gdzie konie obok ludzi, gdzie jeden i drugi

Wchodzi, wjeżdża, wyjeżdża, zamyka, otwiera,

A jeden tylko mieszka i tych wszystkich zdziera.

Kapka.

To nader ostre słowo.

SCENA III.

Astolf, Kapka, Czesław.

Czesław *(siadając przy stoliku po lewej stronie).*

Herbaty!

Kapka.

Już daję.

(ku drzwiom)

Herbaty!

(ścierając stół, na stronie)

To poeta tak mi w gardle staje;

Poczekaj!

Astolf.

Gospodarzu, wszakże ta osada,
Jak mi się zdaje, tytuł miasteczka posiada?

Kapka.

Która?

Astolf.

Ta, gdzie jesteśmy.

Kapka *(otwierając okno).*

To jest do widzenia.

Astolf.

Ha! cóż tu do widzenia? co? Jakie sklepienia
Podziemnych lochów, więzień! gdzie dla ciekawości
Dotąd jeszcze w łańcuchach trupiejszą kości?
Zabytki złotych wieków, tych wieków prostoty,
Za którymi utulić nie mogę tęsknoty!...
A może wieża, kolos, co chmury roztrąca,
Pomnik sławy jednego, ucisku tysiąca?
Pokażże, pokaż prędko.

Kapka.

Wprawdzie tak dalece...

Astolf.

Albo może tamten most, na wyschniętej rzece,
Co się trzęsie jak w febrze? za który się płaci?

Kapka.

Most podupadł, a płaca...

Astolf.

Dla dobra współbraci.

Kapka.

Pan Burmistrz ustanowił...

Astolf.

Wyrokiem uświęcił:
Niech podróżny zapłaci, że karku nie skreśli.
Lecz więcej z dawnych dziwów, czyż to miasto niema?
Cóż? jakie żebro tura, albo ząb olbrzyma;

Albo skałę, co diabeł upuścił z niemocy,
Jak kogut we wsi zapiał o samej północy?

Kapka.

Jest stary ratusz... *(odchrząknąwszy)*

Mówią, że gdy panowanie...

Astolf.

Gospodarzu, czy kawy w tém mieście dostanie?

Kapka.

Ach zaraz!

(na stronie) O poeto, niech cię piorun trzaśnie!

(ku drzwiom)

Hej kawy! kawy prędzej!... Otóż niosą właśnie.

(służący przynosi kawę i herbatę i stawia na stoliku)

(do Astolfa)

Arcy wyborna... mokka...

(do Czesława) Sam kwiat, arcy czysta...

Astolf.

Jak się Waćpan nazywasz, panie oberżysta?

Kapka.

Józef Kapka, do usług...

(na stronie) Cel-em pośmiewiska...

Astolf.

Hm! prawdziwém szlachectwem jest piękność nazwiska.

Kapka *(kłaniając się).*

Łatwiej czasem wznieść śmieszne, niż utrzymać piękne.

Astolf.

Jest więc i sentencya.

Kapka.

Zginę, umrę, pęknę...

O, przeklęty poeto!... Wszystko przewidziałem...

Poczekaj!

Czesław *(z flegmą).*

To rumianek, ja herbaty chciałem.

Kapka.

O dla Boga! rumianek!... to dla mojej żony...
O wiersze, wiersze! przez was jakżem dziś zhańbiony!
(wynosi tacę)

S C E N A IV.

Astolf, Czesław.**Astolf.**

Co temu tylko wiersze i poeta w głowie.

(po krótkim milczeniu)

Cóż tam, Panie Czesławie, jakże dzisiaj zdrowie?

Czesław.

Jak zawsze.

Astolf.

Spałeś długo.

Czesław.

Dość życia zostało.

Astolf.

Wiem... w śnie chcesz szukać szczęścia; ale go tam
mało:

Raczej resztę w nim stracisz. I z tego względu

Nie lubię chwili, często przyjemnego błędu:

Wznosić nieszczęśliwego z zwyczajnej kolei,

By mu pokazać szczęście lub powab nadziei,

By obudzić uspione jego serca bicie,

I znowu go wytrącić w oplakane życie,

Gdzie ledwie wytrwać może pod losu uciskiem,

To jest tylko szyderskiem natury igrzyskiem.

Czesław.

Ach, ulgą powiedz.

Astolf.

Ulgą, jakiej ten doznaje,
Komu płomień zwalniają, gdy na stosie staje.

Dusza, co wytrwać może, wytrwa tylko tyle;
 Ale odsuń marzenia, zostaw własnej sile!
 I gdy ciężar cierpienia nieść mamy po świecie,
 Nieśmyż go bez spoczynku, póki nas nie zgniecie.

(długie milczenie)

Wszakże razem i dalej pojedziem ze sobą?

Czesław.

Nie.

Astolf.

Dla czego?... A prawda, z weselszą osobą,
 Przyjemniej ci czas minie. Weź więc towarzysza,
 Który rozmową bawi i sobą rozśmiesza;
 Weź miejskiego trefnisia, co ten dar posiada,
 Co umie łatkę przypiąć, dwuznaczności gada,
 Z wszystkiego do wszystkiego jak motylek lata,
 Co kontent z siebie, ciebie i całego świata,
 I który na początku ostrej życia drogi,
 Skacze jak cap ofiarny, gdy mu złocą rogi.

Czesław.

Nie, Astolfie... nie szukam wesołości wcale,
 Owszem... wesołość razi... zwiększa moje żale;
 Lecz twój sposób myślenia, to ci powiem szczerze,
 Dwa razy nieznośniejszym dla mnie jest w tej mierze:
 Twojem czuciem nienawiść, nienawiść rokoszą,
 Każdemu twoje słowa co chwila ją głoszą,
 Ulgi nie szukasz, nie chcesz w innym mieć sposobie,
 Jak lejąc w cudze serce żółć co karmisz w sobie.
 Kto celem twych urągani, na cóż mieć na względzie?
 Niech wszyscy cierpią... wszystkich w jednym stawiasz
 rzędzie:

Ciebie i nędzny żebrak na drodze zatrzyma,
 Jeśli na swoje nędzę dość uczucia niema.

Zgasić jakąbądź wiarę, jeżeli w nim tleje,
 I wyrwać z jego łona ostatnią nadzieję,
 To staje ci się ulgą... to twój umysł budzi.
 Tak w twym smutku nie stronisz, ale ścigasza ludzi.

Astolf.

Czemuż mnie to wyrzucasz... Niech ci los zda sprawę,
 Dla czego moje serce tak gorzkie, tak krwawe.

I mnie w Arkadyi pierwszy dzień zabłysnął,

I mnie natura radość w życiu

Zaprzysięgła przy powiciu,

I mnie w Arkadyi pierwszy dzień zabłysnął,

Jednak lży tylko czas rączy wycisnął*).

Czesław.

Któż tego z boskim wieszczem powtórzyć nie może!

Komuż choć raz nie błysły piękne życia zorze,

Któż nie doznał nadziei, i któż jej nie tracił!

Ach, któż uśmiech przelotny łzami nie opłacał!...

I ja się w świat rzuciłem, jak w matki objęcie,

Na tyle szczęścia, zrazu słabem miał pojęcie,

Miłość, czynność, uczciwość, żebrząc podawałem,

Lecz mnie nie rozumiano. Czynnego z zapałem

Zimny przyjął rachunek... ufne go zdradzili...

Kochającego, w krótkiej zapomniano chwili...

Odparte wszelkie czucie w sercu tylko wrzało...

Wygorzało nareszcie... śladu nie zostało.

(spokojniej)

Sam więc bez towarzyszków idę w dalszą drogę,

Stronię ludzi, bo z nimi zgodzić się nie mogę,

Nie kocham, nie szacuję, lecz mnie nienawidzę.

Astolf.

Dla mnie nienawiść mało, ja się nimi brzydzę:

(* Schiller, *Resignation*.

Czy z własnej winy, czy też z natury układu,
 Co ma złości hyena, co padalec jadu,
 Złącz z fałszem, zemstą, myślą co wszystko docieka,
 I dodaj okrucieństwo, masz duszę człowieka.

SCENA V.

Astolf, Czesław, Kapka (*z herbata*).

Kapka.

To mi herbata! lepszej i sułtan nie pije....
 To zapach! to moc! Ledwiem doniósł, tak w nos bije.
 (*stawiając herbatę*)

Dodałem pół łyżeczki.... kto czeka nie traci....

(*do kosztującego*)

Prawda?

(*na stronie*)

Za pół łyżeczki poeta zapłaci.

(*do Czesława*)

Co za smak! prawda? zapach! angielska prawdziwa;
 Cieszy się nosek pański.... jęczyczek używa.

(*Czesław odwraca się od Kapki podpierając się na łokciu*)
 (*na stronie*)

Nikomum przez poetę dzisiaj nie dogodził.

Astolf.

Panie Kapko, czyś Waćpan poetą się rodził?

Kapka.

Jakto?

Astolf.

Czy piszesz wiersze?

Kapka.

Czy ja wiersze piszę?

Ja? Niech mnie Pan Bóg broni.

Astolf.

Czemuż zawsze słyszę,
Że poezyą wzywasz?

Kapka.

Ach, wzywam, niestety!
Bo w gardle stoją wiersze jednego poety.

Astolf.

Jakto?

Kapka.

Rok temu, jakaś pani, stara, chora,
Wdowa zkądśiś, jakiegoś, nie wiem, profesora,
Przybyła do nas z synem. Nikt tego nie przeczy,
Zrazu Edwin był chłopcem dobrym i do rzeczy,
Zarabiał jak mógł, pismem, rachunkiem, usługą,
A gdy lichy zarobek nie starczył na długo,
Chętnie, nad siły często, do pracy się stawiał,
By tylko swojej matce jaką ulgę sprawił;
Nareszcie sprzedał książki i sprzętów ostatki,
Na najnędzniejszy pogrzeb, ale pogrzeb matki.
Ta uczciwość ściągnęła wszystkich mieszczan oczy,
Každy dać mu zarobek był zaraz ochoczy;
A nasz pan Burmistrz, który na wszystko uważa,
Od razu go posunął na urząd pisarza.
I ja mu także dałem darmo dwa pokoje,
By tam czego nauczył Zuzię, córkę moję.
Ale Pan Edwin wkrótce, jak się odpaśł nieco,
Nuż do wierszy... a wiersze jakby z worka lecą:
Zagadki, bajki, ody, czart tam wie nazwiska!
Pisze a pisze, Panie, aż mu pióro pryska.

Nie dość, całe już miasto jego wiersze czyta,
 Zwłaszcza kobiety, każda jak marcypan chwyta.
 Żadna nie wie co kura, co jaja, kurczęta,
 Nie wie co mąka, krupy, a wiersze pamięta;
 A moja Panna Zuzia najbardziej bryknęła,
 Czytywać jego wiersze i lubić zaczęła.
 No, myślę sobie, wiersze, kto tam to uważa;
 Ba! aż tu dalej panna z wierszy do wierszarza.
 Hola Mospanie! nie ucz! diabli z tej nauki!
 Co mi z tego dobrego?

Astolf.

Z tej nauki, wnuki.

Kapka.

Do nóg upadam.

Astolf.

Nie chcesz?

Kapka.

Pan nadto wesoły.

Astolf.

Co, nie chcesz dać mu córki? dla czego?

Kapka.

Bo goły.

Astolf.

Cóż ci to może szkodzić?

Kapka.

A cóż więcej szkodzi?

Astolf.

Ale, kiedy córka chce, wszakto o nią chodzi.

Kapka.

Jakto, własnemu dziecku nie mam wskazać drogę?
Nie zapobiedz nieszczęściu, gdy przewidzieć mogę?
A cóż więc ku rodzicom miłość, wdzięczność wznieci?

Astolf.

Baśnie, stare powieści o wdzięczności dzieci.
Pókiś córce potrzebny, pótyś ojciec drogi,
Sprzeciwiś się w czémkolwiek: z ojca tyran srogi.
Zmusiłeś ją nareszcie i dobrze się stało:
To dobro, nienajlepsze, dla niej zawsze mało;
A cóż dopióro, przymus gdy zły obrót bierze:
Złorzeczenia rodzicom, to dziecka pacierze.
I jakąż z losu córki możesz mieć nadzieję?
Czego się troszczysz, po co głowa ci siwieje?...
A chceszli gwałtem jaką zniewolić usługą,
Daj majątek... a dawszy nie popasaj długo.
Wtedy dzwony, żałoby, oświadczą ci dzięki
I dostaniesz nagrobek z twego zięcia ręki.

Kapka.

Już niech tam będzie co chce, ja się nie odmienię...
Nareszcie i sumienie...

Astolf.

Co to jest sumienie?

Kapka (*cofając się*).

Co to jest?

Astolf.

Tak — co to jest.

Kapka.

No...kto ma zasady...

Astolf.

W dramach, prawda, widziałem okropne przykłady,
Jak zgryzota sumienia zbrodniarza karząca
Szarpie w nocach bezsennych i z łoża wytrąca —
Włos zjeżony — wzrok dziki — w pół nagi — bez
tchnienia.

I kiedy dobry aktor, dość robi wrażenia.
Lecz w świecie! ile razy widzieć ci się zdarzy,
Widzisz łotrów opasłych, rumianych zbrodniarzy,
Chrapią na miękkich łożach i z sumieniem razem,
Kołysani w śnie jeszcze swych zysków obrazem.

Kapka.

Dobrej nocy im życzę.

Astolf.

Nie dręcz się więc trwogą.
Wyдай córkę, niech idzie zwykłą teraz drogą;
Że ci najlepiej radzę, poznasz w rok dopiero.
Bo widzisz, kochają się, potem się pobierają,
Potem ona go zwiedzie, potem on porzuci,
Potem płacz, jęk, a potem do ciebie powróci.
(śmiejąc się wychodzi)

SCENA VI.

Kapka, Czesław *(dostaje książkę i czyta).*

Kapka.

To mi panicz do rady, niechże Pan Bóg broni!
Aż mi się w głowie kręci, aż mi w uszach dzwoni.

A to jakiś heretyk! a to bez czci, wiary!

A co za jeżyk!.. Czekaj, nie ujdiesz bez kary.

(siada przy stoliku, dobywa z pugilarasu rachunek i ołówek;

mruczając)

Stancya, światło, kawa, wino, sér, sałata...

Summa złotych dwanaście...zapłacisz dukata.

(chowając rachunek)

Wszystko zganił, obgadał, we wszystko się wścibił...

I ten...siedzi jak mruk...hm!...także mi uchybił.

(dostaje drugi rachunek)

Od niego...złotych dziewięć...dwanaście zapłaci;

Tak...niech kochają ludzi jakby własnych braci.

SCENA VII.

Kapka, Zuzia, Czesław

(czyta, tyłem do nich obrócony).

Kapka.

Panno Zuzanno!...bliżej...jeszcze...w górę głowa...

Jeszcze...uważać teraz wszystkie moje słowa:

Jestem ojcem Waćpanny...wiesz o tém Waćpanna?

Wiesz?

Zuzia.

Wiem.

Kapka.

Kocha cię Edwin?

(milczenie)

Odpowie Zuzanna?

Zuzia (*cicho*).

Kocha.

Kapka.

Kochasz ty jego?

Zuzia (*ciszej*).

Kocham.

Kapka.

Chce się żenić?

Zuzia.

Chce.

Kapka.

Ty, chcesz pójść za niego?

Zuzia.

Jeżeli mam cenić...

Kapka.

Chcesz czy nie?

Zuzia.

Chcę, chcę.

Kapka.

Szczerze?

Zuzia.

Całą duszą moją.

Kapka.

Gdy więc twoje nauki na tym stopniu stoją,

Gdy on kocha, ty kochasz, kochacie wzajemnie,
Gdy tylko pozwolenia czekacie ode mnie,
Jako ojciec troskliwy o swe własne plemie,
Ojciec dobry, powolny, a nie bity w ciemie,
Twoje dobro jedynie mający na względzie,
Daję rękę... że z tego... nic a nic nie będzie.

Zuzia.

Spodziewam się...

Kapka.

Zuzanna niech się nie spodziewa.
Izdebka darmo dana gdzie poeta śpiewa,
Na kapustę potrzebna. Niech mi się wynosi,
I po innych już strychach swoje wiersze głosi.

Zuzia.

Za cóż go tak wypędzać, i znieważać za co?
Toż on zasłużył od nas swoją szczerą pracą?
Jeżeli go nie kochać, wdzięczną mu być muszę,
On otworzył, ukształcił i wzniosł moję duszę;
Dla czegoż tobie, ojczy, niema być przyjemnie,
Widzieć ten postęp światła, tę odmianę we mnie.

Kapka.

Nadto, nadto jej rozum za tém światłem śpieszy;
Mędrzaś już od prababki, i to mnie nie cieszy.
Naco, poco tych nauk? jak Kapki Kapkami,
Żadna Kapczanka nauk nie brała wierszami.

Zuzia.

Ależ kochany ojczy, mylnie wnosisz sobie,
Że nad czytanie wierszy, nic więcej nie robię,
Przeciwnie, te czytywać niedawnom zaczęła.

Kapka.

Cóż więc? czego się uczysz? jakie umiesz dzieła?

Zuzia.

Uczę się historyi.

Kapka.

Na co to się zdało!

Wiedz co się z tobą dzieje, nie co gdzieś się działo.

Zuzia.

Także geografii.

Kapka.

Jeszcze czego, proszę!

Jaka na filozofa! I ja mylnie wnoszę?

Żeby choć jeden przedmiot, jeden nienaganny!

Zuzia.

Także obcych języków.

Kapka.

Dość jeden dla panny.

Rachować, czytać, pisać, to mądrość kobiety;

Summa summarum żoną nie będziesz poety.

Powiedz mu jak tu przyjdzie, jakie me rozkazy,

I powiedz, że jednego nie mawiam dwa razy.

SCENA VIII.

Zuzia, Czesław

(jak wprzódy).

Zuzia.

Skończyły się dni szczęścia, zaczęły niedoli,

Jak tamte szybko zbiegły, te pójda powoli.

Czemuż świat nowy moja rozpoznała dusza,
Kiedy stan mój w dawniejszym zostawać przymusza?
Na toż poznając miłość, najczystsza poznała,
Aby ją tracąc, boleść dwojaką się stała?

S C E N A IX.

Zuzia, Edwin, Czesław

(jak wprzód).

(Edwin mówi zawsze z czuściem, często z uniesieniem)

Edwin.

Wiadomość, droga Zuziu, obojgu nam miła....

Ale nie jesteś sama....

Zuzia

(ciszej, przy przeciwnej stronie Czesława).

Jakbym sama była:

Od godziny tak siedzi, nie słyszy, nie gada,
Chcąc nawet aby słuchał, prosić go wypada.

Edwin.

Czy głuchy?

Zuzia.

Nie.

Edwin.

Niemy?

Zuzia.

Nie.

Edwin.

Cóż?

Zuzia.

Nie wiem.

Edwin.

Choroba?

Zuzia.

To wiem tylko, że mi się całkiem nie podoba.
Dwóch, jeden jak i drugi, zły, groźny, ponury,
Zajechali tu wczoraj jak dwie czarne chmury,
A już ci grzmoty, hałas nieustanny w domu,
I na nas wszystko spada, co zagrozi komu.

Edwin.

Jakto?

Zuzia.

Znasz mego ojca, jak rozmawiać lubi,
Jak się chętnie dostatkiem swego domu chlubi,
Jak go boli i martwi, kiedy kto co zgani;
A ci jemu na przekór jak gdyby wybrani,
Jeden z nim mówić nie chce, drugi wciąż go łaje,
Albo drażni drwinkami, gdy nagan nie staje,
Tak, że się już mój ojciec nie posiada w złości
I ciebie tém obdarza, czém nie może gości.

Edwin.

Mnie?

Zuzia.

A ciebie, bo twoja sprawiła sielanka,
 Że kiedym ją czytała, wybiegła śmietanka;
 Że kiedy z sparzonemi wpadł ojciec palcami,
 Byłam zajęta.... i czém, niestety!... wierszami.
 Ztąd spadła wszystkich nieszczęść na wiersze przy-
 czyną,
 A z wierszy na nauki, z nauk na Edwina;
 Słowem przyrzekł, że mając me szczęście na wzglę-
 dzie,
 Z naszej czulej miłości nie a nic nie będzie.
 Mojej prośby nie słucha, z moich łez się śmieje,
 A ja widzę, że próżno mieć dalej nadzieję.

Edwin.

Ja tak myśleć nie mogę. Ach Zuziu kochana,
Nie tak skapo nadzieja sercom naszym dana.

Aby lada przeciwność mogła ją niweczyć.
Przykre nasze stosunki, trudno temu przeczyć;
Ale miłość prawdziwą, i czystą jak nieba,
Aby zniszczyć.... O, ileżto na to nie trzeba!
Węzeł duszę łączący nie tak łatwo skruszyć,
Wzdryga się ludzka władza siłą go naruszyć,
Przeznaczenie go nawet szanować się zdaje,
A każda mu sekunda świętości dodaje.
Jeśli więc czasem chmura słońce nam zasłoni,
Czekajmy, może wkrótce wietrzyk ją przegoni;
Jeśli nam przeciwności przygaszą nadzieje,
Czekajmy, może wkrótce znowu nam zatleje.

Zuzia.

Ty wzięłaś moje duszę, ja nie mam jej w sobie,
Myślę, gdy ciebie słucham, żyję, gdy przy tobie,
W tobie mój los obecny, moja przyszłość cała,
Ty nie tracisz nadziei, jam ją odzyskała.

Edwin.

Oto właśnie z stolicy listy odebrałem:
Sztukę moję już grano.... przyjęto z zapalem.
Imie autora, ojca zasługi wspomniało,
Którego wiele czczono, nagrodzono mało;
Kilka już osób ceniąc mój talent łaskawie,
Obiecało wyrobić, bym miał chleb przy sławie:
Urząd przy bibliotece nieznaczący wiele,
Ale który do wyższych drogę mi uściela.
Weź listy, pokaż ojcu, pokaż i gazety,
Wyrocznia teraz jedną biednego poety;
Trudno, by dla tych wieści zmienił swoje zdanie,
Ale w rozłączeniu nas, mniej skorym się stanie.

Zuzia.

O, ręczę, że jak tylko o wszystkiem się dowie,
Przeciw naszej miłości i słowa nie powie:

Jesteś sławnym autorem, jesteś na urzędzie,
Czegoż chce jeszcze.... biegnę.... wszystko dobrze będzie.

SCENA X.

Edwin, Czesław *(jak wprzódy)*.

Edwin.

Jestem więc „na urzędzie.... i sławnym autorem.“
Szkoda tylko, że światu nie może być wzorem,
Zatém urząd i sława w nadziei zostanie,
Lubo droższe nad świata, jest kochanki zdanie.

SCENA XI.

Edwin, Astolf, Czesław

(jak wprzódy).

Astolf *(z ironią)*.

Pewnie pan Edwin? *(Czesław słucha rozmowy)*

Edwin.

Tak jest.

Astolf.

Wiem z ust gospodarza,
Jakie mu jego talent przeciwności zdarza.
Mówił, że kochasz Zuzię....

Edwin.

Mówił, ach mój panie,
Ale jak kocham, tego mówić nie był w stanie.
Pierwszym wzbudził jej czucie, nową duszę stworzył,
Nie, myślę się, jam tylko jej duszę otworzył.
W zawiązku były nieba najpiękniejsze dary,
Pojęcie, cnota, godność, i miłość bez miary,

Nie mdły rzut oka w oku wysledzał nagrody,
Nimeśmy się kochali, znaliśmy się wprzód;
Przyjaźń zbliżała zwolna nasz zakres daleki,
Nim dusze w jedną istność spłynęły na wieki.

Astolf.

Prawdziwie, wieszczym duchem obraz utworzony;
Ale pozwól niech w niego spojrzę z drugiej strony:
Jesteś poetą.... a ztąd oczywiste zyski.
Dla poety, to wiemy, każdy stopień nizki,
Przed nim i ścieżka życia w przestrzeń się rozdyma,
Końca na szczytach świata, ani granic niema;
Żeniąc się zaś tak młodo z córką oberżysty,
Zniknie w dymie kuchennym Feba promień czysty.
Dla czegoż twojej sławie raz zadajesz zgubny?
Stracisz wartość u siebie, stracisz wieniec chlubny,
Co może jakiś, kiedyś gazeciarz ci poda,
I tych krwawych poświęceń jakaż jest nagroda?

Edwin.

Jej miłość, moje szczęście, to istotne zyski,
I tych pewnie nie zniszczą satyry pociski.

Astolf.

Miłość! miłość kobiety ma wszystko nagrodzić?
Miłobyto nam było tym snem się uwodzić,
Gdyby nie przebudzenie, za blizkie, niestety!
Wierzysz, biedny, kobietom, nie znasz co kobiety!
Kocha cię, mówisz, kocha? przysięgać ci będzie,
Życie swoje narazi w szalonym obłędzie,
Puszcza, byleby z tobą, powabem ją znęci,
Spokój.... imię.... majątek.... wszystko ci poświęci,
Wtedy tylu dowodom raz zaufasz przecie,
Uwierzysz, że nad ciebie nic już niema w świecie,

Pomyślisz, że i cnotą chcąc się jeszcze szczyścić,
Musi, jak powój drzewa, ciebie się uchwycić;
Ale nie! Sama nie wie, mniej czuła niż płocha,
Czy jutro kochać będzie tego co dziś kocha;
Ginie, kona dla ciebie.... i nie zna po chwili.
Wtenczas niech się twój umysł wstrzymać ją nie sili;
Twoje prawa są niczém, twój gniew nic nie znaczy,
Z twoich wyrzutów śmieje, cieszy się z rozpaczy.
O! ten, co swoje szczęście połączył z kobietą,
Chwycił gałąź bluszczową nad przepaścią skrytą:
Urywa ją i pada, ginie wśród kamieni,
A na górze bluszcz bluszczem znowu się zieleni.

Edwin.

Podług złej małej cząstki, całego nie mierzę,
I będę cził płeć piękną, póki w cnoty wierzę:
Pierwszy mój uśmiech, usta do kobiety wzruszył,
Pierwszą łzę moję oddech kobiety osuszył,
Pierwsze słowo, jej mowa kształciła pieszczona,
Do kobietym najpierw wyciągnął ramiona,
I kiedy w mgle dzieciństwa matkę poznawałem,
Nie wiedząc, co kochanie, kobietę kochałem.
A jeśli później ojca surowe nauki
Uczyły jak żyć trzeba, i cierpienia sztuki,
Jeśli im winien jestem miłość, stałość w cnocie,
Nie mniej możem jest winiem i matki pieszczocie:
Dobroć, miłość, cierpliwość, najświętsze zasady
Wpajała w młode serce własnymi przykłady,
I poznałem, gdym przejrzał lat młodych ciemnoty,
Że życie dobrej matki, pierwszą szkołą cnoty.
Upodobanie stałe tej samej zagrody,
Gdzie, jakby sen pieszczący przesnuł się wiek młody,

Powab, co z blasku świata i sławy zapachu
W cichy obwód rodziny przyciąga pomału,
Władzę, co lekkim tknięciem duszę naszą budzi,
Drażni, aby nagradzać, by upewnić, ludzi,
I ta pewność, ta pewność, szczęścia czyste źródło!
Żem zyskał drugie serce, że jest całkiem moje,
Ta pewność, że w dwóch sercach jedno tylko bicie,
Komu winni jesteśmy, jeśli nie kobiécie?

Astolf.

Wieszczu, teraz postrzegam, już jesteś zgubiony,
Niema dla cię ratunku.... szukaj sobie żony.
Twój upór jakby siedział we krwi, a nie w duszy,
Łatwiej go jaki plaster, niżli dowód wzruszy.
Ale gdy teraz na bok broń satyry złożę,
Powiedz, u nas twój talent co obiecać może?
Každy co pisze, pisze dla zysku lub chwały.
Zysku, nie znajdziesz wcale, albo bardzo mały;
I choćbyś był Homerem, gdy pieniędzy nie masz,
Twój rękopism w szufladzie do śmierci zatrzymasz;
Albo nareszcie drukarz, gdy poprosisz czule,
Z długim myłek rejestrem wyda na bibule.
Ale cóż? Nic i z tego.... nikt się i nie spyta,
Bo každy dziś chce pisać, a mało kto czyta.
Sława więc, powiesz. Dla nas już minęła pora:
Europa teraz cała ojczyzną autora.
Niemiec, Włoch i Francyi krzyżują się dzieła;
Nasze? jakżeto ciasna granica objęła!
Dwa albo trzy teatry i wózek księgarza,
To teraz pole sławy polskiego pisarza;
A te biedne teatry, gdzie na jednej scenie
Dzisiaj klaszczą Barbarze a jutro Syrenie,

I szczęście jeszcze, jeśli nie te same usta
 Głoszą śpiew Terefercia i żale Augusta.
 Jednak, jeśli wystąpisz uczniem Melpomeny
 I na pięć długich aktów rozważujesz treny,
 Każdy widz już przychodząc smutku się spodziewa,
 I jeśli łez nie roni, to przynajmniej ziewa.
 Lecz wesołej Talii gdy podniesiesz maskę,
 Tylu sprzecznych rozumów jakże zyskać łaskę?
 Ten prawdę, tamten dowcip, ten koziołki lubi,
 Ten znowu z cyrklem tylko, w rozmiarach się gubi;
 Tamten scenie zazdrości jej własnej przestrzeni,
 Temu ciasna i duszna, gdy się w świat nie zmienia;
 A ci zaś którym *Geoffroy* pozawracał głowy,
 Którym gazety płacą ich wyrok surowy,
 Co uczą pisać drugich nim nauczą siebie,
 Białe dotąd swe pióra zaczernią dla ciebie.
 I gdy ich tylko głosy przerwą czasem ciszę,
 Musisz się w końcu spytać: Dla kogo ja piszę?

Edwin.

Niech nie kazi świętego nazwiska poety,
 Kto trwożném okiem szuka zamierzonej mety:
 Nie zabrzmi lutnią wdzięcznie; próżno w nią uderza,
 Kto liczy własne zyski, korzyści przemierza.
 A jeśli nucić będzie za Fortuny kołem,
 Jeśli swój byt powlecze korném bijąc czołem,
 Nie znajdzie różczki lauru na spodłone skronie,
 Nie przejdzie grobu sławą i umrze przy zgonie.

(ze wzrastającym zapalem)

W wyższą, jaśniejszą przestrzeń wieszcz prawy poziera,
 Jemu źródło światłości, niebo się otwiera:
 Ztamtąd promień ściągnięty w luby dźwięk rozradza
 I na świat błędnych marzeń nowy świat sprowadza.

Niech chwyci złoty bardon, wzniesie święte pienie,
 Leje w duszę, jak strumień, własne uniesienie:
 Za nim błagalne chóry brzmią w świątyniach Boga,
 Nadzieja poi prawych a występnych trwoga;
 Za nim powtórzą wnuki swych pradziadów dzieje,
 A w najzimniejszych sercach chęć sławy zatleje;
 Miłość, co jednym wieńcem objęła świat cały,
 Przejmuje łono wieszczą i wiedzie do chwały;
 Miłość przez jego usta sama siebie głosi,
 I do cnoty i zgody każde czucie wznosi.
 A jeśli mu nad grobem wawrzyn się zagęści,
 Jeżeli się przyłożył choć w najmniejszej części
 Do sławy swego kraju, do dobra współbraci,
 To nagroda poety, tej nigdy nie straci!

Czesław.

O, zachowuj te myśli: są duszy ozdobą,
 Ich urok sięga wkoło, porywa za sobą...
 Pomogę ci do szczęścia, spełnię twą nadzieję
 I przy ogniu serc waszych i moje zagrzeję.

S C E N A XII.

Astolf, Czesław, Edwin, Kapka, Zuzia.

Kapka (*mając gazety i list w ręku*).

Tam do kata! to dobra! to mi kapitały!
 Krytyki dwa arkusze, trzy wiersze pochwały.

(*do Edwina*)

Jednak gdzieindziej proszę szukać sobie żony,
 Mówilem i powtarzam... Sługa uniżony.

Czesław.

Słuchaj mnie, Panie Kapko. Jestem dość bogaty,
 Żyję sam bez przyjaciół, krewnych, nieżonaty;

Wyrzekłem się już szczęścia, wyrzekłem się ludzi,
 Myślałem, że mej duszy nic już nie obudzi;
 Dzisiaj zapał młodzieńczy, to czyste wejrzenie
 W piękny dar życia, w przyszłość, w całe przyrodzenie,
 Wstrząsało moje istotę... Mogłem łzę uronić...
 Choćby znów błędnym czuciom nie chcę serca bronić;
 Chcę zapomnieć com cierpiał, żyć szczęściem Edwina:
 Niech się żeni z twą córką, biore go za syna.

(do Edwina i Zuzi)

Nie chcę od was wdzięczności, miłości nie żądam,
 Niech tylko przy was będąc na szczęście spoglądam.

Zuzia.

Za tyle dobrodziejstwa...

Czesław.

Nic darmo nie daję.

Edwin.

Lecz całe szczęście nasze...

Czesław.

Mojem się już staję.

Kapka.

Milczałeś Pan, to prawda, i to czas niemały,
 Lecz warto milczeć, warto, choćby i rok cały,
 Byle się tak odezwać, jak się Pan odzywa.

Edwin *(do Kapki).*

Mogę się więc spodziewać...

Zuzia *(do Kapki).*

Będę więc szczęśliwa?...

Kapka *(dając rękę córki Edwinowi).*

Na, masz, bierz, szczęść ci Boże, teraz rymuj sobie.

Astolf *(do siebie).*

Sam, sam jestem na świecie, postrzegam w tej dobie;

Ten, równie nieszczęśliwy, pociechę otrzyma,
Dla mnie tylko natura i uśmiechu niema.

(w złości)

Kapko! ty Kapko! koni, bo sobie w łeb strzelę.

(wychodzi i trzaska drzwiami)

Kapka *(biegnąc ku drzwiom).*

Dla Boga, niechże jedzie!

(wraca i ogląda się, cicho do Zuzi)

Za tydzień wesele.

(głośno)

A mój dom, co był dotąd pod *francuzką szpadą*,
Od dziś dnia jest oberżą pod *czulą balladą*.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

KOMEDYE

ZAWARTÉ W DRUGIM TOMIE.

	stron.
MAŻ i ŻONA, komedia we trzech aktach, wierszem.	1.
NOWY DON KISZOT, czyli sto szaleństw. Krotochwi- la we trzech aktach, wierszem ze śpiewkami	83.
LIST, komedia w iednym akcie, wierszem.	159.
PIERWSZA LEPSZA, komedia w jednym akcie, wier- szem.	207.
ODLUDKI i POETA, komedia w jednym akcie, wier- szem.	243.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
w Kielcach
BIBLIOTEKA

277231

Biblioteka WSP Kielce



0059090